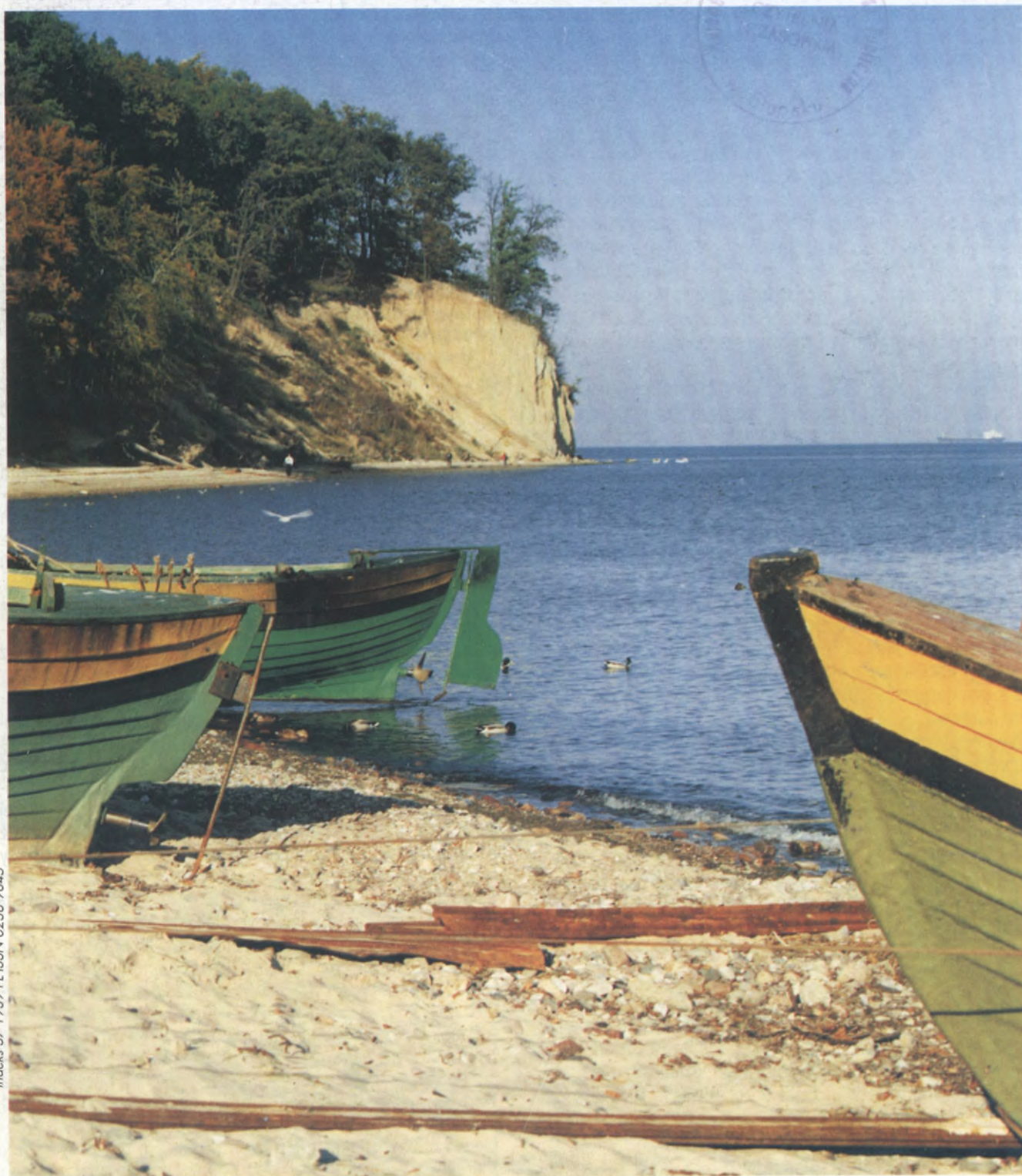


cena 15 000 zł

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY PAŹDZIERNIK 1994 NR10/258

POMERANIA



Indeks 37 1939 PL ISSN 0238-9045

AREK STANISZEWSKI

SKĄD WZIĘLI SIĘ KASZUBI ?
PRZECIW „PUSTEJ NOCY”

Spadek, który zobowiązuje

W zmiennym nasileniu akcentowane jest przeświadczenie: rodzimy język, najbardziej wyrazisty znak odmienności i tożsamości Kaszubów, wchodzi w fazę zmierzchu. Nie tak bardzo odległy jest czas, w którym nie będzie już po nim nawet „pamiętci ni spiew”. Tę pesymistyczną prognozę jako coś nieuchronnego, wyznaje spory odłam społeczności kaszubskiej, nie wyłączając środowisk inteligentnych. Na poparcie tej tezy przytacza się dowody wzięte prosto z życia: już tylko dziadkowie znają względnie dobrze mowę naszych przodków; w telewizji, radiu, szkole, kościele, w życiu publicznym - wszędzie króluje polskie słowo - kaszubszczyzna nie ma szans; język tak długo pozostaje żywy, jak długo jest on niezbędny w procesie wzajemnego porozumiewania się i komunikowania; kaszubszczyzna coraz bardziej spychana jest na margines; zaginie.

Przywiązanie do małych ojczyzn

Spora liczba mieszkańców Kaszub zdając sobie sprawę z obumierania mowy ojców, godzi się z losem ludu wykorzystanego z własnego dziedzictwa językowego. Skoro świat dzisiejszy zmierza w kierunku ujednoliceń, a dyktat kosmopolitycznej kultury masowej skutecznie ściera patynę wszelkich lokalnych swoistości, to dónkiszoterią byłoby obstawanie przy regionalnych odrębnościach językowych. Dość liczne fakty zdają się potwierdzać tę niewesołą przyszłość kaszubskiego etnolektu. Istotna jest jednak kwestia, z której strony „barykady” patrzymy na zagadnienie. Historia wprowadziła dostarcza multum przykładów, że wraz z upadkiem cywilizacji, państw, rozmyciu się regionalnych kultur, zagładzie ulegały także macierzyste języki. Niektóre trwały i rozwijały się, bo zwycięzcy przejmowali kulturę podbitego ludu. Bo w zmienionych, nie zawsze korzystnych warunkach, przywiązanie określonej grupy do swego języka było tak silne, że potrafiła ona zapobiec wchłonięciu go przez silniejszą grupę. W dobie dzisiejszej „małym językom” zagrażają nie tyle jacyś nowi Hunowie, czy unifikatorskie działania światowych imperiów, ile powszechna fascynacja wzorcami modernizacji technologicznej, postępu mechanicznego, odpowiedzialnego za pogłębiającą się wyobcowanie z własnej, rodzimej rzeczywistości, masową standaryzację gustów, wytworów, obejmującą także sferę duchową.

Żywiolowy pochodź nowoczesności, kwestionującej tradycję, coraz częściej wywołuje reakcje krytyczne, obronne, wyrażające się w świadomym nawrocie do tego, co „małe i piękne”, pradawne, nierzadko archaiczne i oryginalne, związane z regionem i regionalizmem. Stąd też ów niezwykle rozkwit ruchów regionalnych, ponowne odkrywanie lokalnych osobliwości, także językowych. Charakterystyczne dla tych ruchów jest samookreślanie się w kontekście małej ojczyzny, dającej poczucie bycia u siebie i porządek wyposażony w znaczenia. Tak więc Europie dążącej do zespolenia, zbierającej się w jedność odpowiada tendencja do dzielenia, wydobywania głębszych różnic, kultywowania tradycyjnych wartości, restytuowania zapomnianych dialektów, rozbudzania nostalgicznego przywiązania do pomniejszych ojczyzn. Ponieważ zawarty jest w nich jakby praobraz treści kulturowych, dziedziczonych pokoleniowo, przeto łatwiej tutaj o zachowanie tożsamości etnicznej, kulturowej. Sądję, że w tym przypadku najbardziej stosowna byłaby tu metafora Anteusza, uwypuklająca fakt, iż bezpośredni, serdeczny związek z najbliższą ziemią staje się warunkiem pełniejszego rozwoju, zapewnia większą prywatność, skuteczniej chroni przed anonimowością i nijakością społeczeństwa masowego.

Niczym skrzynią posażną

Tym, co łączy różne programy regionalistyczne, jest dążenie do upodmiotowienia, czyli takiego przebudowania ustroju państwa, które zwiększa samodzielność, niezmiennie istotną, gdy w grę wchodzi twórcze rozwinięcie swoistych, preferowanych w regionie, wartości. Warto zaznaczyć, że ów Levi-Straussowski „mniejszy świat oswojony”, zwracający się bardziej ku sobie, ku walorom przyrodniczym, nie stroni od kultury ponadlokalnej, uniwersalnej.

Naszym światem oswojonym są Kaszuby, najbardziej wyrazista kulturowo część Pomorza. Kaszuby to coś więcej niż pojezierny pejzaż, w jakim żyją jego mieszkańcy, coś więcej niż pasmo dramatycznych losów i przeżyć naszych przodków, specyficzna tradycja, codzienna, skrzętna zapobiegliwość i pracowitość, doskonale współistniejące z nastrojem łagodnej rezygnacji, widocznej także u wielu młodych, obarczonych piętnem Smętka. I te mity o Remusie, zapadłym zamku, stołomach, ogarniające swoją poetycką wymową różne wymiary ludzkiej rzeczywistości. Można powiększać ten katalog określeń kaszubskości i nie dotrzeć do sedna rzeczy. Kto wie, czy bliżsi prawdy nie są ci, którzy powiadają, że podwaliną bytu kaszubskiego etosu, rodzajem soczewki skupiającej znaki tożsamości i zróżnicowania, jest język, na tyle bogaty, iż umożliwiał jego użytkownikowi mówienie pełnym głosem.

Rdzenne „nordowe” słowo docierające do odbiorcy polskiego w całym autentyzmie leksykalnego bogactwa, brzmi egzotycznie, niezrozumiale. Narzuca się wniosek: jego inność, odrębność jest czymś oczywistym. Wszelako wartość kaszubszczyzny zasadza się na czymś innym. Na tym mianowicie, że łatwo ją porównać do skrzyni posażnej, wypełnionej po brzegi przedziwnymi klejnotami i starociami, rodem z dawnych epok, ale przydatnymi i dzisiaj. Co ważniejsze, cały ten zbiór językowych oryginalnych różnicowości stanowi nieodłączną część duszy zbiorowej Kaszubów. Trudno o celniejsze ujęcie relacji łączących ludzkie treści z formą językową niż to, którego autorem jest Herder: „Narody mają swoją duszę i prawdziwą moralną jedność, która czyni je tym, kim są. Jedność ta wypowiada się przede wszystkim w języku”.

O odkrywczej prawdzie tego spostrzeżenia przekonuje nas „Słownik gwar kaszubskich” ks. Bernarda Sychty. We wstępie do „Słownika” czytamy: „Jeśli zachowa on [język] trwałą wartość, to nie dla sposobu opracowania, lecz dlatego, że jest obrazem żywej, codziennej mowy, będącej wiernym odbiciem oblicza kulturalnego ludu, który się nią posługuje”. Dzieło ks. Sychty może więc pełnić funkcję znakomitego przewodnika po rozległych obszarach duchowości Kaszubów. Czujemy się bardziej umocnieni w naszych intuicjach, gdy za angielskim poetą, Tony Harrisonem, możemy powtórzyć:

(dokończenie na str. 2)

POMERANIA

W skład autodefinicji młodego Kaszuby wchodzi przede wszystkim fakt urodzenia się na Kaszubach i pochodzenie z kaszubskich rodziców. Mniejszą rolę odgrywa w samookreśleniu się znajomość mowy kaszubskiej. Co może cieszyć, to znaczny odsetek „Kaszubów z wyboru”. U młodych bardzo wyraźnie zaznacza się świadoma decyzja afirmacji kaszubskiej przynależności etnicznej. Zadeklarowana w ponad 90 proc. kaszubskość młodego pokolenia świadczy o ciągle aktualnej zdolności społeczności kaszubskiej do asymilacji ludności napływowej.

„JESTEM KASZUBĄ”, s. 6.

Ceynowa napisał, iż był jego „częstym gościem” i przez to miał doskonałe możliwości bliższego poznania Smolera. Często obecność początkującego studenta w mieszkaniu tak wybitnego uczonego była wówczas zjawiskiem wyjątkowym. Jeśli zauważymy, że pierwsze swe publikacje wrocławskiego okresu Ceynowa zawdzięczał protekcji prof. Purkiniego, to stwierdzić można, że cieszył się jego szczególnymi względami, co miało wpływ na jego pozycję w Towarzystwie.

W związku ze zmianą uniwersytetu i przeniesieniem się do Królewca (decyzja w tej sprawie musiała zapaść nagle) miesiąc później otrzymał godność honorowego członka Towarzystwa. Kariera Ceynowy w tej organizacji była więc błyskotliwa, zaś jego działalność wysoko oceniana.

„CEYNOWY KONTAKTY Z KASZUBAMI NA POMORZU ZACHODNIM”, s. 21.

Numer wydano dzięki dotacji Ministerstwa Kultury i Sztuki

WYDAWCA Zarząd Główny Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego
ADRES REDAKCJI Straganiarska 20-23, 80-837 Gdańsk, tel. 31-90-16

KONTO BG IV Oddz. Gdańsk 301817-664390-132

REDAKCJA Stanisław Janke, Stanisław Pestka (redaktor naczelny), Krystyna Puzdrowska (sekretarz redakcji), Arkadiusz Staniszewski (opracowanie graficzne), Ewa Judycka (korekta), Stanisław Geppert (łamanie).

KOLEGIUM Eugeniusz Gołąbk, Jerzy Kiedrowski, Kazimierz Ostrowski, Maria Pająkowska, Wiktor Pepliński, Jerzy Samp, Brunon Synak, Edmund Szczesiak

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania artykułów oraz zmiany tytułów.

DRUK Drukarnia Wyższego Seminarium Duchownego
BERNARDINUM, Pl. Mariacki 7, 83-130 Pelplin

Stanisław Pestka	Spadek, który zobowiązuje	
Stanisław Janke	Kuźnia pamięci	4
ks. Jan Perszon	Jestem Kaszubą	6
Henryk Hewelt	Tatkowi; Chëcz	11
Erwin Kruk	Z mazurskiego brulionu Poetka z Warmii	12
Krzysztof Orzechowski	Irena i Franek	14
Franciszek Fenikowski	*** (Żelazną spuścił ktoś kurtynę); Czwarty listopada; Preludium deszczowe dla Iki	17
Dariusz Piasek	Śladami przydrożnych świętych (4) Ze świętym Rochem na ścieżkach moru	19
Zygmunt Szultka	Ceynowy kontakty z Kaszubami na Pomorzu Zachodnim	21
Tadeusz Linkner	Literacka mitologia Pomorza (VI) Mityczne tworzywo „Życia i przygód Remusa” (4) Rycerz słońca szukający światła	26
Stach z Lęborka	Jiwer Sławki	30
Maria Jazowska-Gumulska	Tradycja i współczesność regionalizmu podhalańskiego	31
Kłobuk	Zasady i kwasy	34
Jan Lipuski	Kaszubi w ojczyźnie	35
Hubert Pobłocki	Korzenie współczesności	36
Stanisław Pestka	W kociewskiej Itace	38
Janusz Kowalski	„Pięną naszińcë”	39
	Listy	41
Tadeusz Linkner	Jego „Gdańska widzenie”	42
Janusz Kowalski	Obszary chronione	44
Bernard Konarski	Dzieje Sławna	45
T. Boł.	Książki	45
	Klëka	46
Kow.	Informacje regionalne	50
Bogna Jakubowska	Przeszłość pięknem znaczone „Ora pro nobis...”	52

Spadek, który zobowiązuje

„niemi upadają w historii i giną”, zaś ci, „którzy nie mają języka, tracą swoje ziemie”.

W zwierciadle słowa

My nie chcemy ani zginać, ani utracić swej ziemi. Nie chcemy, by złowieszczą przestroga młodokaszubskiego twórcy, o mowie przykrytej grobami, spełniła się kiedykolwiek. „My” - to znaczy kto? Garstka działaczy zrzeszeniowych w Gdańsku, żurnalistów związanych z „Pomeranią”, entuzjastów kaszubszczyzny z młodszej i starszych generacji, otwierających pole do refleksji nad rodzimym słowem w gdańskiej telewizji, radiu, wybrzeżowej i terenowej prasie? Oczywiście, do tego karna miłośników kaszubskiego języka należą pisarze, tłumacze z Eugeniuszem Gołąbkim na czele, wydawcy, językoznawcy z Uniwersytetu Gdańskiego. Ogromne znaczenie ma dla nas to, że w rejestrze spraw bardzo ważnych dla religii ks. arcybiskup gdański, dr Tadeusz Gocłowski, umieścił także kaszubską liturgię słowa. Dzięki przekonaniom do kaszubszczyzny duchownym, zarówno w Trójmieście, jak i w poszczególnych parafiach województwa, a także poza nim, w coraz szerszym zakresie przyjmuje się zasadą, że słowo rodzime jest niezbywalnym składnikiem duchowego wyposażenia. Symbole religijne zakotwiczone są przecież w języku.

Nie zapominajmy, że zyskuje on na randze i witalności dzięki codziennej, prawdziwie organicznej pracy Witolda Bobrowskiego z Głodnicy, Felicji Baska-Borzyszkowskiej i Wandy Kiedrowskiej w Kaszubskim LO w Brusach. Znanie są nazwiska innych pedagogów, którzy poczuwają się do pewnej odpowiedzialności za edukację w duchu regionalnym. Za co przede wszystkim należy cenić regionalne zespoły śpiewu i tańca, teatrzyki (niestety, przeważnie pojawiające się i znikające jak meteory), cykliczne konkursy prozy i poezji kaszubskokociewskiej, konkurs gawędziarski w Wielu, dziecięce popisy bazujące na regionalnym słowie we Wdzydzkim Parku Krajoznawczym? Sądzę, że głównie za umiejętność werbalizowania starych i nowych doświadczeń zbiorowości kaszubsko-pomorskiej. Za udane na ogół próby przywracania więzi uczuciowej ze światem ludowej, gburowskiej kultury, fascynującej swą pierwotnością i prostotą odzwierciedloną w słowie.

Obrońcy i sympatycy językowego patrymonium opowiadają się za jego trwaniem, obecnością w życiu potocznym i w twórczości literackiej. Między innymi dlatego, że choć ów język dociera do nas - użytkowników i odbiorców - w okrucinach, posiada jakąś część cudownej mocy głębszego zakorzenienia nas w świecie, „odczarowanym przez społeczeństwo masowe”.

Zakłęcia nie wystarczą

Pytanie, jak liczna jest ta grupa, która, kierując się troską o depozyt językowy, usiłuje działać w sposób pragmatyczny, zdroworozsądkowy, ażeby tylko przedłużyć żywotność mowy? Trzeba w pierwszej kolejności widzieć tych, którzy czynnie poszerzają sferę poznania swego języka i na miarę swoich możliwości przyczyniają się do jego promocji. Nie rozminę się chyba z prawdą, jeśli powiem, że w tym niepospolitym ruszeniu doliczyłbym się około stu osób. Znacznie liczniejsza jest rzesza doceniająca znaczenie rodzimej ekspresji językowej, wrosnięta w tkankę kaszubszczyzny, uznająca jej obronę za powinność Zrzeszenia i innych podmiotów, ale sama raczej poprzestająca na strzelistych westchnieniach i uroczystych zaklęciach. Ta druga kategoria miłośników domowego języka idzie w dziesiątki tysięcy. Wszyscy zdają sobie sprawę z trudności i różnych komplikacji, jakie piętrzą się na drodze walki o

stałą obecność języka ojców w życiu codziennym i w literaturze. Nic dziwnego, że momenty uniesienia i radości, że oto powstało kolejne dzieło nobilitujące kaszubszczyznę, że funkcjonuje ona w „okienkach” telewizyjnych, na scenie itp., przeplatają się w przyływach wątpliwości, rozterek i udrękw potęgowanych prognoząmi, że w zuniformizowanym świecie nie będzie miejsca dla małych języków.

Pogodzić się więc z losem, który ponoć skazuje żywą dziś mowę na wegetowanie w jakimś rezerwacie, czy też powstanie, twórczą wolą zapewnić jej dalszą egzystencję, rozwój i rozkwit w literaturze? Na postawy i nastroje kapitulackie nie powinno być miejsca! Nie było wewnętrznego rozdarcia u Floriana Ceynowy, bodaj cienia niewiary w sens dzieła podjętego samotnie przez tego ojca regionalizmu kaszubskiego, któremu przyszło działać i dźwigać z poniżenia chłopskie, plebejskie słowo, w nieporównanie trudniejszych warunkach. Dla Ceynowy kaszubszczyzna była synonimem zobowiązań wobec rodowodu, nieodzownym, źródłowym składnikiem we wszechludzkiej wspólnotcie. Stąd tyle emfazy i dramatyzmu w jego inwokacji: „Mowa nasza kaszëbskosłowjanskô je dzis bezmała ta sama, co przed tésacé é vjici latamj, bo jé njevepaczéle wzuesom papugovje, le jé prosti lud przechówel... je wjélgi czas, abe żóden Kaszëba sę njevstedzel po kaszëbsku gadac; bo chtéren to robj, ten gvésno nigdé njepoméslel, że wón je zbójcá, przeciwko swójim starszim, że wón je zbójcá przeciwko swójim bracam é sostrám, że je zbójcá, przeciwko swójim krevnim é przejacelám lat dziecinných; jednim słowé, że wón je zbójcá przeciwko swójemu narodovj. »E svjnja zabéla, że prosécé béla«. Przeklétim bét, je é bądze na vječné czasé kózdí, co njetczi swójich starszéch, jejich mové; a trzé razé przeklétim, chto sé vstédzi swójé mové macerzinské”.

Przeciw „pustej nocy”

Nie ulega wątpliwości, że autor „Skórby” zmierzał do tego, by wstrząsnąć sumieniami ziomków, czujących się nie-swojo w obliczu swego najpierwszego języka, czy nieświadomych jego wartości i ważności. Żyjemy w innej epoce, u schyłku XX wieku. Z innej perspektywy patrzymy na kaszubszczyznę, ale z niejakim zdumieniem odkrywamy spójność między linią działania Ceynowy, ujmującym swą aktywność w kategoriach posłannictwa, a naszymi wysiłkami, by stworzyć alternatywę dla „pustej nocy”. W naszych dylematach odzywa się pogłos trosk i problemów, które tak bardzo zaprzętały wielkiego samotnika ze Sławoszyń. Znamienne, że zarówno jego działalność budzielska, jak i dzieła o charakterze naukowym oraz twórcze opracowania przekazów folklorystycznych, posiadają trojaki aspekt. Podobnie jak to się dzieje u Ceynowy, porządkowanie naszych relacji i doświadczeń z kaszubskim słowem przebiega z grubsza biorąc w trzech nurtach: językoznawczo-słownikowym, ideowo-postulatywnym i edukacyjnym.

Wprost imponujący jest ogrom badawczych i „kolekcjonerskich” wysiłków różnych autorów, zarówno uczonych językoznawców, jak i amatorów. Poczynając od Floriana Ceynowy, a kończąc na niedawno wydanym „Słowniku języka pomorskiego czyli kaszubskiego” (część II) Stefana Ramuła i Słowniku Jana Trepczyka, prace i dzieła słownikowe poświęcone kaszubszczyźnie tworzą już pokaźną bibliotekę. Wszystko wskazuje na to, że będzie się ona powiększać. W refleksji czołowych reprezentantów ruchu kaszubsko-pomorskiego, szczególnie zaś Młodokaszubów i Zrzeszinców, kwestie językowe, wartości tkwiące w rodnej mowie stale inspirowały dyskurs filozoficzno-programowy. Dostarczały argumentów, stosownych symboli i znaczeń ruchowi regionalnemu. Do autorytetu tradycji, skumulowanej w języku kaszubskim, często

odwołują się działacze i sympatycy Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego.

Konieczność nasilenia rozmaitych akcji i przedsięwzięć o charakterze edukacyjnym, wynika z analiz obecnego stanu rzeczy, z oceny stopnia żywotności kaszubszczyzny w życiu codziennym. Wnioski są niezbyt wesołe: otóż baza językowa kaszubszczyzny ulega powolnej, lecz stałej erozji. Czy jest to proces tyleż naturalny, co nieuchronny? Czy racja jest po stronie tych, którzy melancholijnie stwierdzają, że rodzime słowo wycofując się z obszarów codzienności, zakotwiczy się na dłużej w odległych zaściankach, w najbardziej sierniężnych zakątkach?

Słabnąca kondycja języka kaszubskiego od dawna jest przedmiotem szczególnego z troskaniem działaczy zrzeszeniowych. W rozważaniach nad statusem języka, w dyskusjach z udziałem językoznawców, filologów i nauczycieli wielokrotnie powraca pytanie: jak uchronić mowę stąrków przed groźbą pustej nocy? Niektórzy, wysoko ceniący tekst literacki, są zdania, że rozwijająca się literatura kaszubska może przyczynić się do podniesienia prestiżu, a co za tym idzie popularności mowy przodków w oczach wielu Kaszubów.

Dialog z młodym pokoleniem

Ten ważki problem roztrząsano w trakcie kolejnych Spotkań Wdzydzkich. Na jednym z nich, gdzieś w połowie lat siedemdziesiątych, dyskutowano jaki obrać kierunek obrony kaszubszczyzny. Na istnienie pewnego rozdziewku między rzeczywistością a stanem pożądanym zwrócił wówczas uwagę Lech Bądkowski: „kiedyś mieliśmy lud bez literatury, teraz możemy mieć literaturę bez ludu”. Powyższa uwaga nadal zachowuje aktualność. Jakkolwiek zwiększyła się wydawnictwa recepcja naszej literatury pięknej, wciąż istnieje obawa, że wywołuje ona żywy, przyjazny rezonans jedynie w wąskich kręgach koneserów, entuzjastów, obrońców macierzystej kultury. Z drugiej strony czymś oczywistym w wielu środowiskach inteligenckich jest satysfakcja, może nawet uczucie dumy, że dzięki szerszej obecności kaszubskiej liturgii słowa w kościele, dzięki corocznym konkursom rodnej mowy, obejmującym dość liczne rzesze dzieci i młodzieży szkolnej, a także poprzez prezentację walorów kaszubszczyzny, rodzima mowa zwiększa zasięg swego oddziaływania i ugruntowuje swą pozycję.

Trzeba zauważyć, że istotnie następuje jakieś przemieszczenie punktu ciężkości z tradycyjnej, podświadomej identyfikacji z rodzimym podglebiem na rzecz w pełni dojrzałego, świadomego wyboru. Choć tych jaskółek rozniecających nadzieję na „zorse odrodzenia kaszubszczyzny” jest coraz więcej, przecież gdzieś tli się niepewność: czy to wszystko zapowiada tę prawdziwą wiosnę w językowym kosmosie kaszubszczyzny? Przyhamowanie tendencji spadkowych i ożywienie bardziej powszechnego zainteresowania w wymiarze praktycznym możliwe jest pod warunkiem, że w sukurs przyjdzie szkoła. Nie jedna, nie dużo, ale dziesiątki, ba, dobrze byłoby, ażeby choć w setce szkół podstawowych i średnich na Kaszubach i Kociewiu wprowadzono jakieś mniej lub bardziej zróżnicowane formy obcowania dzieci ze słowem rodzimym. „Wszak rozwój kultur - zauważa znakomity amerykański etnolog, Margaret Mead - zależy będzie od tego, czy uda się nawiązać dialog z młodym pokoleniem”. Jak do tej pory ów nieodświętny dialog nawiązały tylko dwie placówki oświatowe - Szkoła Podstawowa w Głodnicy i Kaszubskie Liceum Ogólnokształcące w Brusach.

Wszyscy jesteśmy piastunami

Jedynie systematycznie prowadzone działania edukacyjne, nawet w ograniczonym wymiarze godzinowym, mogą przy-

nieść spodziewany efekt i stare słowo będzie trwać, nabierając dostojności i blasku. Bo samą literaturą, choćby najpiękniejszą w swym kaszubskim czy kociewskim wyrazie artystycznym, nowymi słownikami, sesjami językoznawczymi, organizowanymi w Łebie, w Wejherowskim Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej czy w Gdańsku, niewiele się zwojuje na płaszczyźnie czysto praktycznej. Symboliczny klucz do zmiany tej sytuacji spoczywa w ręku nauczycieli Kaszubów. Niestety, zachowują oni zadziwiający dystans wobec obowiązku, jeśli nie kultywowania i pielęgnowania języka ojców, to przynajmniej rutynowego szerzenia i pogłębiania jego znajomości wśród młodego pokolenia.

Dlaczego temperaturę stosunku wielu naszych pedagogów do rodzinnego języka określa chłód i obojętność? A może pogarda? Za mocne słowa? Trudno uznać za normalną wypowiedź pewnej wicedyrektor szkoły podstawowej, która oświadczyła, że dopóki ona będzie decydować o sprawach programowych w jej szkole dla kaszubszczyzny nie będzie miejsca. Wypowiedzi innych nauczycieli nie odznaczają się taką stronniczością. Wprost przeciwnie, niejednokrotnie słyszy się w środowiskach nauczycielskich opinie, że poczucie zakorzenienia, jakie daje język grupy etnicznej, jest może najważniejszą potrzebą duszy ludzkiej. Cóż, najczęściej nie idą za tym konkretne czyny. Rezultaty byłyby może inne, znacznie lepsze, gdyby nauczanie kaszubskiego zależało nie tyle od dobrej woli nauczycieli, ile od idących z góry dyrektyw i impulsów organizacyjnych?!

Smutne, że tak niewielu pedagogów czuje się odpowiedzialnych za kształtowanie regionalnej formacji młodych pokoleń. Do wszystkich kierował swój serdeczny apel ks. dr Bernard Sychta: „Przede wszystkim jednak oddaję Słownik w Wasze ręce. Najmłodszy Piastunowie mowy kaszubskiej. Od Was bowiem zależy jej los”.

Faktem jest, iż wyzwanie rzucone szkole na Kaszubach i Kociewiu nie wywołuje odpowiedniego rezonansu. Najwidoczniej psychologiczna blokada utrudnia, w niektórych przypadkach wręcz uniemożliwia przyjęcie, jako czegoś naturalnego, własnych, najbliższych form komunikacji językowej. Czyżby nadal nie dowierzano specjalistom - psychologom, którzy już dawno dowiedli, „że dwujęzyczność korzystnie wpływa na myślenie twórcze, językowe, na wrażliwość językową, zdolność do tworzenia znaczeń, wyobrażeń, a także na oryginalność myślenia i rozwiązywania problemów”. Toteż błędem byłoby traktowanie dwujęzyczności - kaszubski i polski - jako źródła i zarzewia konfliktów. A już zupełnym nieporozumieniem byłoby manifestowanie, dość powszechnej w minionych latach, represyjnej postawy w stosunku do dialektów i mniejszościowych języków.

Warto zauważyć, że niebezpieczeństwo zagubienia się, utraty podstawowych wartości, utrwalających tożsamość, na skutek zachodzących gwałtownie zmian, nie jest bynajmniej jakimś fantomem. Cywilizacja obrazkowa mnoży ludzi z rękami na klawiszach. Gitary i gry komputerowe, uczące myśleć formalnie, matematycznie, oferują więcej ekspresji niż stare słowo. Tym większej wagi nabiera zażyłość z wartościami rdzennymi, nagromadzonymi, niby w skrzyni posażnej, w każdym języku.

Wydawać by się mogło, że dysponujemy dostatecznym potencjałem intelektualnym i siłą ducha, by uporać się z problemami jego obrony. W moim odczuciu zbyt mało samozaradności przejawiają różne środowiska kaszubsko-pomorskie, które chyba zanadto oglądają się na Zarząd Główny ZKP. Sytuacja dzisiejsza dyktuje potrzebę energiczniejszych działań nas wszystkich, by nade wszystkim wzmocnić funkcję użytkową języka.

Stanisław Pestka

Kuźnia pamięci

Zezwolenie na budowę kościoła w Pierwoszynie parafia kosakowska otrzymała w 1984 roku. Dopiero jednak teraz, po latach żmudnych prac, gromadzenia środków finansowych (składali się wszyscy parafianie - z Pierwoszyna, Kosakowa, Mechelinek, Mostów i Rewy), okazała bryła świątyni stanęła na najwyższym wzniesieniu wsi. W tym samym miejscu, gdzie miał stanąć przed osiemdziesięcioma laty; wtedy powstała tylko kaplica. Utworzono ją z Domu Ludowego. Dziś pozostały po niej tylko resztki fundamentu.

W latach osiemdziesiątych ubiegłego stulecia w Kosakowie osiedlił się Józef Klebba, rodem z Żelistrzewa. Był kowalem, jak ojciec. Założył tu kuźnię. Do dziś we wsi zachowała się o nim pamięć jako kowalu o szczególnie artystycznych zdolnościach, ale także działaczu niepodległościowym. Najpierw założył Kółko Śpiewacze, a potem Towarzystwo Ludowe, które wraz z żarnowieckim należało do największych na Pomorzu. Przez jakiś czas był jego sekretarzem, a później prezesem. Początkowo zebrania Towarzystwa odbywały się na „zómku” w Mostach, w posiadłości Antoniego Klebby, brata Józefa. Gdy tamto pomieszczenie okazało się zbyt ciasne, nie tylko na zebrania, ale także wspólne śpiewy, przedstawienia teatralne, postanowiono zbudować Dom Ludowy właśnie w Pierwoszynie.

Perypetie związane z powstawaniem tego obiektu Józef Klebba opisał w epickim poemacie „Jak w Pierwoszeniu kuescoł budowele”, który został opublikowany w trzech odcinkach na łamach „Pomorza” dodatku literackiego „Gazety Gdańskiej”. Kowal Klebba jako organizator budowy musiał pokonywać nie tylko trudności jakie stwarzali Niemcy, ale także walczyć z zawiścią pobratymców Kaszubów. Dwie najzamożniejsze rodziny - Hińców i Śliwińskich, do których należała ziemia na pierwoszyńskim wzgórzu, nie chciały darować gruntu wspólnie, by nie dzielić się „chwałą” z sąsiadem. Ostatecznie Dom Ludowy stanął na ziemi подарowanej przez gospodarza Mrocha.

Po II wojnie światowej władza ludowa odebrała rywalizującym ze sobą sąsiadom ziemię na wzgórzu. Później teren ten przeszedł na własność Państwowego Funduszu Ziemi. Właśnie z tego funduszu otrzymali grunt pod przyszły kościół budowniczości z 1984 roku.

Pod koniec XIX wieku parafię kosakowską zamieszkiwało niewielu Niemców. Sytuacja zaczęła się zmieniać z początkiem obecnego stulecia. Między Niemcami a Polakami dochodziło do coraz ostrzejszej konfrontacji. Józef Klebba, orędownik niepodległości, narażony był na liczne szykany. Podczas strajku szkolnego w 1909 roku wystąpił przeciwko niemieckiemu nauczycielowi, niejakiemu Juliusowi Prochowi który gnębił i szykanował kaszubskie dzieci. Pruski sąd skazał kowala z Kosakowa na wy-

soką karę grzywny. Ponadto kowal, bojkotowany przez pruskie instytucje i właścicieli ziemskich, zaczął popadać w coraz większe tarapaty finansowe. Z pomocą przyszedł mu jednak Bank Kaszubski, udzielając kredytu na dogodnych warunkach.

Dom Ludowy w Pierwoszynie w latach 1913-1916 był miejscem licznych koncertów Koła Śpiewaczego, a także występów miejscowej grupy teatralnej, która wystawiała głównie sztuki patriotyczne, takie jak „Wóz Drzymały” czy „Wywłaszczenie”. Tam również wystawiono widowisko „Ścinanie kani” Józefa Klebby. Rękopis tego najstarszego opisu świętojańskiego obrzędu na północnych Kaszubach przechowali kolejno Franciszka Majkowska i Jan Rompski, a obecnie znajduje się on w zbiorach Muzeum Piśmiennictwa i Muzyki Kaszubsko-Pomorskiej w Wejherowie.

W 1916 roku, gdy państwo niemieckie było już poważnie osłabione wojną, Dom Ludowy przemieniono na kaplicę. Zburzono tylko jedną ścianę przegradzającą dwie sale oraz zawieszono sygnaturkę. Ta, zawieszona, bez zgody władz, stała się zarzewiem konfliktu. Zażegnał go jednak Józef Klebba, przekonując Niemców, że sygnaturkę zawieszono na cześć cesarza Wilhelma II. W pamięci mieszkańców kowal pozostał bohaterem, obdarzonym wyjątkowym sprytem. Mówi się, że właśnie podczas wojny, gdy Kaszubom wcielono do pruskiej armii zabroniono pisać listy po polsku, Klebba namówił wielu żołnierzy do pisania listów po kaszubsku. Pisarz i edy-



MATYŁDA I JÓZEF KLEBBOWIE Z CÓRKAMI TEOFILĄ (PRZYSZŁĄ MATKĄ TADEUSZA ZIEMANA) I MARTĄ ORAZ NAJSTARSZYM SYNEM JANEM. OKOŁO 1902 r.

tor Leon Roppel natrafił na jeden z takich listów u Wincentego Grönwalda w Wejherowie.

Po zakończeniu wojny Józefa Klebbę wybrano mężem zaufania działającej w Sopocie tzw. komisji delimitacyjnej, która zajmowała się wytyczaniem granicy polsko-niemieckiej oraz Wolnego Miasta Gdańska. Jako człowiek bezkompromisowy, zjadale walczący o przyłączenie do Polski jak najwięcej miejscowości, stał się obiektem oficjalnych i skrytych ataków.

Po uroczystości zaślubin Polski z morzem w lutym 1920 roku w Pucku, Józef Klebba wraz z rybakami - kuzynem Anastazym Klebbą z Rewy i Janem Konkolem z Mecheliniek - został odznaczony przez gen. Józefa Hallera krzyżem zasługi. Generał, wręczając mu odznaczenie, nazwał go „nauczycielem narodu kaszubskiego”. W pierwszych latach niepodległości Klebba został członkiem Rady Powiatowej przy Sądzie Pokoju w Pucku i Wejherowie, a także naczelnikiem urzędu pocztowego w Kosakowie.

Starzy mieszkańcy Kosakowa pamiętają, że kowal miał talent do układania listów oraz podań do urzędów. Niewielu jednak przypomina sobie jakieś jego kaszubskie teksty literackie. Poza poematem „Jak w Pierwoszenie kuescoł budoweł”, opublikował w latach 1924-1925 na łamach „Rodziny Kaszubskiej”, bezpłatnego dodatku wydawanego w Wejherowie „Gazety Kaszubskiej”, między innymi wierszowane powiastki „Dwa uerle”, „Tonący uekręt” oraz pisane prozą legendy i humoreski. Posługiwał się prostym i jędrnym językiem kaszubskim. Niewątpliwie obdarzony był darem opowiadania, jego twórczość poetycka i prozatorska to zgrabnie ułożone gawędy.

Józef Klebba zajął się twórczością, gdy jego syn Franciszek uzyskał pełnoletność i przejął warsztat kowalski. Franciszek, podobnie jak ojciec, zastąpił z nieprzeciętnych umie-

jętności w kowalstwie artystycznym. Po śmierci ojca w 1931 roku stał się pełnoprawnym właścicielem kuźni. Tuż przed wybuchem wojny przebudował warsztat.

Kowala w Kosakowie często odwiedzali żołnierze z oddziałów kawalerii. Franciszek nie tylko podkuwał konie, ale także czyścił je i leczył. Gdy wybuchła wojna, wojsko ulokowało w kuźni radiostację. Podczas walk o Kępę Oksywską Niemcy namierzili radiostację i na kuźnię spadło siedem bomb. Jak mawiał Franciszek Klebba, po bombardowaniu zostało z niej tyle, „co bę mógł w pipę (fajkę) włożyć”. Kosakowo było jedną z najbardziej zniszczonych podgdyńskich wsi. Neobarokowy kościół uszkodzony podczas ostrzału armatniego, a następnie zburzony przez hitlerowców, do dziś nie został odbudowany. Świątynia nadal mieści się w baraku, wzniesionym przez parafian tuż po wyzwoleniu.

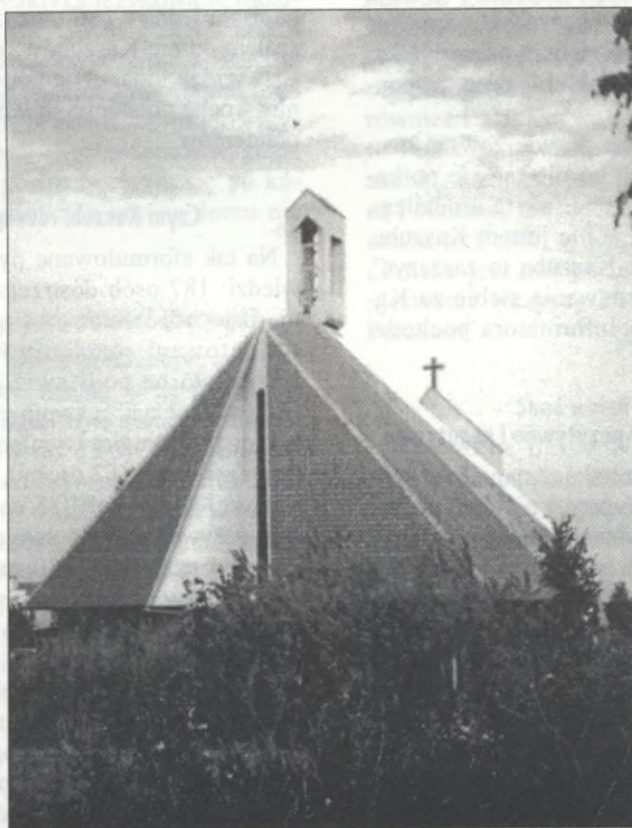
Już na początku wojny Franciszek Klebba został aresztowany przez hitlerowców za współpracę z „podziemną organizacją” i osadzony w Stutthofie. Zmarł tam pod koniec 1940 roku. Pozostał po nim list pisany ołówkiem na urzędowym formularzu obozowym. Częściowo za-

tarte i wyblakłe litery niemieckiego gotyku nie pozwalają na odczytanie treści. Wiadomo, że wszystkie listy wychodzące ze Stutthofu były cenzurowane, kowal więc nie mógł pisać o swojej obozowej tragedii. Niektórzy z ocalonych współwięźniów przekazali rodzinie, że był okrutnie maltretowany i torturowany podczas przesłuchań.

Żona Józefa Klebby, Matylda z domu Krzebietke, zmarła tuż przed ofensywą Armii Czerwonej. Jej wnuk, emerytowany zegarmistrz, Tadeusz Zieman, mieszkaniec Gdyni, zapamiętał ją jako szczupłą, siwą osobę, zawsze ubraną w staroświecką czarną suknię. Z dziecięciorga dzieci Matyldy i Józefa Klebbów tylko troje dożyło dojrzałego wieku. Pozostałe zmarły we wczesnym dzieciństwie lub młodości. W wieku ponad 91 lat zmarła natomiast żona Franciszka, Selma. Dopóki pozwalało jej zdrowie, opiekowała się dwunastoma grobami rodziny Klebbów. Dziś tych grobów już nie ma. Nie ma też śladu po kuźni i zagrodzie Klebbów. Ziemię odkupił gospodarz Roman Głowienke. Ten sam grunt, w latach osiemdziesiątych ubiegłego wieku, jego pradziadek, nakazem władz pruskich, musiał odstąpić Józefowi

Klebbie pod budowę warsztatu kowalskiego. Kowalom w owych czasach stwarzano dogodne warunki do osiedlania się we wsiach pozbawionych kuźni.

Przed laty Tadeusz Zieman jeździł z synem na rowerze do Kosakowa, by chociaż obejrzeć starą dziadkową gruszę. Teraz pozostało mu tylko parę starych fotografii i drobiazgów - tabakiera z rogu w kształcie buta, pojemnik na tabakę, sztylet wykonany z łuski pocisku armatniego, żeliwne żelazko i miniaturowe kowadełko. Niewiele zostało, licząc razem z publikacjami w starych gazetach, po Józefie Klebbie. Tadeusz Zieman wierzy jednak, że dzieło dziadka wciąż trwa w ludzkiej pamięci, w wymiarze niematerialnym. ■



NOWY KOŚCIÓŁ W PIERWOSZYNIE

Jestem Kaszubą

Pół roku temu, w ramach badań dotyczących religijności mieszkańców ziemi wejherowskiej, wśród pytań anonimowej ankiety, którą przeprowadzili życzliwi nauczyciele w klasach siódmych i ósmych szkół podstawowych w Luzinie i Sychowie, były też odnoszące się do świadomości etnicznej. Mam nadzieję, że wyniki owej kwerendy nie tylko dopełnią stan naszej wiedzy o świadomości młodych Kaszubów, lecz także zainspirują społeczność kaszubską i zrzeszeniową do konkretnych działań. Ankiety wypełniło 145 uczniów z Luzina oraz 63 z Dąbrowy, Dąbrówki, Milwińskiej Huty, Robakowa, Sychowa. A oto pytania:

Czy uważasz się za Kaszubę? Dlaczego?

Na powyższe pytanie odpowiedź pozytywną dało aż 190 osób (91,3 proc.). Odpowiedzi negatywnych było 15, w trzech przypadkach respondenci nie mogli się zdecydować. „Jestem Kaszubą” uzasadniano przede wszystkim faktem zamieszkania w tym regionie (73 osoby) i pochodzeniem z rodziców Kaszubów (79 osób). Dotyczy to także młodych, których jedno z rodziców pochodzi spoza Kaszub. Wśród elementów, które pozwalają identyfikować się z Kaszubą, wymienia się m.in.: „moi dziadkowie są Kaszubami” (37 osób) oraz „mówię po kaszubsku” (40 osób) i „czuję się Kaszubą” (27 osób). Nie zabrakło też bardzo wyraźnych deklaracji patriotyzmu kaszubskiego: „od wielu pokoleń tu mieszkamy”, „zawsze tu mieszkaliśmy”, „kocham Kaszuby”, „płynie we mnie kaszubska krew”, „jestem Kaszubą z krwi i kości”, „chodzę do szkoły na Kaszubach”, „podoba mi się kultura kaszubska”, „interesuję się kaszubszczyzną”, „Kaszuby są moją małą ojczyzną”, „lubię czytać książki kaszubskie, śpiewać pieśni”. Wypowiedzi te, wyrażające głębszą afirmację kaszubszczyzny, dotyczą jednak tylko ok. 14 proc. respondentów.

Deklarowana niekaszubskość jest prawie zawsze uzasadniana. „Nie czuję się Kaszubą, bo nie mówię po kaszubsku”, „nie mówię ich gwara”, „choć się tu urodziłem, moi rodzice stąd nie pochodzą”, „ja nie jestem Kaszubą, bo nikt z rodziny nie był, ale być Kaszubą to zaszczyt”. We wszystkich wypadkach nieuznawania siebie za Kaszubę jedno lub dwoje rodziców informatora pochodzi spoza regionu.

Spróbuj określić Kaszubów, ich cechy pozytywne i negatywne

W sformułowaniu odpowiedzi młodzież napotkała spore trudności. 72 osoby (niemal 35 proc.) nie dało żadnej charakterystyki przedstawiciela własnej grupy etnicznej. Wśród pozytywnych cech Kaszuby na pierwszym miejscu wymienia się pracowitość (52 osoby), dalej rzetelność, uczciwość, sprawiedliwość, prawdomówność, życzliwość i uczynność. Młodzi Kaszubi uznają za dobre posługiwanie się językiem kaszubskim (18 osób) podtrzymywanie rodzimych tradycji (15 osób), pielęgnowanie życia rodzinnego (10 osób). O dziwo, wśród postrzeganych u Kaszubów cnót, na stosunkowo dalekim miejscu jest pobożność (Kaszubi są bardzo religijni - 16 osób). W pozytywnym obrazie własnej społeczności dostrzegane są -

aczkolwiek rzadziej - humor i wesołość, mądrość i przywiązanie do ziemi, oszczędność i gościnność. Powtarzają się jednak wypowiedzi idealizujące rzeczywistość: „Kaszubi są skromni, nie pchają się”, „Kochają swoją ziemię i tradycję”, „są wielkimi patriotami, wielu bohatersko walczyło za Polskę i oddało życie za Ojczyznę”, „Kaszubi to naród zjednoczony, solidarny, pomagający sobie, głęboko wierzący”. Młodzież dostrzega też i wysoko ceni wartości kulturowe („ładnie śpiewają, mają piękne pieśni” piękny haft kaszubski, rzeźba).

Prawie połowa informatorów nie dostrzega w społeczności kaszubskiej żadnych cech ujemnych. Pozostali wśród wad swojej grupy etnicznej na pierwszym miejscu stawiają pijaństwo (30 osób), upartość i zawziętość (14 osób), zamykanie się w sobie (8 osób), kłótniowość (8 osób), wstydywanie się kaszubszczyzny (7 osób). „Kaszubi wykazują brak ambicji przy zdobywaniu wykształcenia, nieżyczliwość wobec obcych, nietolerancję religijną” - napisała jedna z osób, uznająca się za nie-Kaszubę. „Słyszałam od nie-Kaszubów, że Kaszubi są chciwi i chytry” - stwierdza inna. „Nie podoba mi się ich język, bo jest w nim trochę polskiego i niemieckiego” - notuje jeden z respondentów.

Czym Kaszubi różnią się od innych Polaków?

Na tak sformułowane pytanie padły następujące odpowiedzi: 187 osób dostrzega różnice i je określa, 12 osób nie dało odpowiedzi, 14 osób żadnej różnicy nie widzi. Ankietowani różnicują Polaków i Kaszubów przede wszystkim na podstawie języka (144 osoby) „Kaszubi mają swój język”, „swoją gwarę”, „swoją mowę i akcent”. Na miejscu drugim wymienia się odrębność dla Kaszub kulturę i zwyczaje (62 osoby), tradycje kaszubskie (17 osób), muzykę, strój i haft (35 osób). Podkreśla się też kaszubskie przywiązanie do swojej ojcowizny (14 osób), pracowitość i uczciwość (10 osób). Pojedyncze wypowiedzi obronno-wyjaśniające (jest ich kilkanaście) odslaniają tkwiące głębiej kompleksy i obawy. Oto one: „Kaszubi nie wyjeżdżają ze swoich wsi, są mocno zakorzenieni”; „Kaszub przekręca słowa polskie, mówi po polsku z trudnością”; Kaszubi nie różnią się prawie niczym poza tym, że mają mocną wiarę w Boga i dbają o Kościół”; „Kaszubi także są ludźmi, tylko mówią po kaszubsku”; „różnią się, bo kiedy gdzieś dalej wyjedziemy, to się z nas śmieją, że mówimy po kaszubsku”; „nie są tak zachłanni na pie-

niądze, jak inni”; „wszyscy mieszkający w Polsce są Polakami, ale różnią się trochę mową, kulturą i tradycjami”; „Kaszubi są lepsi, mądrzejsi. Gdyby Kaszuba był prezydentem, nie byłoby biedy”.

Czy znasz język kaszubski? Kto u ciebie w domu mówi po kaszubsku?

Aż 157 (czyli ponad 75 proc.) respondentów dało odpowiedź twierdzącą na pierwszy człon pytania, pozostali negatywną. Daje się jednak zauważyć dość istotną różnicę między uczniami z Luzina (101 pozytywnych, czyli niemal 70 proc.), a szkołą w Sychowie (56 pozytywnych, czyli 89 proc.). Respondenci są świadomi, że znajomość języka można stopniować. Młodzież z Luzina w znacznym stopniu zna kaszubski „trochę”, chodzi o znajomość bierną, czyli o rozumienie. Taką znajomość kaszubszczyzny posiada tu 65 osób czyli niespełna 45 proc. populacji. Pozostali (chodzi o 36 osób czyli prawie 25 proc.) zdają się używać kaszubskiej mowy w sposób czynny. Jednak tylko 9 osób określa swoją znajomość języka ojców jako „dobrą”. Spośród 56 respondentów z Sychowy 10 osób (prawie 16 proc.) „rozumie i mówi niektóre wyrazy”, pozostali (73 proc.) posługują się rodzimym językiem swobodnie.

O tym, że kaszubszczyzna jest w codziennym użyciu w domu, informują 102 osoby z Luzina. Rodziców rozmawiających ze sobą po kaszubsku jest 55 czyli 38 proc., natomiast dziadków, używających kaszubskiego ma 40 dzieci, co czyni 27 proc. populacji. Dziewięcioro informatorów podaje, iż w ich domu sporadycznie używa kaszubszczyzny jedno z rodziców. W całej badanej w Luzinie grupie w 24 przypadkach na co dzień w domu wszyscy posługują się językiem kaszubskim. Jest to 16,5 proc. Domów, gdzie nikt nie mówi po kaszubsku jest 15 czyli 10 proc.

Nieco inaczej kształtuje się praktyka językowa w rodzinach uczniów szkoły w Sychowie. Aż w 55 (87 proc.) przypadkach ktoś z domowników zwyczajnie posługuje się językiem kaszubskim. Oboje rodzice informatora używają kaszubskiego w 52 przypadkach (82,5 proc.). Wysoka jest też 47 (prawie 75 proc.) - liczba domostw, gdzie wszyscy członkowie rodziny porozumiewają się po kaszubsku. Tylko w pięciu przypadkach nikt w domu nie używa kaszubskiego.

Czy Kaszubi są dumni ze swego pochodzenia? Dlaczego?

Odpowiedź twierdzącą dało 167 respondentów, czyli 80 proc. badanych, 37 osób nie ma zdania w tej kwestii, 4 osoby zaprzeczyły, jakoby Kaszubi byli dumni ze swego pochodzenia. Wśród powodów do dumy wymienia się najpierw posiadanie języka kaszubskiego (30 osób) „inni mają tylko jeden język, a my dwa”, zamieszkiwanie pięknej ziemi kaszubskiej (15 osób), pochodzenia z rodziny kaszubskiej (15 osób), bogatą kulturę (12 osób). Większość informatorów nie podała jednak argumentów tłumaczących zasadność przeżywania kaszubskości w kategoriach dumy i zadowoliła się stwierdzeniem „tak”. Informatorzy sfurmułowali wiele innych przyczyn, dla których „Kaszuba to brzmi dumnie”. „Kaszubi mają wielu wybitnych ludzi, poetów, literatów”, „są znani na całym świecie”, „oczywiście, bo są patriotami i cenią swoje pochodzenie”, „są bardzo dumni, wszędzie pokazują swoją kulturę”, „bo kultura kaszubska jest bardzo bo-

gata i najpiękniejsza”, „w czasie wojny chciano ich zniemczyć, ale stawiali opór, bo walczyli o Kaszuby i o Polskę”, „ponieważ mamy wielu bohaterów, którzy oddali życie za Ojczyznę”, „jestem dumna, bo Kaszuby to moja mała Ojczyzna”, „bo mówię po kaszubsku, mieszkam na tej pięknej ziemi”, „są dumni ze swego pochodzenia, bo są uparci i wytrwale dążą do celu”, „tak, bo są ludźmi nieugiętymi, przez wieki trwają na Kaszubach, nie zamieniliby się na żaden inny region”, „bo wiedzą, kim są, znają swoją wartość i korzenie, są zadowoleni ze swego”.

Brak dumy, stwierdzany przez wyraźną mniejszość (tylko 2 proc.) ankietowanych, łączy się nie tylko z dystansem, ale i wstydem wobec swego języka i kultury. „Niestety, nie wszyscy są dumni, niektórzy wstydzą się przyznać, że są Kaszubami, wypierają się swego pochodzenia”.

Czy uważasz się za Kaszubę czy za Polaka? Czy można rozróżnić jednych od drugich?

Pytanie, choć trochę prowokacyjne i kontrowersyjne, miało zmusić do refleksji nad istotą etniczności Kaszubów i wspólnoty narodowej Polaków.

O ile drugi człon pytania nie nastroczał ankietowanym trudności (prawie wszyscy wskazali na język, kulturę, zwyczaje, strój jako widome znaki odrębności i różnicowania), o tyle pozorna alternatywa - Kaszuba czy Polak sporo sprawiła zamieszania. Dziewięciu ankietowanych zadeklarowało „uważam się za Polaka”, zaś preferencje kaszubskie „jestem Kaszubą” wyraziło 52 zapytanych. Obronną ręką z opresji wyszli wszyscy pozostali czyli 132 (63 proc.) ankietowanych, którzy są zdania, iż są zarówno Kaszubami jak i Polakami. Ciekawe, iż na sugerowany pytaniem „wybór” między Kaszubą a Polakiem odporniejsi okazali się młodzi Kaszubi ze szkoły w Sychowie. Wszyscy deklarujący się jako Kaszubi (58 osób) uważali za konieczne zapewnić o swej przynależności do narodu Polaków. Wśród mieszkańców Luzina aż 52 ankietowanych uznało się za Kaszubów, 74 zamieściło w swej autodefinicji obydwie przynależności. Warto przytoczyć niektóre wypowiedzi dosłownie. „Kaszub jest również Polakiem”, „Uważam się za Kaszubę, bo Kaszub to Polak”, „uważam się za Polaka, chociaż jestem Kaszubą”, „ten, kto jest Kaszubą, jest Polakiem”, „Kaszubi są Polakami, nie można ich oddzielać od Polaków”, „Kaszuba to Polak, tylko z innym językiem i tradycjami”, „Polska jest moją wielką, a Kaszuby małą ojczyzną”, „jesteśmy wszyscy Polakami”, „jesteśmy równi innym Polakom”.

Skąd wzięli się Kaszubi i ich język?

Na ogólną liczbę 208 zapytanych aż 142 (czyli 68 proc.) nie umiało podać żadnej odpowiedzi. Pozostali wypowiedzieli na ten temat wiele kontrowersyjnych opinii. W celu wyrobienia sobie sądu o stanie świadomości historycznej i kulturowej młodych ludzi warto przytoczyć te najbardziej charakterystyczne. Oto wypowiedzi odnoszące się do etiologii mowy Kaszubów: „Język Kaszubów pochodzi od zniemczonego języka polskiego, dlatego inni mówią, że nie należymy do Polski”, „Niemcy nie chcieli, żeby Kaszubi mówili po polsku, dlatego zachowała się mieszanina niemieckiego i polskiego”, „jest to język po części słowiański, po części germański”, „język kaszubski jest bardzo podobny do niemieckiego”, „tu był przez wieki zabór niemiecki, wtedy powstał język

kaszubski pomieszany z niemieckim i polskim”, „ich język ma wiele wspólnego z niemieckim”. Na ogólną liczbę 208 ankietowanych 21 odpowiedzi czyli 10 proc. sugeruje bezpośrednie związki kaszubszczyzny z Niemcami i ich językiem.

Jeden z informatorów podał legendę zasłyszaną od dziadka, objaśniającą pochodzenie kaszubszczyzny. „Pón Jezus miał dwanóścë apostołów. Kôżden z nich dostôł mjech, a w kôżdim mjechu bël jeden jãzëk. Oni mjelë kôżdimu narodowi dac po mjechu. Na ostatku pokazało sã, że jész jeden nóród nick nie dostôł. To bëlë Kaszëbi. Cëż më terô zrobimë, spitôł sã Pón Jezus. Tak wżalë tã nêżki, chtërnë jima ostalë w mjechach, wsëpalë do grëpë, i tak powstôł kaszëbski jãzëk”.

Druga grupa „teorii” tłumaczących powstanie języka kaszubskiego, odwołuje się do innych źródeł. „Język kaszubski to odmiana języka słowiańskiego”, „ich język pochodzi od Słowian”, „kiedyś Kaszubi mieszkali z dala od miast i wymyślili sobie własny język”, „ten język może pochodzić od górali”, „kaszubski jest chyba ze Śląska”, „kaszubski jest językiem rdzennej ludności słowiańskiej”.

Ankietowani próbują też wyjaśnić genealogię Kaszubów: „Kaszubi są rodowitą ludnością Pomorza”, „Kaszubi od wieków mieszkają na Pomorzu”, „Kaszubi pochodzą od Słowian, są rdzenną ludnością Pomorza Gdańskiego”, „w burzliwych dziejach Kaszubi powstałi z sąsiedowania różnych narodowości”, „powstałi z wielu narodów, bo ten teren wielokrotnie był pod zaborami”, „przed wiekami mieszkali tu Słowianie, potem zostało tu trochę Niemców, weszli Polacy i tak powstałi Kaszubi”, „Kaszubi pochodzą z gór, a ich język od Słowian”.

Czy nauczyciele w twojej szkole mają pozytywny czy negatywny stosunek do kultury kaszubskiej?

Zdecydowana większość respondentów stwierdza pozytywne nastawienie swoich nauczycieli do Kaszubów i kaszubszczyzny. Prokaszubskość nauczycieli szkół podstawowych w Luzinie i Sychowie postrzega aż 177 uczniów, czyli 85 proc. Obojętność środowiska nauczycielskiego w tych sprawach dostrzega 12 uczniów, stosunek negatywny siedmiu (3 proc.), zaś 12 osób nie dało żadnej odpowiedzi. Wypowiedzi stwierdzające pozytywne nastawienie nauczycieli i wychowawców do kaszubszczyzny są jednak zróżnicowane. Część uczniów (36 osób czyli 17 proc.) oceniła swoich pedagogów bardzo wysoko: „nasi nauczyciele uwielbiają kulturę kaszubską”, „uczą kochać Kaszuby”, „w szkole uczymy się wierszy i pieśni kaszubskich”, odnoszą się pozytywnie do tego, co kaszubskie”, „lubią uczyć kaszubszczyzny”.

Inni okazali mniej zachwytu w ocenie postaw nauczycielskich: „teraz nauczyciele odnoszą się do kaszubszczyzny dobrze, ale dawniej różnie bywało”, „każdy ma swoje zdanie”, „niektórzy tak, ale wielu zabrania nam mówić po kaszubsku”, „dyrektor (chodzi o Sychowo) uczy kochać Kaszuby, inni zaś są obojętni”, „tylko jeden z naszych nauczycieli ma pozytywne nastawienie do wartości kaszubskich, a nawet jest zachwycony Kaszubami”, „Poza jednym nauczycielem geografii różnie to wygląda”. Z przytoczonych wypowiedzi zdaje się wynikać, iż pedagodzy są w znacznej mierze sprawne kaszubskiej przychylni, ale zaangażowanie w popularyzację kultury kaszubskiej odnosi się do kilku zaledwie osób. Uczniowie nie zawahali się podać, kto w ich szkole jawi się jako apostoł kaszubszczyzny. W Luzinie jest nim przede

wszystkim geograf Feliks Sikora (jest to opinia 41 uczniów), natomiast w Sychowie kilkakrotnie powtarzało się „nasz dyrektor”.

Czy chciałbyś uczyć się kaszubskiego w szkole, dlaczego?

Odpowiedź twierdzącą dało 176 zapytanych, co stanowi prawie 85 proc., negatywną 23 czyli 11 proc. respondentów, 10 osób odpowiedzi nie udzieliło.

Zwolennicy kaszubskiego w programie szkolnym uzasadnili swą opcję przede wszystkim pragnieniem lepszego poznania języka ojców. Kaszubski „mógłby się przydać”, „chcę lepiej poznać kaszubski”, „trzeba znać swój język”, „bo tu mieszkam”, „to przecież nasz język ojczysty”, „to jest język moich dziadków, rodziców i mój”, „wstyd mi, że w domu nie umiem się pięknie po kaszubsku wyśłowić”, „bo jestem Kaszubą i trzeba swój język utrzymać”, „mógłbym z moimi dziadkami rozmawiać po kaszubsku”, „wtedy czułbym się prawdziwym Kaszubą”, „każdy, kto mieszka na Kaszubach powinien znać kaszubski”, „umiem mówić, ale chciałabym nauczyć się pisać i czytać po kaszubsku”, „tak, w celu krzewienia kultury kaszubskiej i zachowania tej pięknej mowy”, „tak, bardzo, bo w domu mówię tylko po polsku”, „język kaszubski powinien być rozwijany, a nie niszczone, bo bardzo Kocham język kaszubski”. Poparcie dla idei wprowadzenia języka rodzimego do szkoły nacechowane jest także troską o przyszłość kaszubskiej grupy etnicznej. „Z językiem łączy się tradycja i jak nie będzie się uczyć kaszubskiego to Kaszubi wyginą”, „chcę uczyć się kaszubskiego w szkole, aby się dobrze nauczyć, żeby kaszubski nie zaginał”, „tak, bo kaszubski idzie w zapomnienie”. Kaszubszczyzna kilku informatorom jawi się jako język „wspaniały i bogaty”, „bardzo lubię słuchać kaszubskiego”, „to jest najpiękniejszy język”, „kiedy człowiek zna dwa języki, jest bogatszy”. Niektórzy ankietowani zaproponowali rozwiązania praktyczne, w jakim wymiarze i jakiej formie wprowadzić kaszubski do szkoły: „kaszubski powinien być w szkole tak ważny, jak polski”, „trzeba uczyć kaszubskiego tak, żeby wszyscy nasi koledzy i koleżanki znali kaszubski”, „żebyśmy umieli łatwo czytać książki po kaszubsku”, „tak, ale dwie godziny w tygodniu”. Dwie odpowiedzi brzmią „jestem za nauką kaszubskiego w szkole, bo coraz więcej wykształconych ludzi mówi tym językiem”.

Odpowiedzi negatywne uzasadniane są następująco: „nie, bo w szkole średniej kaszubskiego nie ma”, „nie, przyzwyczaiłem się do polskiego”, „nie dałbym rady, mam słabe oceny”, „nie, bo nie znam pisowni”, „jest za trudny”, „nie jestem Kaszubą”, „nie, bo program w szkole jest za bardzo przeładowany”, „wolę jednak jakiś język zachodni”.

Czy nabożeństwa w kościele winny być także po kaszubsku, dlaczego?

Na tak postawione pytanie padło 136 odpowiedzi twierdzących (65 proc.), 43 negatywne (niespełna 21 proc.), a 29 ankietowanych (14 proc.) nie miało zdania w tej kwestii.

Młodzi parafianie Luzina (bo wszyscy zamieszkują w jednej parafii) swój pogląd na obecność mowy kaszubskiej w liturgii i życiu Kościoła motywują wielorako. Na pierwszym miejscu (chodzi o 69 osób, czyli 50 proc. opowiadających się za kaszubskim w liturgii) wymieniają fakt, że miejscowa ludność to Kaszubi. „Bo u nas prawie

wszyscy znają kaszubski”, „język kaszubski jest tu powszechnie używany”, „tak, bo do kościoła chodzą także Kaszubi”, „Tak, bo jest to Kościół na Kaszubach”, „tak, bo przecież Kaszuby są naszą małą Ojczyzną”, „Pana Boga można przecież chwalić także po kaszubsku”, „tak, bo jesteśmy Kaszubami”, „tak, Kaszuba powinien modlić się po kaszubsku”.

Inni ankietowani wskazują na pozareligijne argumenty, przemawiające za używaniem kaszubskiej mowy w Kościele. „Tak, poznalibyśmy lepiej nasz język”, „tak, żeby mowa kaszubska nie zaginęła”, „tak, bo nie wszyscy starsi rozumieją trudniejsze słowa polskie”, „żeby kaszubski nie zaginął”, „wielu nauczyłoby się uszanować nasz język i kulturę”, „młode pokolenie przekonałoby się do kaszubskiego”.

Spora część zwolenników sakralnego zastosowania mowy ojców okazuje troskę o nie znających kaszubskiego. Dlatego postulat wprowadzenia mszy św. po kaszubsku obwarowują zastrzeżeniem, żeby pozostawić też liturgię w języku polskim. „Powinna być specjalna msza św. w języku kaszubskim co niedzielę”, „w Luzinie nabożeństwa po kaszubsku powinny być przynajmniej raz w tygodniu, ponieważ mieszkamy na Kaszubach i zapominamy nasz język”, „bardzo bym chciała kaszubskiej liturgii, ale ludzie z wielkich miast mogliby nie zrozumieć”, „wydaje mi się, że takie nabożeństwa powinny być dla chętnych”, „dla znających kaszubski z pewnością tak”, „nabożeństwa kaszubskie tak, ale nie wszystkie”, „nie całkiem, bo niektórzy księża nie znają kaszubskiego i wielu ludzi też”, „mogłyby być dwie kaszubskie msze co niedzielę, np. o 9.30 i 11.00”.

Negatywny stosunek do nabożeństw kaszubskich wynika nade wszystko z troski o nie znających tego języka. Aż 28 - co czyni 65 proc. wypowiedzi (na 43 „nie” dla nabożeństw po kaszubsku) swoją opcję opiera na przeświadczeniu, że taka służba Boża byłaby dla wielu niezrozumiała. „Nie jestem za językiem kaszubskim w nabożeństwach, bo nie wszyscy znają ten język”, „tylko po polsku, bo ludzie z miast by nie rozumieli”, „nie sądzę, bo wielu, co chodzą do kościoła, nie rozumie kaszubskiego”, „raczej nie, bo niektórzy nie znają kaszubskiego, a Kościół jest powszechny”, „nie, bo jest też dużo Polaków”, „z jednej strony nie, bo jak znajomi przyjadą, nic by nie rozumieli, ale z drugiej strony tak, bo powinni nas uszanować”, „mogłyby być, ale trzeba zachować jedną mszę po polsku”.

Kilka odpowiedzi zawiera argumenty natury raczej osobistej: „nie potrzeba kaszubskiego w Kościele, polski wystarczy”, „nie jestem za tym, bo nie znam kaszubskiego”, „nie, bo po co”, „nie, po kaszubsku to by głupio wychodziło”, „nie, po polsku lepiej niż po kaszubsku”.

Jaka jest wymowa zaprezentowanych deklaracji i poglądów nastolatków z gminy Luzino? Co to wszystko znaczy?

Wyniki ankiety potwierdzają zdecydowanie kaszubski charakter lokalnej społeczności. W skład autodefinicji młodego Kaszuby wchodzi przede wszystkim fakt urodzenia się na Kaszubach i pochodzenie z kaszubskich rodziców. Mniejszą rolę odgrywa w samookreśleniu się znajomość mowy kaszubskiej. Co może cieszyć, to znaczny odsetek „Kaszubów z wyboru”. U młodych bardzo wyraźnie zaznacza się świadoma decyzja afirmacji

kaszubskiej przynależności etnicznej. Zadeklarowana w ponad 90 proc. kaszubskość młodego pokolenia świadczy o ciągle aktualnej zdolności społeczności kaszubskiej do asymilacji ludności napływowej.

W świadomości młodzieży gminy Luzino nie sposób niemal dostrzec charakterystycznej dla społeczności zamkniętych kategorii „swój - obcy”. Poświadczą to względnie duży procent ankietowanych, którzy nie uważali za stosowne dokonać rozróżnienia między Kaszubami a nie-Kaszubami. Jest to sygnał osłabienia wewnętrznej spójności kultury mieszkańców i znacznie zaawansowanego procesu urbanizacji. Wśród cech dodatnich przypisywanych własnej grupie etnicznej na pierwsze miejsce wysunięto pracowitość, uczciwość i sprawiedliwość. Musi dziwić dość odległe miejsce pobożności. Być może religijna - katolicka homogeniczność miejscowej ludności i niewielka znajomość innych modeli życia nie pozwoliła ankietowanym zauważyć widocznych różnic w tej dziedzinie. Respondenci mają świadomość, iż pielęgnowanie języka, tradycji i życia rodzinnego jest wartością pozytywną.

Wśród postrzeganych u Kaszubów wad, prym dzierży pijaństwo. Dalej wylicza się kłótniowość, ksenofobię i upartość. Tę ostatnią w dobrych sprawach zalicza się jednak do cnót.

Aczkolwiek przeważająca część ankietowanych wyraziła przekonanie o pierwszorzędym znaczeniu języka kaszubskiego - podstawowego elementu konstytutywnego Kaszuby, zanikająca znajomość rodzimej mowy pozostaje z tym w sprzeczności. Sytuacja językowa jest zróżnicowana. Mieszkańcy Luzina posługujący się kaszubskim w domu, w zwyczajnych okolicznościach, na co dzień, okazują się być zdecydowanie w mniejszości. Rodzice władający mową ojców z reguły nie rozmawiają po kaszubsku z dziećmi. Ewidentne pęknięcie w procesie przekazu kaszubszczyzny w rodzinie jest zapewne wielorako uwarunkowane. Można przypuszczać, iż jednym z głównych powodów zaniechania mowy kaszubskiej jest wieloletnia polityka „wyciszania” regionalizmów, prowadzona przez państwo komunistyczne. Należy też wziąć pod uwagę podmiejski charakter Luzina, gdzie zdecydowana większość mieszkańców dojeżdża do pracy w mieście. Procent ludności utrzymującej się z rolnictwa jest w Luzinie znikomy.

Kaszubski nie występuje też wcale w kontaktach rówieśniczych pomiędzy dziećmi w rodzinie i w szkole. Sytuacja taka na dłuższą metę prowadzi do zupełnej eliminacji kaszubszczyzny. Język, który traci swą podstawową funkcję - narzędzia komunikacji między ludźmi - jest martwy.

Kaszubski pozostaje językiem codziennym w przeważającej części rodzin uczniów szkoły w Sychowie. Domostwa nie-kaszubskie pozostają tam ciągle w diasporze. Mówienie po kaszubsku jest tam „normalne” i oczywiste. Decyduje o tym zapewne rolniczy charakter Dąbrówki, Milwina, Milwińskiej Huty, Robakowa i Sychowa, choć procent ludności napływowej jest na tym samym poziomie co w Luzinie.

Bycie Kaszubą jest dla większości respondentów powodem do dumy. W oczach młodzieży przynależność do

kaszubskiej grupy etnicznej jest swego rodzaju nobilitacją i zaszczytem. U starszego pokolenia takie postrzeganie kaszubszczyzny budzi zapewne zdziwienie. Zaskakiwać musi tak wysoka afirmacja świata wartości, które zwykło się określać kaszubszczyzną. Być może mamy w kilku ostatnich latach do czynienia z procesem przełamywania zastarzałego przekonania, że „Kaszuba jest gorszym Polakiem”. Dalsze badania tego zjawiska pozwoliłyby postawić bardziej precyzyjne diagnozy.

Wiadomo, że Kaszubom w przeszłości wmawiano już to dążenia separatystyczne (w odniesieniu do Polski), już to filogermanizm albo wręcz przynależność do świata kultury germańskiej. Nawet naukowe badania Kaszubów, ich języka i kultury, często prowadzono na zamówienie polityków. Burzliwe dzieje Pomorza Nadwiślańskiego, typowe dla pogranicza - swego rodzaju „kresów” - dla tuziemców oznaczały zawsze cierpienia i kryzys. Wydaje się więc słuszne zapytać: Co myślisz o sobie, kim jesteś?

Biorąc pod uwagę wiek ankietowanych, trzeba przyznać, iż znacząca większość bardzo dojrzałe wybrnęła z opresji. Etniczno-narodowościową deklarację młodych Kaszubów z gminy Luzino spuentować można wypowiedzią jednego z ankietowanych: „kto jest Kaszubą, jest Polakiem”. W młodym pokoleniu Kaszubów tylekroć sztucznie wywoływanego problemu „niepewnej narodowości” po prostu nie ma.

Dlaczego uczestnicy ankiety nie znają historii Kaszubów ani prawdy o pomorskim słowiańskim języku? Jest to smutne, że dwie trzecie wypełniających ankietę nie ma pojęcia o swoich prawdziwych korzeniach, a do tego przytaczane są anegdotyczne raczej historie o góralskim rodowodzie Kaszubów. Krąży przecież żart na temat, skąd Kaszubi się wzięli: „Kaszubi to górale, którzy nie zdążyli na statek do Ameryki”.

Widać więc, że wielokrotnie postulowane przez ZKP przygotowanie podręcznika historii Pomorza do użytku szkolnego jest sprawą pilną. Kwestia językowa wydaje się zaś dotąd zupełnie leżeć odłogiem. Jeśli jeszcze nie wprowadzono obowiązkowych lekcji języka kaszubskiego, co nastroczać może pewne trudności, to zupełnie niezrozumiałe pozostaje zaniedbanie włączenia w lekcje języka polskiego wiedzy o kaszubszczyźnie.

Można się cieszyć, że kaszubskie latorośle mają tak dobre zdanie o swoich pedagogach, że środowisko nauczycielskie spełnia właściwą sobie rolę nosiciela kultury. Jeśli nauczyciel otwiera oczy i serce swoich wychowanków na bogactwa rodzimej kultury, to dobrze. Szkoła nie jest własnością państwa, rządu, ministra oświaty. Ona powinna być na służbie człowieka, z jego specyfiką, tradycją, obyczajami. Szkoła spełniając wobec rodziców pomocniczą rolę, funkcjonuje prawidłowo tylko wtedy, gdy szanuje ich system wartości. Afirmacja swojszczyzny nie może być tylko sezonową modą, ale stałym modelem pracy nauczyciela i wychowawcy.

Uczniowie doskonale wyczuwają nastawienie nauczyciela do miejscowych. Największą satysfakcję mogą przeżywać nauczyciele, których postrzega się jako „miłujących Kaszuby”. Chodzi przede wszystkim o dwie osoby: w Luzinie geograf, w Sychowie dyrektor. Może

nie od rzeczy będzie stwierdzenie: jak wiele może dobry szkólny. Szkoda tylko, że ich tak mało.

Młodzię naszą jest otwarta na ideę języka kaszubskiego w szkole i nie podziela ostrożnego pesymizmu dorosłych. W wypowiedziach uczniów można dostrzec ciekawość, osobiste zainteresowanie kaszubszczyzną, a także troskę o przyszłość języka ojców. Wiele ankiet tchnie wręcz pragnieniem czerpania ze skarbcza praojców, podziwem i zachwytem wobec mowy, która jest częścią ich samych.

Pozwolę sobie w tym miejscu na prośbę o jedną, standardową, szanowaną przez wszystkich piszących po kaszubsku, pisownię. Za dwadzieścia lat doczekamy się może nowego pokolenia poetów, pieśniarzy, dramaturgów, wyrażających bogactwo ludzkiej duszy po kaszubsku. Piszący te słowa wiele razy spotykał się, nawet w gronie najbliższych, z opinią, że czytanie po kaszubsku straszliwie męczy. Zróbmy wszystko, aby współczesne pokolenie wchodzących w życie Kaszubów sztukę czytania i pisania w „rodnej mowie” mogło osiągnąć w szkole. W naszej szkole.

Ankiety przeprowadzono w styczniu i lutym 1993 r., a więc jeszcze przed letnią i jesienną „bitwą o kaszubski w liturgii”. Wśród ankietowanych przewaga zwolenników wprowadzenia kaszubszczyzny do służby Bożej jest ewidentna. Zwraca uwagę wyważona argumentacja na rzecz językowej reformy liturgicznej. Dochodzi do głosu poczucie własnej wartości („to jest Kościół na Kaszubach”). Przekonanie, że trzeba ten fakt w sprawowanym kulcie uszanować dopełnia pewność, że Bóg po kaszubsku rozumie. Młodzi katolicy z luzińskiej parafii optując za takim krokiem widzą w nim miejsce na sprawiedliwość dziejową i szansę na równouprawnienie Kaszubów. Wypowiedzi zdają się zakładać nie zwerbalizowane przekonanie o dużym autorytecie Kościoła, który swą powagą mógłby podbudować autorytet kaszubszczyzny.

Jedna piąta młodych Kaszubów z parafii Luzino wypowiedziała się przeciw kaszubskim innowacjom w sprawach liturgicznych. Dezaprobata ta wynika jednak z troski o nie władających językiem kaszubskim. W kilku wypowiedziach dostrzec można świadomość powszechności Kościoła i uniwersalizm liturgii. Wartości te - wydają się sugerować ankietowani - przez wprowadzenie kaszubskiego do liturgii mogłyby doznać uszczerbku.

W niektórych wypowiedziach doszły do głosu dawne kompleksy. Obawa przed śmiesznością liturgii po kaszubsku ma swe korzenie w przeświadczeniu ukształtowanym w kilku minionych pokoleniach. Według tej opinii kaszubski to język ludzi prymitywnych, niewykształconych, prostych. W czasach zaborów niemiecki uznawano za Hochsprache. Pokolenie moich dziadków i rodziców, drwiąc z polaszących Kaszubów zwykło mawiać „ten gôdô z wësoka”, czyli sili się na polszczyznę literacką. Starsze pokolenie mając zakodowane przekonanie o niższości kaszubskiego może mieć jakieś trudności z wyniesieniem „kaszebskiej gôdki” na ambonę i ołtarze. Jednak autor niniejszego opracowania widział żyły wzruszenia w oczach uczestników niedzielnej mszy św., odprawianej w Luzinie z kaszubską liturgią słowa. Niech te żyły „śpiących” obudzą. ■

Henryk Hewelt

Tatkowi

Tima saméma drózkąma
gdze tak dôwno szlësmë razëm
jesz dzys twoję mowë czëc
jidë z serca drogowskazëm.

Tu tesknic mie je danë
jiscëc w słowach
gôdac z tobą
naji z sobą
bëcë wspominac.

Szeptôł jes prostëchné słowa
chtërných dzys
slëchôł bëm do rena
brzmiącëch jak nôlepsze grani
tëdë sjat bëł le dlô nas.

A na niebië
rój gwiond mërgô
jedna twojim
wzdrokem możë bëc
chcôlbëm biegac
do gwiond oczu
lë wiëm że to wiecznosc je.

Tima saméma drózkąma
westrzod łak zëlonëch
gdze grzëbiëni trôw zdzibanië
ptôków świrgoleni
jesz rôz
jidë najim slôdem
w smëtëm rozmiszlanim.

Chëcz

Chëczô naja stôrô
westrzôd niw dërgotającô
ptôczu dzys nad tobą
obloklë w złotë sëlucë.

Z pól od samëch miedzów
gdze lëpinë kwitlë gorzcu
lë umarlë przindą do ce
obloklë w ruchna sënë.

Pôrenôscë lat ju mijô
cziej sërca jich bic przestalë
lë në gorzcu lëpinë
nad wama plakac nie zabëlë.



Poetka z Warmii

*z mazurskiego
BRULIONU*

Do tego, by na chwilę zostawić Mazury i obrócić spojrzenie ku sąsiedniej Warmii, skłania mnie żywa pamięć o Marii Zientarze-Malewskiej. Pani Maria przeżyła wiele epok. Urodzona 4 września 1894 roku w warmińskim Brąswaldzie, zmarła 2 października 1984 roku w Olsztynie. Tak więc, jak widać, na czas obecny przypada zarówno stulecie urodzin, jak i dziesiąta rocznica jej śmierci.

W olsztyńskim środowisku kulturalnym należała do tych postaci, które jeszcze teraz, przywołane w pamięci, rozjaśniają zatarty obraz dawnej tradycyjnej Warmii z jej gwarą i wiarą prostego ludu, z jej krajobrazem psychicznym i historycznym. Ta Warmia, która była doświadczeniem życiowym poetki i źródłem jej tęsknot, w latach powojennych była na ogół milcząca i jakby pozbawiona głosu. Głos Marii Zientary-Malewskiej - dobywający się z rodzinnego podglebia kulturowego, ale uformowanego przez jej przedwojenną działalność w ruchu polskim - skierowany był raczej ku tym, co przybyli. Pragnęła, by w Warmiakach dostrzegli swych braci. Akcentowała nade wszystko to, co łączy, pomijając krzywdy i cierpienia zadawane przez ludzi znieprawionych przez wojnę. W strofach jej wierszy, będących swoistymi apelami o braterstwo, nader rzadko pojawiała się nuta skargi. Dla poetki warmińskiej, mającej za sobą pracę nauczycielską w regionach, które przed wojną należały do Niemiec (m.in. szkoły polskie w Złotowie, Nowym Kramsku, wiele symboli stanowiło świętość. Takim symbolem jawiła się też Polska. Te przeświadczenia, niezależnie od warunków ustrojowych, jakie po wojnie kształtowały oblicze polskiej już Warmii, kazały jej zachować sporą wstrzemięźliwość ocen. Dlatego odnieść można niekiedy wrażenie, jakby unosiła się ponad trudami rzeczywistości i bolesnymi problemami, których rozwiązanie nie zależało od strof

wierszy. Ale o ludzie warmińskim, dźwigającym krzyż, mówiła: „ja go pragnę podnieść wzwyż, bo jego rany i mnie bolą”. I niezachwiana była jej wiara, że umiłowanie ziemi ojczystej i dobroć serca wystarczą, aby obudzić w innych ludziach te same uczucia miłości i taki sam szacunek człowieka do człowieka.

Wiersze zaczęła drukować od 1920 roku. Jednak rozwój twórczości literackiej Marii Zientary-Malewskiej, dokumentowany książkami jej autorstwa, rozpoczyna się dopiero w połowie lat pięćdziesiątych. Wtedy zdobyła rozgłos zarówno w regionie, jak i w kraju, jako poetka ludowa z Warmii. Sprzyjała temu atmosfera tamtego czasu, baczniejsze przypatrywanie się środowiskom rodzimym na tak zwanych ziemiach zachodnich i północnych. A z drugiej strony - kręgi młodej inteligencji olsztyńskiej, zaniepokojone zainteresowaniem okazywanym twórcom ludowym, podjęły próbę przewartościowania, same pragnąc wydobyć się z cienia. W 1958 roku głośny był artykuł, który już tytułem wskazywał na czyhające zagrożenia, a mianowicie „Pochód staroświecczyny”. Ale ani ta próba, ani podjęta wkrótce - i merytorycznie bardziej płodna - polemika na temat współczesnego regionalizmu, nie były w stanie wyjść wówczas poza propozycję postulowanych rozwiązań i deklarację intencji. Toteż, prócz zarysowania się linii podziałów, atakowani twórcy ludowi znaleźli sobie sprzymierzeńców, zwłaszcza wśród grona pisarzy - przyjaciół Warmii i Mazur. Ich dziełem, wspierającym poczynania dr. Władysława Gębika, organizatora i długoletniego prezesa Oddziału ZLP, była też hierarchia wartości, umacniająca pozycję Marii Zientary-Malewskiej.

Warmińską poetkę poznałem osobiście wtedy, gdy spory o wartości literatury regionalnej trwały jeszcze na łamach prasy i podczas sesyjnych wystąpień, ale jakby już traciły swój początkowy impet.

Był to rok sześćdziesiąty albo następny. Studiowałem wówczas w Toruniu, ale czynne zainteresowanie literaturą sprawiło, że zrazu miałem liczne, a potem coraz ściślejsze kontakty z Olsztynem i jego środowiskiem literackim, którego trzon stanowili poeci ludowi, pamiętnikarze i działacze warmińscy i mazurscy. Szczęśliwym trafem, zdążyłem ich jeszcze wszystkich poznać.

Potem zaś, gdy zamieszkałem w Olsztynie, zdarzały się okazje do częstych spotkań i rozmów z Marią Zientarą-Malewską. W latach siedemdziesiątych parokrotnie odwiedzałem poetkę w jej mieszkaniu na olsztyńskim Zatorzu. Poza tym moja żona przygotowywała redakcyjnie do druku niektóre jej książki, w tym i ostatni tom poezji religijnej (i regionalnej) „Miłość prostego serca”, który w opracowaniu ks. Jacka Jezierskiego ukazał się nakładem Warmińskiego Wydawnictwa Diecezjalnego już po śmierci poetki. Jednak we wspomnieniach najchętniej powracam do pierwszego spotkania, albo jednego z pierwszych, kiedy widzę ją wśród literackich kolegów, wywodzących swój rodowód z tradycji warmińskich i mazurskich, jak Michał Lengowski, Alojzy Śliwa, Teofil Ruczyński, Gustaw Leyding, Fryderyk Leyk i Karol Mattek.

Ich legitymacją była przedwojenna działalność. Wbrew potocznym opiniom, jakie upowszechniano, zdawali sobie sprawę, że to zbyt wąta podstawa, aby ze śmiałością poruszać się po chybottliwym świecie literatury. Jeżeli cokolwiek snuli w tej materii, to myśl o przekazaniu własnych przeżyć i doświadczeń. Odznaczali się skromnością, niepewni pracy rękodzielniczej nad słowem, jaką przyszło im uprawiać, a przy tym - co w środowisku ludzi pióra nieczęsto się zdarza - byli przyjaźni wobec siebie.

W tym gronie osób, różnie doświadczonych przez los i zmienne epoki, Maria Zientara-Malew-

ska cieszyła się sporą estymą. Była pierwszą poetką polskiej Warmii. Przedstawiciele władz nieraz składali jej słowa uznania, a dostojnicy państwowi i partyjni, jeśli przyjeżdżali na uroczystości do Olsztyna, demonstrując swoją zdawkową przychylność do ludności miejscowej, ochoczo ustawiali się do wspólnej fotografii. Wówczas mogli od niej usłyszeć, jak to się zdarzało nieraz: „Niech Pan Bóg błogosławi, panie sekretarzu”.

Ta cała krzątanina wokół poetki, jakkolwiek ze strony władz miała częstokroć charakter propagandowy, pogłębiała rozdziew między osobą uhonorowaną a jej ziomkami z warmińskich wsi. Niewątpliwie stwarzało to pewien dystans, a z czasem, gdy Warmiacy zaczęli wyjeżdżać, poczucie osamotnienia, ale nie było wykorzystaniem. Dla Marii Zientary-Malewskiej Warmia zawsze pozostała świętością.

Ci, na których poparcie mogła liczyć w okresie rozwoju swej twórczości, to ta część inteligencji

warmińskiej ze środowisk oświatowych i kulturalnych, która nie stroniła od aktywnego udziału w życiu publicznym. Swoiste środowisko, przyjazne i mobilizujące olsztyńskich twórców ludowych, stworzyła redakcja „Słowa na Warmii i Mazurach”. Ten regionalny dodatek do „Słowa Powszechnego” stanowił przez lata miejsce, z którego mogli wypowiedzieć się najpełniej. Niezależnie od krytycznej oceny PAX-owskiej ideologii, należy podkreślić, że „Słowo na Warmii i Mazurach” uczyniło sporo dla upowszechnienia wiedzy o regionie. Tutaj Maria Zientara-Malewska opublikowała najwięcej swych wierszy, wspomnień, legend, sylwetek ludzi dla Warmii zasłużonych. Potem, poczynając od „Pieśni Warmianki” wydanych w 1963 roku, na jej dorobek złożyło się prawie 20 opublikowanych książek. A poza tym - spotkania z czytelnikami. Miała ich mnóstwo. Najlepiej czuła się wśród młodzieży szkolnej. Potrafiła nie tylko rozbudzić ciekawość, wycisnąć łzę wzrusze-

nia, lecz, jak to się zdarzało, sama się wzruszyć.

Kto teraz uczy miłości do Warmii? Wiedzą o regionie, o jego kulturze i ludziach nie zajmują się tu ani szkoły, ani instytucje kultury. Zdając sobie sprawę, jak nikłe jest zainteresowanie przeszłością, na początku tego roku zachęciłem znajomego Warmiaka, pracownika naukowego WSP, aby stulecie urodzin Marii Zientary-Malewskiej uczcić przynajmniej książką wspomnieniową. I dr Jan Chłosta zakrzętnął się wokół tego. Dzięki temu teraz, w rocznicowe dni, ukazała się w jego opracowaniu książka pt. „Czytaliśmy sercem”, zawierająca ponad 30 wspomnień o poetce, napisanych przez ludzi bardziej i mniej znanych. Tytuł zbioru jest nawiązaniem do słów Marii Zientary-Malewskiej, które zamieściła w tomie „Warmio moja miła” jako dedykację, a mianowicie - „Czytaj sercem, co zostało napisane z miłości do ziemi ojczystej Warmii”.

Warunki prenumeraty „Pomeranii”

Ceny: kwartalna prenumerata krajowa 45 000 zł, zagraniczna 135 000 zł, półroczna (III i IV kwartał) krajowa 90 000 zł, zagraniczna 270 000 zł. Pojedynczy egzemplarz 15 000 zł.

Wpłaty na prenumeratę krajową przyjmują: ● listonosze na terenach wiejskich ● placówki pocztowe ● jednostki kolportażowe RUCH S.A. na ogólnych zasadach.

Wpłaty na prenumeratę zagraniczną przyjmują: ● placówki pocztowe ● Zakład Kolportażu Prasy i Wydawnictw RUCH S.A., ul. Targowa 28, 00-958 Warszawa, konto: PBK, XIII Oddział w Warszawie, nr 370044-1195-139-11. Nieprzekraczalne terminy wpłat: do 25 II (na II kwartał), do 25 V (na III kwartał i na II półrocze), do 25 VIII (na IV kwartał) i do 25 XI (na I kwartał, na I półrocze i na cały następny rok).

Prenumerata pocztowa jest prowadzona na terenie całego kraju. Przedpłaty za prenumeratę są przyjmowane w urzędach pocztowych od prenumeratorów zamieszkałych na obszarach obsługiwanych przez te urzędy oraz przez doręczycieli w miejscowościach, gdzie nie ma urzędu pocztowego. Wpłaty na prenumeratę są przyjmowane bez pobierania dodatkowych opłat.

Ponadto wpłaty za prenumeratę krajową i zagraniczną w każdym czasie i na każdy okres przyjmuje redakcja oraz sprzedaje numery archiwalne. Adres: ● „Pomerania”, ul. Straganiarska 20-23, 80-837 Gdańsk, tel. 31-90-16, konto: Bank Gdański, IV Oddział w Gdańsku, nr 301817-664390-132.

Dostawa zaprenumerowanych lub zamówionych egzemplarzy pocztą zwykłą bez dodatkowych opłat. Na życzenie dostawa pocztą lotniczą na koszt zleceniodawcy.



FOX - OIL S.C.

80-850 Gdańsk, ul. Rajska 6

Tel. 58/31-94-54, 58/31-28-61, w. 106 i 110
Fax 58/31-94-54 Tlx 0512364

Oferta ciągłej sprzedaży hurtowej:

olej napędowy

etylina 94, etylina 98

benzyna bezołowiowa

w SŁAWNIE, ul. Dworcowa 9

tel. 0-59/10-36-97, fax 0-59/10-30-43

oleje smarne

w SŁUPSKU, ul. Wrocławska 45

tel. 0-59/255-32

Bunkrowanie statków, 24h:

olej napędowy I M.G.O.

olej napędowy II M.D.O.

oleje smarne MARINOL

z GDAŃSKA, ul. Rajska 6

Produkty Rafinerii Gdańskiej S.A.

IRENA I FRANEK

Krzysztof Orzechowski

Artykuł p. Wojciecha Kiedrowskiego o mojej Matce, Irene Fenikowskiej, zamieszczony w czerwcowym numerze „Pomeranii” wzruszył mnie i dostarczył wiele radości. Zawarte w nim pewne uproszczenia czy drobne nieścisłości nie mają żadnego znaczenia. Liczy się przede wszystkim ogólna tonacja tego pięknego artykułu, a przede wszystkim fakt, że przybliżył Czytelnikowi, znającemu twórczość Franciszka Fenikowskiego, postać ostatniej Towarzyszki Jego życia.

Są ludzie, którzy zawsze pozostają w cieniu, poświęcając się jakiemuś celowi lub drugiemu człowiekowi bez reszty. Do takich należała moja Matka. Rola żon i matek artystów, twórców, ludzi bardzo często nadwrażliwych, bezradnych życiowo i niestabilnych psychicznie, jest na ogół anonimowa i niewdzięczna, ale nieprawdopodobnie ważna. Bez niej na ogół nie byłaby możliwa kreacja dzieła sztuki która - jeśli ma przynieść owoc znaczący - wymaga poświęcenia bez reszty. Ktoś musi stać się dobrowolną ofiarą, by inny mógł tworzyć. Pamiętam, że doznałem szoku, kiedy zauważyłem, że moja Matka nie tylko przygotowuje Frankowi, jak dziecku, kanapki, ale jeszcze pilnuje, żeby je zjadł! Później zrozumiałem, że tak być musi. Ci, którzy Franka znali, wiedzą, że gdy dojrzywał w nim jakiś pomysł literacki, zapominał o bożym świecie i nie zastanawiał się, czy pod dopalającym się papierosem znajduje się popielniczka. Role strażaka, opiekunki, sekretarki, maszynistki, księgowej, pielęgniarki, kucharki, praczki i jeszcze dziesiątki innych odgrywała przy Franku, w ostatnich latach jego życia, z ogromnym zaangażowaniem i wiarą w sens swego posłannictwa - Irena. Jednak najważniejsze wcielenie mojej Matki to zapatrzona i zakochana w nim żona, strażniczka i wielbicielka jego twórczości, jak lwica walcząca o należne mu miejsce i uznanie. I ten motyw przebiega z artykułu p. Kiedrowskiego. Dziękuję!

Sam nie zdobyłbym się chyba na napisanie wspomnienia o niej. Była niezwykle skromna w ocenie swojej pozycji życiowej i zawodowej i nigdy nie zabiegała o zaszczyty. Taką wizję swojej osoby na-



W DNIU ŚLUBU

rzucała otoczeniu, dlatego często była niedoceniana, a nawet lekceważona. A przecież, mimo że nie miała uniwersyteckiego wykształcenia, obdarzona była żywą, wrodzoną inteligencją, poczuciem smaku i wielką kulturą osobistą. Była czytana i chłonna wszystkiego, co dzieje się na świecie. Posiadała niewątpliwie zdolności literackie. Była solidna i wytrwała. W głębi duszy zdawała sobie sprawę ze swoich licznych talentów i czasami do głosu dochodziły jej ambicje własne, wtedy potrafiła być niemiła. Te rozdarcia były często gwałtowne, ale trwały niezbyt długo, szybko i z pokorą godziła się ze swoim posłannictwem: życia dla kogoś innego i pozostawania w czyimś cieniu. W pożegnalnym liście do mnie (swoje odejście przygotowała niezwykle starannie, jak wszystko czym się zajmowała za życia) pisała: „Żadnego nekrologu, o to już prosiłam, ani przed pogrzebem, ani po. To nie jest potrzebne, nie mam zasług, nie jestem »kimś« a nie chcę, aby ludzie przyszli z ciekawości, nie chcę też tych, którzy mnie nie lubili (...). Niech za trumną idą tylko ci, którzy mnie cenili i którym będzie mnie brak. Przed ustaleniem daty pogrzebu nie zawiadamiaj nikogo; osobom spoza Warszawy trudno jest się wyrwać z domu, mogą nie mieć pieniędzy. Niech raczej zamówią za mnie mszę św. i odmówią modlitwy”. Ile w tych słowach zamyka się skromności, pomieszanej z gwałtowną potrzebą akceptacji. Zacytowałem ten fragment, ponieważ wiele osób miało do mnie pretensje o brak informacji o jej śmierci. Niech te zdania będą wytłumaczeniem. Następnej dyspozycji zawartej w jej ostatnim liście nie wykonałem: „Mówiłam parokrotnie, że nie muszę leżeć nad Frankiem, nie trzeba Mu zakłócać spokoju. Zresztą o wiele drożej będzie kosztowało podniesienie płyty w tej ciasnocie, niż wykupienie nowego miejsca i pochowanie w ziemi na tym cmentarzu. Wcale mi nie zależy na miejscu murowanym. Poza tym nad Frankiem tak pięknie rosną krzewy, nie trzeba ich marnować”. Irena i Franciszek spoczywają we wspólnym grobie. Krzewy znakomicie zniosły Maminy pochówki i rozrosły się pięknie.

Moja Matka pochodziła, jak słusznie napisał p. Kiedrowski, z zamożnej pomorskiej rodziny. Ale jest

to tylko pół prawdy. Jej ojciec, a mój dziadek, był przed wojną cenionym i bardzo bogatym toruńskim kupcem. Część jego rodziny wywodziła się z Poznania i dziwnym zrządzeniem losu jakąś „odnogą” splatała się z przodkami Franka Fenikowskiego, co oczywiście okazało się dużo później. Babka natomiast pochodziła z kresów. Zetknięcie dwóch żywiołów, wschodniego i zachodniego, nastąpiło po zakończeniu I wojny światowej w punkcie dla przesiedleńców - w Toruniu. Tam, dojrzały już i zasłużony dla Pomorza właściciel wielkiej firmy nasiennio-ogrodniczej, zobaczył po raz pierwszy młodszą i piękną repatriantkę ze Wschodu, która nie miała nic, prócz warkocza do ziemi. Jej rodzice, a moi pradiadkowie w czasie bolszewickiej rewolucji i działań wojennych przeszli swoją „drogę krzyżową”, tracąc wszystko, co posiadali (nie było tego wiele). Przeżyli wraz z dziećmi dzięki wielkoduszności sąsiada, zamożnego Żyda, który dokarmił ich obierkami z buraków. Babka, dumna kresowianka, broniła się długo przed nie chcianymi konkurentami oszalełego z miłości Pomorzaka. W końcu jednak uległa, w czym oczywiście znaczącą rolę odegrała jego pozycja i majątek. Było to z jej strony typowe małżeństwo z rozsądku. Fuzja krwi, która wtedy się dokonała, kształtowała charakter następnych pokoleń (mojej Matki i mój) i wpływała w sposób zasadniczy na nasze losy. Wschodnia fantazja i kresowa „szerokość” była zawsze krępowana pomorsko-poznańską solidną zasadniczością. Natomiast po kim odziedziczyliśmy usposobienie „wybuchowe” i charaktery „trudne” - dziś nie sposób dociec. Być może, po babce mojego pomorskiego dziadka - Francuzce.

Matka po uszy tkwiła w rodzinnych wspomnieniach i pamiątkach. W ostatnich latach swego życia, oprócz heroicznej walki o twórczość Franka, złożyła hołd swoim przodkom. Z ogromnym wysiłkiem (walczyła przecież z nieuleczalną chorobą) i znacznym nakładem kosztów zgromadziła imponującą dokumentację oraz unikatową ikonografię i w oparciu o nie napisała wielki tom naszej rodowej sagi, dedykowany najmłodszemu pokoleniu pro memoria. Prócz tego w tym samym czasie przelała na papier swoje impresje z dzieciństwa, a także wspomnienia o dziadkach ze Wschodu. Są to zajmujące i wartościowe pozycje.

Poznali się z Frankiem, tak jak wspomina p. Kiedrowski, w sposób zadziwiający - podczas omyłkowej rozmowy telefonicznej. W roku, o ile mnie pamięć nie myli, 1975. Byłem wtedy aktorem (studia reżyserskie ukończyłem parę lat później) i często nagrywałem poezję dla Polskiego Radia. Tak się dziwnie złożyło, że w tym czasie brałem udział w cyklicznej audycji, poświęconej współczesnym polskim poetom. Dostałem do przeczytania wiersz Franka o Czarcięj Wyspie. Pamiętam, że zrobił na mnie dobre wrażenie: był lepszy od innych i świetnie go się mówiło! Po nagraniu wypytywałem reżysera audycji, p. Wojciecha Maciejewskiego o Fenikowskiego, ponieważ z jego twórczością poetycką zetknąłem się po raz pierwszy. Okazało się, że pan Wojciech przyjaźnił się z Frankiem w okresie poznańskich studiów i bardzo był kontent z mojej pozytywnej recenzji. Gdy w jakiś czas później Mama zdała mi relację ze swojej nocnej rozmowy z nieznanym gdańskim poetą, mogłem z czystym sumieniem powiedzieć, że go znam!



W DUBROWNIKU, WRZESIEŃ 1977 r.

Cywilny ślub wzięli w mokatowskim urzędzie 4 listopada 1976 roku. Kościelny dopiero później, po śmierci mojego Ojca, z którym Matka od wielu lat była w separacji. Tą datę podaje p. Kiedrowski: luty 1981 rok.

W jakiś czas po urzędowym ślubie przed domem pojawiło się ukochane dziecko - Andzia. Był to trabant combi, jedyny namacalny dowód poprawienia materialnej sytuacji w domu przy ul. Krasickiego po wprowadzeniu się doń pisarza z wielomilionowymi nakładami! Piszę o tym żartobliwie, ale to zadziwiające, jak dalece Franka nie trzymały się pieniądze i jak nie potrafił ich zarabiać. Kompletny brak zmysłu praktycznego był jedną z jego głównych cech. A że moja Mama (mimo kupieckich korzeni), również nie miała pojęcia o interesach, żyli z dnia na dzień przyzwyczajeni, ale bez nadmiernych szaleństw. Ewentualne nadwyżki finansowe pochłaniały liczne podróże (m.in. statkiem do Nowego Orleanu!), które zawsze były pasją Franka, teraz stały się pasją Mamę. Dość powiedzieć, że po pięćdziesiątce zrobiła prawo jazdy! Franciszek nie prowadził nigdy. Były to najszczęśliwsze lata w życiu mojej Matki, które dotąd nie było usłane różami. Proces mojej Babki, przedwojennej „burżujki” i jej stalinowskie więzienia - Fordon i Mokotów - konfiskata mienia, upaństwowienie toruńskiej firmy, kłopoty osobiste, nieudane pierwsze małżeństwo, wegetacja zawodowa poniżej możliwości i zdolności, bo brak było jakiegos papierka, problemy ze zdrowiem - wszystko to zrekomensowało jej siedem lat spędzonych z Frankiem. O stosunku Franka do mojej Matki pisał p. Kiedrowski w swoim artykule, cytując jego listy. Od siebie dodam, że na ogół ludzie, którzy poznają się i łączą w wieku dojrzałym, „docierają się” bardzo trudno. Każdy z nich wnosi багаż nawyków i doświadczeń, kompletnie nieprzystawalnych, a im ktoś starszy, tym trudniej zrezygnować ze swojego „ja”. Zadziwiające jest to, że związek Franka i Ireny od samego początku cechowała idealna symbioza: wzajemna miłość i zrozumienie.

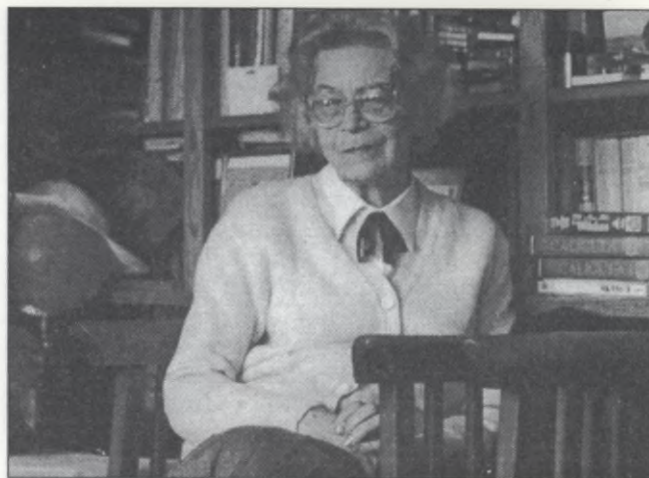
To najgorsze przyszło pierwszej wigilijnej nocy stanu wojennego, w roku 1981. Nie, jak pisze p.

Kiedrowski „przed podzieleniem się opłatkiem”, ale później, po Wieczerzy. Jedliśmy ją wspólnie w domu przy Krasickiego. Był Franek, mama, moja była żona, ja i nasza dwuletnia córeczka. Nie zauważyliśmy u Franka żadnych symptomów zbliżającej się choroby. Był przygnębiony, jak większość Polaków w tym czasie. Z typową wrażliwością introwertyka stan wojenny przeżywał bardzo mocno, ale „do środka”. Wcześniej poszedł do swojego pokoju się położyć, i też nie było w tym nic dziwnego, tak czynił zazwyczaj. Dopiero później Mama, rekonstruując ten dzień, zwróciła uwagę na jego nietypowe zachowanie: nieco bełkotliwą mowę i lekkie zachwiania równowagi. Nie mogła sobie darować, że wtedy to zbagatelizowała - przecież nie było alkoholu! Ja jednak niczego szczególnego nie zauważyłem i myślę, że spostrzeżenia te podsunęła Mamie wyobraźnia i rozpaczliwe rozpamiętywanie nieszczęścia.

Wróciliśmy z żoną i dzieckiem do domu dosyć wcześnie (mieszkałem wtedy na Stegnach), już nie pamiętam, jak - chyba samochodem na resztkach zaoszczędzonej benzyny. Rano obudził nas dzwonek do drzwi. Syn sąsiadów Mamy, brnąc przez śnieg (telefoncy przecież nie działały), przyniósł tragiczną wiadomość: z Frankiem stało się coś niedobrego.

Paraliż był obustronny i bardzo silny. Od początku było wiadomo, że powrót do zdrowia, nawet częściowy, jest praktycznie niemożliwy. Mama jednak żyła wiarą i złudzeniami. Wykrzesala z siebie nadludzkie siły i podobnych poświęceń wymagała od innych. Pierwszym szpitalem była Klinika Neurologiczna przy al. Sobieskiego. Ci, którzy pamiętają dobrze tamtą zimę, wyobrażą sobie łatwo jej konsekwencje podczas próby ratowania kompletnie bezwładnego i nieprzytomnego człowieka. Brak telefonów, utrudniona komunikacja, zmilitaryzowane szpitale, w których funkcje sanitariuszy spełniali oddelegowani żołnierze lub mniej zdolni kapusie, jeśli do tego dodać beznadziejność przypadku Franka w sensie medycznym - wyraźnie widać dlaczego pani prof. Nielubowicz była całkowicie bezradna.

Dalsza rehabilitacja Franciszka odbywała się w domu. Tu muszę sprostować pewne informacje zawarte w artykule p. Kiedrowskiego, a oparte prawdopodobnie na listach mojej Mamy do Gdańska. Otóż Mama każdy, nawet najmniejszy czy przypadkowy symptom polepszenia stanu zdrowia Franciszka wyolbrzymiała i szalała wprost z radości. To zrozumiałe. Niestety, prawda była okrutna: on nigdy nie odzyskał mowy w stopniu zadowalającym, porozumiewał się w najprostszych sprawach monosylabami lub poszczególnymi, z najwyższym wysiłkiem przypominanymi, słowami. Odzyskał częściowo umysłowy kontakt ze światem, poznawał niektórych ludzi, cofnął się nieco paraliż jednej strony ciała. Najbardziej bolesne było to, że wyraźnie widać było jego mękę, rozpacz i złość z powodu niemożności przekazania swoich myśli i uczuć. Nigdy nie wróciła mu sprawność na tyle, by mógł samodzielnie chodzić. Poruszał się z najwyższym trudem, prowadzony przez rehabilitanta lub Mamę. W lecie 1982 roku nie wiedząc czemu, postanowił sam wstać z łóżka i upadł. Nastąpiło drugie nieszczęście, które praktycznie przekreśliło wszelkie nadzieje na dalszą poprawę. Nie wytrzymały zwiotczałe mięśnie. Franciszek złamał kość biodrową. Tym razem Franek trafił do szpitala na Szaserów, do kliniki prof.



PÓŁ ROKU PRZED ŚMIERCIĄ (WIELKANOC 93)

Tylmana. Tam poddano go częściowemu zabiegowi, całkowita wymiana panewki nie miała w jego wypadku sensu. Dalsze pogorszenie nastąpiło jesienią. Zaczął buntować się układ trawienny, niszczone nadmiarem lekarstw i leżeniem bez ruchu. Powróciła zaleczona kiedyś choroba wrzodowa. W trzecim szpitalu - w Akademii Medycznej na Banacha nastąpił wewnętrzny krwotok, który stał się bezpośrednią przyczyną jego śmierci. Było to 15 listopada 1982 roku.

Moja Mama po paru zaledwie latach szczęścia, po roku heroicznej walki o przedłużenie tego okresu, znowu została sama. Podziwiałem ją. Pan Kiedrowski pisze o „drodze krzyżowej”, którą teraz dopiero przeszła. Słusznie. Ale jednocześnie warto wiedzieć, że był to czas jej największej aktywności; na przekór nieszczęściu i własnej, postępującej chorobie. O jej nieprawdopodobnych wysiłkach, by twórczość Franciszka nie odeszła w zapomnienie, opowiedział obszernie pan Wojciech w swoim artykule. Niestety, komercjalizacja rynku wydawniczego, „otwarcie” na zachodnie pozycje brukowe, dotknęły boleśnie Fenikowskiego - jego książki praktycznie zniknęły z witryn księgarskich. Beznadziejna batalia prowadzona z wydawcami była dla mojej Matki z pewnością najbardziej wyczerpująca. Ale w tych latach znalazła jeszcze siły, aby skatalogować i opracować całą Frankową twórczość, odczytać rękopisy, które poddawały się tej próbie, przygotować do ewentualnego druku parę tomików wierszy, przepisać lub skopiować wiele utworów. To nie wszystko! Wspomniałem już o napisaniu przez nią dwóch tomów wspomnień i wielkiej rodzinnej sagi, co było poprzedzone żmudnym gromadzeniem materiałów. Podjęła też na jakiś czas pracę zawodową (znowu poniżej jej możliwości), by podratować szczupły budżet emerytki. Opiekowała się swoją matką, a moją Babką, którą w stanie pogłębiającej się demencji zabrała niemal siłą z Torunia do Warszawy. Babka cierpiała dodatkowo na pourazowy niedowład nóg - dla mojej Mamy oznaczało to, podobnie jak w przypadku Franka, dźwiganie bezwładnej kobiety przez ostatnie miesiące jej życia. Po śmierci Babki Mama zaczęła rozliczać się z tym światem: porządkowała dom, rodzinne papiery i pamiątki. Przygotowała wzorowo wszystkie dyspozycje dla mnie na wypadek swojego odejścia.

„Do mieszkania na Krasickiego zagląda niedostatek” - pisze p. Wojciech Kiedrowski. Dwumilionowa

emerytura ze starego portfela nie na wiele starczała. Pieniądze z wydawnictw napływały sporadycznie, często trzeba było je wydzierać z gardeł wydawców, tropiąc nagminne przypadki łamania prawa autorskiego. Były to kwoty minimalne, na ogół dotyczyły n-tych edycji, za które płaci się grosze. Resztki rodzinnych zasobów wyczerpały się. Coraz więcej pieniędzy pochłaniały lekarstwa. Mama stale podupadała na zdrowiu, a koszty leczenia rosły w Polsce zastraszająco. Pomagałem jak mogłem, na ile mnie było stać. Na szczęście Ania, moja „lepsza połowa” rozumiała sytuację i wielkodusznie przejęła ciężar utrzymania krakowskiego mieszkania na siebie.

Stan zdrowia Mamy pogarszał się z dnia na dzień. Zawsze była kobietą schorowaną. Trudy życia odcisnęły na niej trwałe piętno. Pogłębiała się nieuleczalna wada serca, niedomogi krążenia, odwapnienie kręgosłupa. Do swoich chorób miała zawsze stosunek szczególny. W pewnym sensie je „lubiła”. Cierpiała całe życie na kompleks niedowartościowania i prawdopodobnie podświadomie sądziła, że dzięki swoim dolegliwościom zyska czyjeś życzliwsze zainteresowanie. To powodowało, że nawet błahy choroby urastały w jej interpretacji do znacznych rozmiarów. Zawsze jednak zapominała o swoim cierpieniu gdy czuła, że jest naprawdę komuś potrzebna. Tak było do czasu, gdy usłyszała diagnozę: rak języka z przerzutami na węzły chłonne szyi. Nie potrafiła tych słów jak wyroku. Tym razem opanowana i spokojna podjęła trzyletnią, świadomą walkę z tą groźną chorobą.

Operacja, mimo że udana, nie przyniosła rezultatu. Po jakimś czasie pojawiły się nowe przerzuty w następnych węzłach chłonnych. Potrzebne były nasświetlania, które zniosła bardzo źle - spaliły jej śluzówkę jamy ustnej. Potem zaatakowany został układ limfatyczny, pojawiła się woda w płucach i konieczność punkcji.

Umarła na moich rękach w Szpitalu Mokotowskim 8 listopada ub. roku. Była przytomna. I mimo że na śmierć przygotowana, bo jak często mówiła, nie miała już siły żyć, tylko ja jeden mogę powiedzieć jak bardzo, do ostatnich sekund swego ziemskiego bytowania, nie chciała od nas odchodzić.

Na grobie z szarego piaskowca nie ma, jak podaje p. Kiedrowski, pomorskiej kotwicy. Był kiedyś taki pomysł, ale - nie pamiętam dlaczego - nie został zrealizowany. Są natomiast dwie czarne, granitowe tablice obrobione bluszczem. Do obu napisy wymyśliła moja Mama. Jeden dostojny, może odrobinę pompatyczny brzmi: ś.p. Franciszek Fenikowski Poeta i prozaik 15.V.1922 + 15.XI.1982. Piewca morza. Dziejopisarz Polskiego Wybrzeża. Człowiek, który był jak promień słońca. Non omnis moriar. Napis na drugiej tablicy jest prostszy i skromniejszy: ś.p. Irena Fenikowska * 2.VII.1923 + 8.XI.1993. Tutaj oczekuje Zmartwychwstania. W listopadzie przypadają rocznice śmierci Franka i Ireny. Z tej smutnej okazji pragnę przedstawić nieznane i nie publikowane dotąd wiersze zmarłego przed dwunastu laty poety. Wiersze intymne, związane z warszawskim domem i poświęcone mojej Matce. Pochodzą z przygotowanego do druku tomiku, złożonego w krakowskim Wydawnictwie Kasjopeja. Po dwóch latach oczekiwania Mama odebrała maszynopis.

Franciszek Fenikowski

I.

Żelazną spuścił ktoś kurtynę
żarówka pod sufitem gaśnie,
z czterech stron kraty, mury sine,
w tym to metrażu zdycham właśnie;
lecz wiem: przebiję ślepą ścianę,
wyjdę z mej celi w czas, w przestrzenie,
odkopię źródła zasypane,
ugaszę spiekłych warg pragnienie.

II.

Bądź ze mną aż do końca,
aż do ostatniej chwili,
gdy krąg szernieje słońca,
gdy się nade mną schyli
ta, która z mgły ma ciało,
gdy ujrzę ją w agonii:
... gotycką, mglisto-białą,
z klepsydrą w wąskiej dłoni.

kwiecień 1975 r.

PIERWSZY WIERSZ DLA MNIE

napisany w trzecim miesiącu naszego poznania.

Gdy mówiłam - Boże, jakie to smutne!

powiedział - Nie, kochana, to wiersz optymistyczny!

Dokonało się tak, jak to zobaczył
w tym kwietniu 1975 r.

Byłam przy Nim aż do końca...

Nikło świeciła żarówka pod sufitem,

szare były ściany separatki,

łóżko miało boczne okratowania.

Trzymając parę godzin maskę tlenową na Jego twarzy

- zwilżałam Mu spieczoną usta, ciągle otwarte,

z takim trudem i męką walczące o odrobinę powietrza...

(dopisek Ireny Fenikowskiej)

Franciszek Fenikowski

Czwarty listopada

Nicość to brak miłości. Tylko to. Nic więcej.
Radioaktywny obłok na ziemię niczyją.
Twarz rozpaloną kryję w chłodne twoje ręce
słuchając jak w ciemnościach niespokojnie bija
dwa serca - rdzawe źródła.

Złe przeczucia rosną,
intuicja zawiodła, splątały się drogi,
powariowali ludzie i startują w kosmos
z oswojonej planety ku śmierci złowrogiej...
Nie patrz za szyby okna: niebiosy w chmur pięściach,
pod nimi nagie drzewa drżą w szadzi i śniegu...

Miła moja, jedyna, bądź podkową szczęścia
osrebrzającą w zmierzchu próg domu naszego

4 listopada 1977 r.

Preludium deszczowe dla Iki

Parasole kwitną
Krzywym Kołom, Dunajom, Zapieckom,
Nowym Światom,
pod kolumną szaro-błękitną
w mżawce sinej
dorożkę z budą czarną, staroświecką
spotkałem,
zaraz deszczem
zatnę
szkapę modrej godziny,
przez Warszawę, co dygocąc moknie,
staccatto
w Mokotowa pojedę stronę
i koniec końcem
zapalę w Twym oknie
nasze słońce
małe,
prywatne,
wciąż jeszcze nieupaństwowione.

8.09.78



Dariusz Piasek

Ze świętym Rochem

NA ŚCIEŻKACH MORU

Niedawne wypadki na pograniczu Zairu, gdzie w obozie dla uchodźców rwandyjskich w ciągu kilku dni zmarło na cholere kilka tysięcy ludzi, przypomniały światu o tej groźnej chorobie zakaźnej, która, jeszcze nie tak dawno, była prawdziwą zmorą także naszego kontynentu.

Czym była zaraza dla naszych pradziadów, o tym bardzo plastycznie opowiada stara pieśń dziadowska, śpiewana po odpustach przez wędrownych pieśniarzy, a ułożona gdzieś na początku XVIII w. przez Michała Grodzkiego, księdza spod Ełku (zob. „Karnawał dziadowski”, wybór i opracowanie S. Nyrkowski, 1977). Dotyczy ona wprawdzie wydarzeń w dawnych Prusach Książęcych (wówczas należących już do Królestwa Pruskiego), ale były one ogniwem długiego łańcucha nieszczęść, który opasał całe Królestwo Polskie, poczynając od Ukrainy (1705), poprzez Warszawę (1707), aż na Pomorze (1708) i Prusy (1709-1710). Jak zwykle zaraza była konsekwencją wojny. Toczona od 1700 roku między Szwecją a Rosją i Saksonią, prowadzona była również na ziemiach Rzeczypospolitej. Obce armie i wspomagające je oddziały polskie nieustannie rabowały miejscową ludność, doprowadzając do straszliwej nędzy i głodu, a w konsekwencji do wybuchu epidemii. Wtedy zaś, jak pisze ks. Grodzki:

Daleko uciekał jeden od drugiego
Przyjaciół już nie znalazł przyjaciela swego,
Rad by go ratował, a przed nim uchodzi
Zostawia go Bogu, aż go On ochłodzi.



FIGURA ŚWIĘTEGO W OSIEKU

Któż powie, że wtenczas smętarza szukano
Lub we wsi, lub w polu, lub w lesie chowano,
Gdzie kogo śmierć zaszła, tuż i dół zrobiono,
Tamże go wrzuciwszy ani mu dzwoniłono.

Już tam nie szukano księdza ni kańtorą,
Chociaż wynoszono i panów ze dwora.
Bogate, ubogie zarówno rzucano,
Tak młodych, jak starych pospołu mieszano.

Często - żal się Boże! - trupy nie chowane
Leżały, gdzie padły, jak wodą zalane;
Nie przyszły i w ziemię, gdyż psi niejednego
Pożarli do szczytu. Cóż nad to gorszego?

Hufcami zaś żywi po wioskach chodzili
I o miłosierdzie żywności prosili
Niektórzy złośliwi chodząc rabowali
U zdrowych i chorych, kędy co złapali.

Otóż i takowi nie ušli tej kary,
Gdyż śmierć porywała i onych bez miary.
Jak się najeść, napić dowoli myśleli,
Wnet żywota swego morem pozbawili.

Wszędy mór panował, porywał ze świata,
Choć kto prorokował sobie dobre lata.
Mądre i prostaki z tej czesności zbierał,
Jak z czarnej tablicy kreski białe ścierał.

Jak na księdza przystało, podaje on także naukę moralną, jaka, według niego, ale i większości jemu współczesnych, płynęła z tego doświadczenia:

Wspominając na to, o człowieku miły
Uważaj, coby to za przyczyny były.
Wiedźże o tym pewnie, żeś to grzech twój
sprawił,
Żeś naprzeciw Panu występnym się stawił.

Jeśli więc zaraza była dopustem bożym, to i najpewniejszą ochroną przed nią mogła być tylko pokuta i uciekanie się do pomocy Nieba. W średniowieczu troski trapiące człowieka bardzo skrupulatnie rozdzielono pomiędzy różnych świętych, którzy niczym niebiescy adwokaci mieli wspomagać nas w zabiegach o przychylność Najwyższego Sędziego. Jednakże mnogość błogosławionych i rozmaite tradycje lokalne spowodowały, iż patronat nad chorobami zakaźnymi przypadł aż kilkunastu świętym, spośród których do najsławniejszych należeli: Rafał Archanioł, Tekla, Barbara, Rozalia, Antoni pustelnik, Sebastian, Jerzy oraz znany nam już Roch z Montpellier. Na Pomorzu, na co wskazuje liczba zachowanych do dzisiaj śladów kultu, najpopularniejszy był właśnie św. Roch.

Najsłynniejsze pomorskie sanktuarium tego patrona znajduje się do dziś w Osieku koło Skórcza. W miejscowości tej, jak podaje w swojej broszurce („Żywot św. Rocha”, 1927) wielki entuzjasta i krzewiciel kultu św. Rocha, ks. Władysław Karpiński, proboszcz osiecki (zamordowany przez Niemców w 1939 roku), już w XV wieku znajdowały się dwie kaplice pod wezwaniem tego świętego: jedna w wiosce, druga na zamku krzyżackim, nad bramą wjazdową do niego. Ruiny zamku zostały rozebrane pod koniec XVIII wieku, nato-

miast w miejscu kaplicy wiejskiej, po ustanowieniu w Osieku parafii, wybudowano w latach 1865-66 kościół pod wezwaniem tego świętego, przy którym stanęła w końcu tego wieku okazała kolumna z naturalnej wielkości figurą św. Rocha. Jest to prawdopodobnie jego największy pomnik na Pomorzu. Co ciekawe jednak, nie występuje on tu ze swoim najbardziej charakterystycznym atrybutem, czyli psem z chlebem w pysku. Druga kapliczka, także z okazałą figurą, stoi przy drodze do Skórcza (ul. Partyzantów Kociewskich).

Ks. Karpiński, zbierając materiały do swojego wydawnictwa, rozesłał ankietę z prośbą o dostarczenie informacji o kulcie św. Rocha. Na terenie dawnej diecezji chełmińskiej udało mu się znaleźć 28 miejscowości, w których ów święty miał swoje figury bądź kaplice, a także bractwa charytatywno-modlitewne pod jego wezwaniem, lub z których organizowano pielgrzymki do sanktuarium w Osieku. W swoich wędrówkach po Borach i Kociewiu stwierdziłem, że liczba ta jest z pewnością daleko zaniżona, mimo ubytków wojennych, ponieważ sam trafiłem do kilku

miejsc, o których nie wspomina ks. Karpiński, a gdzie kult św. Rocha sięga co najmniej XIX, a nawet XVIII wieku.

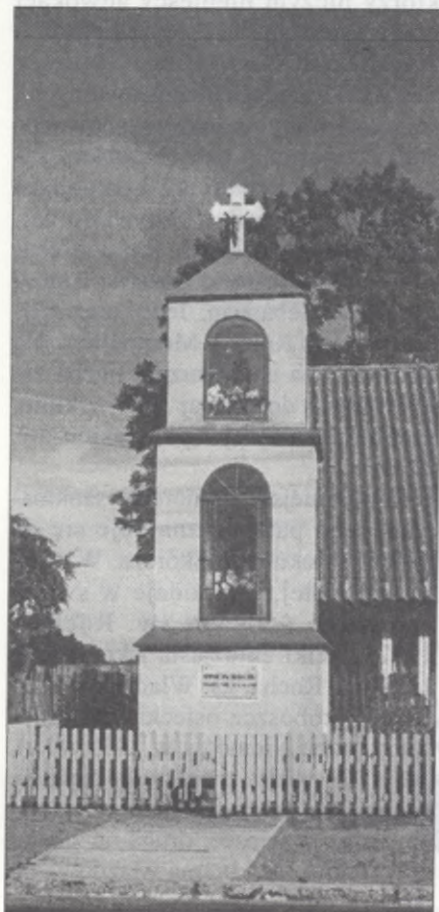
Pierwszą kapliczkę z drewnianą, ludową figurką św. Rocha znalazłem w Tucholi przy ul. Chojnickiej. Następną kilkanaście kilometrów dalej, w Klonowie. Kapliczka z figurą stoi tam, co bardzo znamienne, na dawnym cmentarzu cholerycznym, przy drodze do Lubiewa. Miejsce to posiada zresztą bardzo bogatą historię, gdyż według relacji jednej ze starych mieszanek Klonowa, był tu kiedyś cmentarz ewangelicki, na którym chowano także ofiary różnych wojen, ostatnio żołnierzy kampanii wrześniowej, którym w 1977 roku wystawiono skromny pomnik.

W pobliskim Lubiewie, na rogu ulic Witosa i Wojska Polskiego, stoi kolejna kapliczka z ludową, XIX-wieczną rzeźbą św. Rocha. Sama kapliczka, murowana z cegły, podobnie jak wspomniane wyżej budowle, jest bezstylowa i nie przedstawia większej wartości estetycznej czy artystycznej, choć na jej cokole znajduje się data 1872. Piękną oprawę dla niej stanowi jednak rosnąca w pobliżu

akacja i wspaniały krzew różany, który w czasie moich odwiedzin był obsypany kwiatami.

Jeszcze jedna kapliczka, mająca jednakże typową dla tych terenów formę neogotyckiego słupa z dwiema ażurowymi wnękami, znajduje się w centrum wsi Błędzim. W dolnej niszy, co także typowe, stoi współczesna figurka Matki Bożej z Lourdes, w górnej - św. Roch. W pobliżu, w Błędziniu-Rykowskiu, przy szosie Tuchola-Świecie, znajduje się drugi na terenie Borów Tucholskich kościół pod wezwaniem św. Rocha: bezstylowy, zbudowany w 1923 roku, wzmiankowany już przez ks. Karpińskiego.

Ostatnim borowiackim śladem naszego świętego, do którego dotarłem, jest XIX-wieczna kapliczka w centrum Rosochatki. W miejscowości tej znajduje się także rzadko spotykana kapliczka słupowa, z drewnianą nadbudową. Umieszczono w niej uroczą, ludową figurkę św. Rozalii, będącej w tych stronach żeńskim odpowiednikiem św. Rocha. Do niej powrócimy następnym razem.



OSIEK



ROSCHATKA



BŁĘDZIM

FOTOGRAFIE DARIUSZ PIASEK

Ceynowy kontakty z Kaszubami na Pomorzu Zachodnim

Staraniem Oddziału Łebskiego Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego, Zakładu Historii Języka Polskiego Uniwersytetu Gdańskiego i Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku, w dniach 8-10 maja br. w Łebie i Klukach odbyła się III Konferencja Słowińska. Zgromadziła ona językoznawców, historyków, geografów i etnografów z ośrodków akademickich Trójmiasta, Słupska, Torunia, Warszawy i odległego Dorpatu-Tartu (Estonia).

Sesja miała charakter interdyscyplinarny i koncentrowała się na problematyce środowiska geograficzno-historycznego oraz przemian społecznych i demograficznych terenów nad jeziorami Gardno i Łebsko. Jej celem było nie tylko lepsze poznanie całokształtu uwarunkowań życia człowieka na tym obszarze w XIX-XX wieku, ale też lepsze wykorzystanie doświadczeń z przeszłości dla teraźniejszości i przyszłości.

Wielorakość celów nie wpłynęła wcale na obniżenie poziomu naukowego wygłoszonych referatów. Ich osią była ewangelicka ludność kaszubska, jej kultura materialna i duchowa, a zwłaszcza język.

Konferencja wykazała, że zainteresowanie problematyką Kaszubów i ich ziemi jest wciąż żywe i budzi coraz większy rezonans. Dyskusja potwierdziła, iż mimo znacznego postępu badań w ostatnich latach, zwłaszcza w odniesieniu do Kaszubów zamieszkujących na Pomorzu Zachodnim, istnieje długa lista spraw dyskusyjnych i wywołujących kontrowersje. Jedną z nich jest kwestia badań Ceynowy nad kaszubszczyzną na Pomorzu Zachodnim i jego wpływ na ustalenia A. Hilferdinga, zawarte w pracy „Resztki Słowian na południowym wybrzeżu Morza Bałtyckiego”. Mówił o tym doc. Z. Szultka w swoim referacie, który drukujemy obok. Ponieważ materiały z sesji mają być wydane w formie zwartej, zrezygnowaliśmy tutaj z podania danych źródłowych. Tytuł i śródtytuły pochodzą od redakcji.

Należy przyznać rację tym, którzy coraz wyraźniej dostrzegają potrzebę rzetelnego i pogłębionego przedstawienia życia i działalności Floriana S. W. Ceynowy. Wynika to nie tylko z jego wkładu w rozwój sławistyki i kultury, ale przede wszystkim z jego roli „budziela” duchowego Kaszubów i twórcy założeń programowych regionalizmu kaszubskiego. Powojenne badania E. Brezy, A. Bukowskiego i L. Roppa - by ograniczyć się do tych nazwisk - stanowią znaczący postęp, ale zadowolić nie mogą. Nie chodzi tu o charakterystykę dotychczasowego piśmiennictwa i stanu badań nad Ceynową. Pragnę tylko zwrócić uwagę, że w dalszych badaniach należy w szerszym niż dotąd zakresie uwzględnić jego zainteresowanie Kaszubami na ówczesnym Pomorzu Zachodnim.

Problem kontaktów Ceynowy z Kaszubami na Pomorzu Zachodnim stał się ostatnio aktualny w związku z dyskusją nad pracą A. Hilferdinga „Resztki Słowian na południowym brzegu Morza Bałtyckiego”, której nową edycję (z 1989 roku) zawdzięczamy H. Popowskiej-Taborskiej, J. Trederowi i N. Perczyńskiej. Niniejsze rozważania opierają się na dotychczas wydanych źródłach, w tym publikacjach Ceynowy oraz aktualnym stanie badań. Jednak zasadniczą część podstawy źródłowej stanowi spuścizna archiwalna Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie (Gesellschaft für Pommersche Geschichte und Altertumskunde in Stettin), którą w czasie ostatniej wojny wywieziono z magazynów szczecińskiego Archiwum Państwowego. Po jej zakończeniu część trafiła z powrotem do tego archiwum, część do obecnego Vorpommersches Landesarchiv Greifswald, Biblioteki Głównej Uniwersytetu im. Mikołaja Kopernika w Toruniu i innych instytucji. Poważna część uległa zniszczeniu lub została zagubiona. Obecnie pełne odtworzenie zasobu Towarzystwa - zdaje się - nie jest możliwe. Materiały dotyczące Ceynowy znajdują się w szczecińskim Archiwum Państwowym w zespole: Towarzystwo Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie. Stanowią je protokoły z posiedzeń Prezydium (Ausschuss) Towarzystwa za rok 1848 i lata następne oraz dziennik korespondencyjny dotyczący tego samego okresu. W archiwum gryfijskim, w zespole: Handschriften znajduje się poszyt p.t. „Kassubisch und Namenverzeichnis alter Städte und Dörfer Pom.” zawierający wykaz kaszubsko-niemieckich nazw miejscowości powiatów słupskiego i wejherowskiego oraz 22 zwrotki kaszubskiej pieśni ludowej „Vójna” w języku kaszubskim i niemieckim, spisane przez

Ceynowę w więzieniu Moabit przed 1 lutego 1848 roku. Materiałów tych nie wykorzystano dotąd w badaniach naukowych.

Rozpatrując życie i działalność Ceynowy przez pryzmat jego kontaktów i więzi z Kaszubami Pomorza Zachodniego, w przewadze wyznania ewangelickiego, żałować należy, że tak mało dziś wiemy o jego matce, Magdalenie z domu Pienczyn, urodzonej w 1785 roku, która przypuszczalnie w 1800 roku poślubiła o czternaście lat starszego, kaszubskiego gbura Wojciecha Ceynowę. Z małżeństwa tego zrodziło się dziewięć dzieci, w tym 4 maja 1817 roku Florian Stanisław Wenancjusz. Wiadomo ponadto, iż pochodziła z powiatu lęborskiego i że zmarła 20 lipca 1850 roku. Przypuszczalnie małżonkowie poznali się za

pośrednictwem rodziny Pienczynów ze Sławoszyna, spokrewnionej z Ceynowami. Jeśli J. Karnowski doszedł do wniosku, że „atmosfera domu rodzicielskiego, jako też całej okolicy... przygotowała w psychice jego (Floriana - Z.S.) ów grunt przychylny dla aspiracji wolnościowych i demokratycznych...”, to udział w nim oraz w



kształtowaniu wyróżniających go w społeczności kaszubskiej i polskiej poglądów religijnych, społecznych i dotyczących kwestii kaszubskiej mógł być najważniejszy. Dalsze badania nad matką Ceynowy są tym ważniejsze, że za pośrednictwem jej domu rodzinnego mógł mieć możliwości poznania, odmiennej przecież, przeszłości i teraźniejszości Kaszubów na Pomorzu Zachodnim i Gdańskim.

Po ukończeniu szkoły ludowej w Sławoszynie w czternastym roku życia, w 1831 roku rozpoczął trwającą dziesięć lat (1831-1841) naukę w chojnickim gimnazjum. Widać nie należał do pilnych, sumiennych i uzdolnionych uczniów. W gimnazjum przynależał do półtajnej, uczniowskiej organizacji - chyba o nazwie „Polonia” - mającej na celu podtrzymywanie i pogłębianie wśród młodzieży ducha narodowego przez naukę języka polskiego, studiowania ojczystej literatury i historii. Już wówczas zapewne „gorzēła” go „pogarda moje macerzinskie mowē” i dlatego prawdopodobnie należał do najaktywniejszych członków tej organizacji. W tych latach nie były mu obce idee pracy odrodzeniowej wśród ludności kaszubskiej, skoro pragnął zostać „kaszubskim Walenrodem”. Opuszczając chojnickie gimnazjum Ceynowa miał już w znacznym stopniu ukształtowaną świadomość narodową, poglądy religijne i społeczne. Podjęcie studiów medycznych we wrześniu 1841 roku w Leopoldinie jest tego potwierdzeniem.

W kręgu wrocławskich słowianofilów

We Wrocławiu szybko związał się z opanowaną duchem słowianofilskim słowiańską młodzieżą akademicką oraz bywał na prelekcjach profesora F.I. Czelakowskiego, czeskiego poety i uczonego, autora „Słowanské národní písně”. 19 maja 1842 został wpisany do rejestru członków Towarzystwa Literacko-Słowiańskiego, założonego w 1836 roku i kierowanego przez genialnego czeskiego uczonego i literata, dziekana Wydziału Medycznego J. E. Purkiniego. Prof. Purkini, serce Towarzystwa, był zwolennikiem zbliżenia Czechów i Polaków, którzy w życiu Towarzystwa odgrywali najważniejszą rolę. W kręgu Towarzystwa poznał wielu wybitnych sławistów. Zapoznał się z panslawistyczną literaturą Czechów i Serbołużyczan, którzy stworzyli wszechsłowiański alfabet. Idee te wywarły ogromny wpływ na Ceynowę; starał się je realizować i naśladować. W świetle dotychczasowej literatury widać, że szczególnie duży wpływ wywarł na niego Serbołużyczanin J. Ł. Smoler.

W zgodnej opinii badaczy wrocławskie lata odegrały bardzo ważną, jeśli nie najważniejszą rolę w kształtowaniu się poglądów społeczno-politycznych i na sprawę słowiańską Ceynowy. Ugruntowały w nim przekonanie o konieczności podjęcia działalności prowadzącej do ożywienia Kaszubów w ramach ogólnego odrodzenia i solidarności Słowiańszczyzny. Z drugiej strony były okresem jego przeobrażenia się z budziela kaszubskiej sprawy w rewolucjonistę. Nas interesować będzie odrodzeniowy, kaszubski aspekt jego wrocławskiej aktywności oraz wpływ i kontakty Ceynowy z prof. Purkinim.

Ceynowa napisał, iż był jego „częstym gościem” i przez to miał doskonałe możliwości bliższego poznania Smolera. Często obecność początkującego studenta w mieszkaniu tak wybitnego uczonego była wówczas zjawiskiem wyjątkowym. Jeśli zauważymy, że pierwsze swe publikacje wrocławskiego okresu Ceynowa zawdzięczał protekcji prof. Purkiniego, to stwierdzić można, że cieszył się jego szczególnymi względami, co miało wpływ na jego pozycję w Towarzystwie. E. Archemowicz i T. Żabski uznali go „wybitnym działaczem” Towarzystwa. Na posiedzeniu w dniu 17 czerwca 1843 roku Ceynowa wygłosił odczyt p.t. „O stanie teraźniejszym germanizacji Kaszub”, a trzy tygodnie później,

po relegowaniu z uczelni dotychczasowego skarbnika Towarzystwa, J. Respondka, zajął jego miejsce. W związku ze zmianą uniwersytetu i przeniesieniem się do Królewca (decyzja w tej sprawie musiała zapaść nagle) miesiąc później otrzymał godność honorowego członka Towarzystwa. Kariera Ceynowy w tej organizacji była więc błyskotliwa, zaś jego działalność wysoko oceniana.

We Wrocławiu wykazywał on bardzo dużą aktywność. Prawda, że z pomocą prof. Purkiniego, ale jako student medycyny I-II roku opublikował lub przygotował do publikacji w trzech (czterech) językach cztery artykułiki: „Die Germanisierung der Kaschuben”, „Wilii Nowego Roku”, „Szczedrówki we Wiliję Trzech Króli” oraz „Kaschubische Orts- und Volksnamen”. Skróconą wersję „Wilii Nowego Roku” p.t. „Das Todaustreiben bei den Kaschuben” w 1844 roku opublikował W. Bernhardi. Fakt ten nie został dotąd odnotowany w literaturze. Na ten okres skłonni jesteśmy datować zarys czy też pierwszą redakcję „Rozmowy Polaka z Kaszubem”, napisaną przez ks. Szmudę rodem z Pucka w końcu XVIII wieku”, którą Ceynowa w 1843 roku przekazał A. Mosbachowi. Kwestia autorstwa tego utworu budzi wątpliwości. Współcześni Ceynowy uważali, że wyszedł on spod pióra ks. Szmuka. Do tego poglądu skłania się D. Majkowska.

Kwestia autorstwa „Rozmowy Polaka z Kaszubem”, zaliczanej do programowych tekstów Ceynowy, ma duże znaczenie. Pewne jest, że na przełomie XVIII-XIX wieku w Pucku zamieszkiwała rodzina Szmuk (Schmuck). Wiadomo, że w 1772 roku burmistrzem tego miasta był Jerzy Wawrzyniec (Georg Laurentius) Szmuck, zaś siostra Ceynowy, Łucja, przed 1815 rokiem poślubiła puckiego mieszczanina, wdowca W. Kadaua, którego pierwszą żoną była Magdalena z domu Szmuk. W nocy z 2 na 3 marca 1846 roku Ceynowa ukrywał się u kartuskiego karczmarza J. Schmucka. Można przyjąć za pewne, że w XVIII wieku nie było w Pucku katolickiego księdza o tym nazwisku. Wiele wskazuje na to, że Szmukowie byli wyznania katolickiego i „ks. Szmuk” z „Rozmowy Polaka z Kaszubem” jest postacią fikcyjną, zaś rzeczywistym autorem tekstu przekazanego Mosbachowi był Ceynowa.

Według ustaleń D. Majkowskiej Ceynowa dostarczył w 1843 roku Mosbachowi informacje o mowie kaszubskiej, zbiór kaszubskich przysłów, powiastek i zagadek, które najpóźniej w początkach 1856 roku, a więc przed badaniami A. Hilferdinga, przekazał też T. Lipińskiemu, a ten K. W. Wójcickiemu, który ich część (cały zbiór miał liczyć około 400 przysłów) opublikował w „Bibliotece Warszawskiej”. Mosbach dostał też od Ceynowy opisy kaszubskich zwyczajów oraz mowę družby weselnej. Badania Majkowskiej wykazały, że przed opuszczeniem Wrocławia Ceynowa zgromadził wcale bogaty materiał źródłowy o kulturze materialnej i duchowej, historii i teraźniejszości Kaszubów, który częściowo sam opublikował, lub, w formie rękopisów, udostępnił przyjaciółom i znajomym - A. Mosbachowi, T. Lipińskiemu, W. Bernhardiemu. Wbrew stanowisku J. Petra uważam, że nie przekazał on natomiast (bez względu na formę) prof. Czelakowskiemu materiałów językowych czy uwag o tzw. słowniczku I. Prejsa.

D. Majkowska stwierdziła też, że Mosbach w „Wiadomościach o Kaszubach” „z wielką znajomością terenu podał nazwy miejscowe, przeważnie w języku polskim i niemieckim”, chociaż zasięgu terytorialnego kaszubszczyzny nie był w stanie określić. Mosbach napisał, iż posiadane materiały o Kaszubach uzyskał od Ceynowy, który „zwiedził całą krainę kaszubską”, ale jakby temu nie dowierzając apelował do czytelników, aby ściślej określili siedliska „tamtecznych Słowian”. Swym zainteresowaniom zasięgiem kaszubszczyzny Ceynowa dał wyraz w szkicu „Kaschubische

Orts- und Volksnamen", w którym chodziło głównie o podanie lokalnych nazw grupowych Kaszubów i zarysowanie ich granic terytorialnych. Tedy „Kabatkowie” mieli mieszkać między Główniczami, Lęborkiem i Lebą, zaś Bytów należał do terytorium „lesoków”, rozciągających się od Świecia i Nowego przez Starogard, Bytów aż po Jastrowie. Informacja o Kaszubach w Jastrowiu korespondowała z jego wywodami w „Germanisierung der Kaschuben”, w świetle których we wschodnich powiatach regencji koszalińskiej, od Lęborka po Szczecinek, zamieszkiwało 40 000 Kaszubów. J. Treder mylnie utrzymuje, że dopiero po tej dacie, tj. po 1856 roku, w pismach Ceynowy pojawiają się etnonimy i choronimy z terenu Pomorza Zachodniego.

W artykule o germanizacji Kaszubów Ceynowa przedstawił proces wynaradawiania ludności słowiańskiej Pomorza Zachodniego i rolę w nim władz państwowych, oświatowych, Kościoła i innych instytucji. Germanizacyjnej działalności dziekana lęborskiego, ks. Webera przeciwstawił salinśkiego pastora S. Tomaszczyka (Thomasius). Potępił germanizacyjną politykę władz pruskich oraz podniósł, że w sądach regencji koszalińskiej nie ma ani jednego tłumacza języka polskiego, co uraga wymiarowi sprawiedliwości. Informacje te świadczą, że Ceynowa dobrze orientował się w stosunkach etnicznych i językowych w powiatach lęborskim i słupskim oraz polityce władz wobec ludności kaszubskiej na Pomorzu Zachodnim.

Jest mało prawdopodobne, aby informacje te uzyskał z publikacji. Część mogła pochodzić od informatorów, ale wykluczyć nie można, że zebrał je w czasie obecności w Lęborku, Salinie czy innych miejscowościach powiatów lęborskiego i słupskiego. Stwierdzenia A. Mosbacha, iż „zwieździł całą krainę kaszubską” nie należy rozumieć dosłownie. Wiele przemawia jednak za tym, że do 1844 roku był przynajmniej w powiecie lęborskim. Potwierdzają to również jego spostrzeżenia poczynione w „Uvagach nad mową Kaszebską”, w których, ukazując zróżnicowanie dialektyczne kaszubszczyzny, odwoływał się do mowy Kaszubów okolic Łeby i Lęborka.

Czy aktywność Ceynowy we Wrocławiu w zakresie badań nad kaszubszczyzną wynikała tylko z jego wewnętrznych przekonań? Co było powodem faworyzowania go i wspierania na tym polu przez prof. Purkiniego? Przecież praca badawcza i działalność organizacyjna musiały rzutować na studia medyczne Ceynowy. Wydaje się, że jego więzi i stosunków z prof. Purkinim nie da się zrozumieć, jeśli nie uwzględnimy treści listu profesora z 5 marca 1830 roku do sekretarza Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza w Szczecinie, w którym pisał m.in.: „Zamierzam zbadać specjalnie mapy Pomorza Zachodniego i jeszcze inne materiały pomocnicze, które znajdę oraz przeprowadzić analizę etymologiczną nazw miejscowości i rzek - oraz wszystkiego, co pozostaje jeszcze do objaśnienia. Dla Panów Waszego Towarzystwa, którzy są na miejscu [tzn. mieszkają na Pomorzu Zachodnim - Z. S.] przypuszczalnie interesującym będzie uzupełnić moje wyniki językowe uwagami historycznymi i topograficznymi. Prawie całe Pomorze Zachodnie można traktować jako mapę pokrytą ważnymi nazwami słowiańskimi, które, gdy prawidłowo odczytane, z pewnością liczne ważne informacje historyczne muszą zawierać”. Profesor Purkini złożył więc szczecińskiemu Towarzystwu deklarację rozwinięcia szerokich badań nad słowiańską przeszłością Pomorza Zachodniego, a onomastyką w szczególności, oraz zaprosił do współpracy członków Towarzystwa, zamieszkujących na Pomorzu Zachodnim. Nie wiemy, jak wyglądały postępy prac badawczych. Przypuszczam, że w 1842 roku prof. Purkini przypomniał sobie swoje zobowiązanie wobec szczecińskiego Towarzystwa i próbował je zrealizować,

przede wszystkim przy pomocy Ceynowy. W tym zamiśle tkwiły - zdaje się - motywy protekcyjnej postawy profesora wobec Kaszuby, który do początków 1848 roku nie miał ze szczecińskim Towarzystwem żadnych bezpośrednich kontaktów.

W więziennej celi.

Korespondencja ze szczecińskim Towarzystwem

Sąd Kameralny w Berlinie 2 grudnia 1847 roku skazał Ceynowę, za udział w wyprawie na Starogard Gdański w nocy z 21 na 22 lutego 1846 roku, na utratę kokardy, konfiskatę majątku, wydalenie z wojska i ścięcie toporem. Pow szechnie liczone, że wyroki śmierci nie zostaną wykonane, zaś amnestia lub sąd II instancji złagodzi kary. W tym kierunku prowadzili działania Wielkopolanie. Do 6 marca 1848 roku były one całkowicie bezowocne. Dopiero tego dnia, kiedy lud wyszedł na ulice Berlina, minister spraw wewnętrznych Prus, E. Bodelschwingh oświadczył, że król postanowił amnestię, mocą której skazani na karę śmierci odsiedzą kilkuletnie kary więzienia. W rzeczywistości król zamienił kary śmierci na dożywotnie więzienie, ale pod naciskiem tłumu Ceynowa - zdaje się - 20 marca odzyskał wolność okryty sławą „moabitczyka”, będącą synonimem polskiego patrioty i rewolucjonisty.

Takiego biegu spraw oczekujący egzekucji Ceynowa nie mógł przewidzieć. Pobyt w więzieniach w Starogardzie Gdańskim, Grudziądzu, a od połowy listopada 1846 roku w Moabit, przesłuchania oraz proces i wyrok, na które nałożyła się śmierć ojca, nie mogły nie rzutować na psychikę skazanego. Nie wiemy, jakie miał warunki w berlińskim więzieniu, zwłaszcza po wyroku sądowym. Jedno jest pewne, Ceynowa starał się nie popaść w depresję i w celi śmierci kontynuował kaszubską działalność pisarską. Przywołał zapewne pamięć prof. Purkiniego i jego zobowiązania wobec szczecińskiego Towarzystwa oraz swych przyjaciół. Nie znamy ich z nazwiska, ale pośrednie dane wskazują, że w więzieniu utrzymywał kontakty z jedną lub kilkoma osobami z kręgu wrocławskiego Towarzystwa, a zwłaszcza z Serbołużyczanami. W każdym razie miał on w celi słownik serbołużycki, publikowane sprawozdania szczecińskiego Towarzystwa Historii i Starożytności Pomorza, jakieś mapy Pomorza Zachodniego i być może jeszcze inne materiały. Jest więc wielce prawdopodobne, że w celi śmierci Ceynowa napisał „Ein Beitrag zur Kenntniss der kaschubischen Sprache”, który ukazał się drukiem w 1848 roku na łamach „Jahrbücher für Slawische Literatur, Kunst und Wissenschaft”, 1848, redagowanych przez J. P. Jordana, wysoko ceniącego Ceynowę.

W celi więziennej Ceynowa sporządził też „Kasschubisch-deutsches Namensverzeichnis aller Städte und grösserer Dörfer, die innerhalb der Grenzen des alten Pommern liegen, nach den jezigen Kreisen geordnet”. Nadał mu podtytuł: „Spis kaszebskich e Njemjeckich nazwistk wszelkich mjast e znaczjeszech wsi, co na przestrzeńi dawneho Pómórzo leżą, podług teraznjjeszech wókręgów wulożoni”. Na nie zapisanej części kartki zamieścił 22 zwrotki kaszubskiej pieśni „Vójna”, którą przetłumaczył na język niemiecki. Rękopisy te 1 lutego 1848 roku wysłał z więzienia Moabit pod adres szczecińskiego Towarzystwa.

Przesyłka zaskoczyła jego sekretarza, nauczyciela gimnazjalnego, Heringa, który zreferował całą sprawę na najbliższym posiedzeniu Prezydium Towarzystwa, tj. 12 lutego. Do wspomnianych rękopisów nadawca dołączył list, który się nie zachował. Jego treść możemy odtworzyć na podstawie protokołów z posiedzenia Prezydium: Ceynowa przedstawił

się jako „kandydat medycyny” osadzony w Moabie, który w swej samotności zajmuje się „swoim językiem macierzystym - kaszubskim i owoce swej pracy pragnie przekazać Towarzystwu”. Zapowiedział przesłanie niemiecko-kaszubskiego słowniczka oraz zestawienia kaszubskich nazw miejscowości tej części Pomorza Zachodniego, która przed wiekami przynależała do Księstwa Wschodniopomorskiego. Obecnie - jako próbkę - przesyła wykaz miejscowości powiatów słupskiego i wejherowskiego. Prezydium postanowiło zapytać Ceynowę, na jakich warunkach chce przekazać wspomniane materiały.

Zanim wysłano odpowiedź, 29 lutego Towarzystwo otrzymało następne „dwa zeszyty w języku kaszubskim”, które nie dochowały się do naszych czasów. Zaginął też list Ceynowy, którego treść poznajemy na podstawie brulionu i czystopisu protokołu z posiedzenia Prezydium Towarzystwa. Wynika z nich, że przesłał on „Novorocznik Kaszebsko-Słowjanski, spisany (przez - Z.S.) Floriana Cenowę. Kaszebę” w dwóch zeszytach. Ceynowa prosił też o odpisy słowniczka kaszubskiego K. C. Mrongowiusza oraz manuskryptu pt. „Etwas von den pommerschen Kassuben und Kabatken”, najpewniej słupskiego prepozyta C. W. Hakena, dalej odpisy polemicznych pism radcy Konsytora J. A. Holvigiusa w sprawie obecności języka słowiańskiego w dyplomach pomorskich i odpis dokumentu największego fałszerza zachodniopomorskiego, S. G. Pristaffa, rzekomo z 1102 roku, który wcześniej - na życzenie Towarzystwa - tłumaczył prof. Purkini i Mrongowiusz. Prezydium 4 marca postanowiło w miarę możliwości spełnić życzenia więźnia, tj. przesłać mu oryginały słowniczka Mrongowiusza i relacji Hakena oraz przekazać pułkownikowi v. Brandtowi „Novorocznik...” do oceny. Rzecz w tym, że żadnych materiałów Ceynowie nie wysłano.

Pułkownik v. Brandt nie był w stanie wywiązać się z powierzonego mu zadania i według samego Ceynowy zeszyt pierwszy „Novorocznika...” zawierał: „1. Gebräuche der Kassuben vor der Einführung des Christenthums, 2. Ein Kurzweiliges Gespräch zwischen einem Polen und Kassuben, 3. Einige Gedanken aus deutschen Schriftstellern”.

Nie ulega wątpliwości, że pod owym „Ein Kurzweiliges...” wymieniono „Rozmowę Polaka z Kaszubem”. Potwierdza to hipotezę, że rzeczywistym autorem tego utworu był Ceynowa.

Zeszyt drugi zawierał: „4. Kassubische Sprichtwörter, 5. Gebräuche der Kassuben bei Hochzeiten u. s.w., 6. Einige Volkslieder, 7. Spiele, Abzählen beim Spiel” oraz 8. Kontynuację wykazu nazw miejscowości. Prezydium postanowiło oba zeszyty, wraz z wcześniej przesłanymi wykazami nazw miejscowości, włączyć do zasobu bibliotecznego Towarzystwa.

Na razie tylko domysły

Od 20 marca Ceynowa cieszył się wolnością. A. Bukowski utrzymuje, że pozostał w Berlinie przynajmniej jeszcze dwa miesiące. Nie był jednak w stanie wskazać z jakich powodów. Przypuszcza, że ważną przyczyną były nie znane nam bliżej przeszkody, stawiane Ceynowie przez policję pruską oraz, iż załatwiał on wówczas sprawę przeprowadzenia promocji doktorskiej. Tymczasem Ceynowa, inaczej niż inni „moabitczycy”, którzy rozjechali się do domów, gdzie zgotowano im uroczyste, a w Poznaniu tryumfalne, powitania, skrył się w berlińskich bibliotekach w poszukiwaniu kassubianów i pomeraników. 24 marca pisał o tym do szcze-

cińskiego Towarzystwa, które dopiero teraz odpowiedziało mu na wcześniejsze listy oraz wysłało wspomniane oryginały słowniczka Mrongowiusza i relacji Hakena. Ceynowa pisał też, że za przekazane dotąd Towarzystwu rękopisy i dalsze, które zamierza darować, nie chce pieniędzy ani innej materialnej gratyfikacji. Prosił jedynie o pomoc w badaniach naukowych. Zapewnił, że pracuje nad wspomnianym słowniczkiem niemiecko-kaszubskim i wykazem nazw miejscowości Pomorza Zachodniego. Towarzystwo, wykazujące dotąd dużą wobec niego rezerwę, obecnie postanowiło przyjąć go na członka-korespondenta.

Wszystko wskazuje na to, że Ceynowa przebywał w Berlinie do około 12 maja. W tym czasie otrzymał ze Szczecina dyplom członka-korespondenta oraz wspomniane rękopisy Mrongowiusza i Hakena. Potem zamierzał wyjechać do Królewca. Udał się jednak do Sławoszyna i Pucka, gdzie był 19 maja. Po dziesięciu dniach był w Poznaniu. Zabiegał tu o zezwolenie na wyjazd do Wrześni w celu leczenia rannych powstańców wielkopolskich. A. Bukowski wykazał, iż zezwolenia nie uzyskał. Poznańska policja zaleciła mu wyjazd do Królewca. Gdyby zaś jej nie usłuchał i samowolnie pojechał do Wrześni, to miał być tam aresztowany i pod eskortą dostarczony do Poznania. Badacz ten przypuszcza, że Kaszuba podporządkował się policyjnemu nakazowi. Tak jednak nie było, gdyż Ceynowa z Poznania pojechał do Berlina i około 5 czerwca wyjechał stąd przez Szczecin do Sławoszyna lub Pucka. Zabrał ze sobą rękopisy Mrongowiusza i Hakena i zwrócił je w Szczecinie sekretarzowi Towarzystwa Heringowi, z którym się spotkał. Podziękował mu za szczerne przyjęcie w poczet członków Towarzystwa oraz zapewnił, iż w dalszym ciągu pracuje nad słowniczkiem niemiecko-kaszubskim i kaszubskim wykazem nazw miejscowości Pomorza. Hering poprosił go o dokładne określenie zawartości zeszytów „Novorocznika...”, co Ceynowa uczynił. Nie wziął więc udziału w Zjeździe Słowiańskim, obradującym w Pradze od 2 do 12 czerwca.

Zdawać by się mogło, że współpraca Ceynowy z Towarzystwem wkroczyła w nową fazę. Tak się jednak nie stało. Przeciwnie, kontakty wyraźnie osłabły, chociaż Ceynowa dowodnie kontynuował swe prace i rozpoczął nowe, przede wszystkim przetłumaczył na język kaszubski Mały Katechizm M. Lutra. 20 października 1848 roku, już jako „młodszy lekarz” (Unterarzt) przesłał Towarzystwu ten przekład z prośbą o jego wydanie. Prosił, aby w przypadku jego edycji umożliwiono mu dokonanie korekty. Prezydium 4 listopada odmówiło druku katechizmu i postanowiło rękopis włączyć do zbiorów bibliecznych. J. Treder, podzielając błędny pogląd F. Neureitera, iż Ceynowa przetłumaczył ten katechizm pod wpływem podróży z A. Hilferdingiem, utrzymuje, że fakt ten dowodzi, iż wyprawa z Hilferdingiem uzmysłowiła Ceynowie samo istnienie i trudną sytuację Kaszubów na Pomorzu Zachodnim.

Dla Ceynowy członkostwo Towarzystwa miało - zdaje się - duże znaczenie w przełamywaniu oporu i uprzedzeń władz pruskich wobec niego jako rewolucjonisty i byłego skazańca za zdradę stanu. Członkostwo było niewątpliwie wyróżnieniem i niejako nobilitowało go do kręgu intelektualistów pomorskich. Zapewne było to powodem, że swą dysertację doktorską dedykował Towarzystwu i wysłał mu ją dwa dni po obronie. W podziękowaniu otrzymał druk rocznego sprawozdania Towarzystwa.

Ponieważ Ceynowy nie przyjęto z powrotem na studia medyczne w Królewcu, w celu zdobycia dyplomu doktora medycyny zaangażował się - prawdopodobnie od paździer-

nika 1848, a pewnie od początku 1849 roku jako „lekarz wojskowy” 1 pułku artylerii w Gdańsku, gdzie też zamieszkał. Czas w służbie wojskowej wykorzystał na kontynuowanie studiów medycznych, gromadzenie materiałów do dysertacji doktorskiej, zaś pozycję „lekarza wojskowego” do druku swych artykułów „Kaszebji do Pólochów”, „Wó narodowosce. A wó movje” oraz „Xażeczki dlo Kaszebov przez Wójkasena”, która ujrzała światło dzienne najpóźniej 8 kwietnia 1850 roku, gdyż tego dnia wysłał jej trzy egzemplarze do Szczecina. Ponieważ szczecińskie Towarzystwo nie było zainteresowane drukiem jego prac, nawiązał współpracę z rosyjskimi slawistami. 5 sierpnia 1850 roku wysłał do Petersburga „Eine kleine Sammlung kaschubischer Wörter welche eine grössere Aehnlichkeit mit der Russischen als mit der Polnischen Sprache haben”.

Nie zamierzał jednak zrywać współpracy ze Szczecinem. We wrześniu 1850 roku przekazał Towarzystwu „Eine kleine Sammlung von Littauschen-Preussischen und kassubischen(en) Wörter” oraz raz jeszcze prosił o nadesłanie dokumentów, które budziły jego zainteresowanie już w marcu 1848 roku. Towarzystwo odpowiedziało, że przekazało je berlińskiej bibliotece. Nie zrażony tym Ceynowa podarował mu druk „Rozmowy Polaka z Kaszubą”, która ukazała się w Gdańsku w 1850 roku.

Słowniczek, wysłany do Petersburga, był więc owocem jego więziennej i postwężennej pracy. Ceynowa zobowiązał się przekazać go szczecińskiemu Towarzystwu. Ponieważ postąpił inaczej, niejako w formie rekompensaty przesłał mu jakiś słowniczek litewsko-prusko-kaszubski, o którym dotychczas nie wiadomo. Nie udało się go odnaleźć.

W 1851 roku Ceynowa przygotował dysertację doktorską, której obrona odbyła się 11 grudnia 1851 roku na Uniwersytecie w Berlinie. Odtąd jego kontakty z Towarzystwem były coraz luźniejsze. Jeszcze latem następnego roku, kiedy jako lekarz praktykujący i chirurg mieszkał już w Bukowcu, przekazał Towarzystwu jakieś książki. Potem, po dziewięciu latach, na łamach „Baltische Studien” objaśnił pojęcie „narraz”.

Ceynowa przez trzynaście lat utrzymywał kontakty ze szczecińskim Towarzystwem. Z współpracą z nim wiązał duże nadzieje. U ich podłoża tkwiły nie tylko zainteresowania i motywy czysto naukowe, ale też społeczne. Liczył, że za jego pośrednictwem - analogicznie jak Mrongowiusz - dostarczy swym ewangelickim braciom kaszubskim na Pomorzu Zachodnim książki religijne, które pomogą im w zachowaniu języka macierzystego i tożsamości. Nie ulega wątpliwości, że na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych, jak mało kto znał ich problemy. Stykał się z nimi zapewne od młodości, a wiedzę tę pogłębił w czasie studiów we Wrocławiu i po wyjściu z więzienia, kiedy przez dwa miesiące penetrował berlińskie biblioteki w poszukiwaniu kassubianów i pomeraniców. Drugim źródłem poznania były zapewne bezpośrednie i pośrednie z nimi kontakty.

Nie znam źródeł odpowiadających wprost na pytanie: czy i kiedy Ceynowa prowadził samodzielne badania nad kaszubszczyzną na Pomorzu Zachodnim? Z poprzednich rozważań pośrednio wynikało, iż istotnie tak było. Dodatkowo sprawę tę oświetla „Kassubisch-deutsches Namensverzeichnis aller Städte und grösserer Dörfer, die innerhalb der Grenzen des alten Pommern liegen, nach den jezigen Kreisen geordnet” sporządzony przez Ceynowę w celu śmierci i wysłany przez niego z Berlina szczecińskiemu Towarzystwu 1 lutego 1848 roku. Obejmuje on miasta i wsie powiatów słupskiego i wejherowskiego. Nas interesuje wykaz słupski,

składający się z dwóch części: obejmującej miasta, tj. Słupsk i Ustkę (Vuszc-Słępski), chociaż ta jeszcze wówczas praw miejskich nie posiadała. W części drugiej wymieniono 156 wsi. Przy każdej miejscowości podano nazwę kaszubską i niemiecką, zaś w nawiasie objaśniono etymologię nazwy kaszubskiej. Od tej zasady są nieliczne wyjątki.

W optyce dwóch badaczy

Do wsi, których mieszkańcy zwali się Kaszubami oraz jakoby Słowianami zaliczono: z parafii smółdzińskiej - Smółdzeno, Stojceno, Brenkenhofstal, Kluki, Seci, Wjerczuchceno, Witkowo; garneńskiej - Gardowa, Słecze, Retojce, Store Chócmjerowo, Nowe Chócmirovo, Wesoko, Vóseki, Buczkowo, Iankojce, Zelekówo i Bańkowo; zaś rowskiej - Row i Dębinę. A Hilferding do tzw. Słowińców zaliczył mieszkańców 22 osad, w tym 10 wymienionych przez Ceynowę. Obszar przez nich zamieszkały jest u Ceynowy znacznie większy, gdyż obejmuje również zachodni brzeg jeziora Gardno oraz rozpościera się bardziej na południe aż po Lękwicę. Ceynowa nie wymienił żadnej z osad mierzei nadmorskiej na północ i zachód od Przybrynina.

Najistotniejsza różnica granic tzw. słowińszczyzny u tych badaczy polega na tym, że jej wschodnią granicę u Ceynowy wyznaczały granice parafialne, zaś u Hilferdinga liczący 20 kilometrów strumień Pustynka. Pod każdym względem granice zasięgu kaszubszczyzny u Ceynowy były bliższe rzeczywistości niż u Hilferdinga.

Jeszcze większa zgodność występuje między przekazem Ceynowy i Hilferdinga odnośnie obszaru tzw. Kabatków. Obaj wymienili po 20 wsi, w tym 17 tych samych. Większy stopień prawdziwości cechuje przekaz Ceynowy, chociażby przez to, że zaliczył do niego Izbicę i wyłączył obecne Będziechowo.

Ceynowa swój wykaz miejscowości powiatu słupskiego zakończył uwagą: „Kaszubi tego powiatu najczyściej zachowali język swych przodków. Poza ogólną nazwą Kaszubi, w niektórych okolicach używają jeszcze szczególnej (nazwy - Z. S.), tak więc mieszkańcy wsi wymienionych od numeru 1 do 20 nazywają się Sławi, Sławien (sława die Ehre, der Ruhm), podczas gdy wsi wymienionych od 21 do 41 nazywani są Kabatkowie, Kabatken (kabat die Jacke). Obie (grupy - Z. S.) różnią się zasadniczo ubiorem, tylko nieznacznie językiem”.

Natomiast uwagi o języku Kaszubów powiatu wejherowskiego kończyła konkluzja: „Język tutejszych Kaszubów jest wprawdzie wolniejszy od niemieckich wyrazów niż Kaszubów powiatu słupskiego, jakkolwiek polsko-słowiański dialekt nie jest na to bez wpływu, szczególnie w wyrazach dotyczących religii i poezji”.

Są to główne tezy w sprawie mowy kaszubskiej zawarte w „Resztkach Słowian...”. Podważanie więc ogromnego, większego niż przyjmują to współcześni językoznawcy wpływu Kaszuby na ustalenia Rosjanina, jest całkowicie nieuzasadnione. Czy Ceynowa mógł w kilku zdaniach streścić „Resztki Słowian...” bez przeprowadzenia jakichkolwiek samodzielnych badań czy obserwacji językowych na Pomorzu Zachodnim? Omawiany dokument przemawia za tym, że w latach studiów królewieckich był on w powiecie słupskim, w tym w Gardnie Wielkiej. Na ile hipoteza ta okaże się prawdziwa, pokażą przyszłe badania. ■

Literacka mitologia Pomorza (VI)

MITYCZNE TWORZYWO „ŻYCIA I PRZYGÓD REMUSA” (4)

RYCERZ SŁOŃCA SZUKAJĄCY ŚWIATŁA

Gdy Remus znalazł się „na swobodzie...”, mógł sprawdzić prawdę słów Józefa Zabłockiego, swego pierwszego nauczyciela historii kaszubskiej ziemi i zarazem mitycznego przewodnika.

„Na pustkowiu” poznał niegdysiejszą tragedię mieszkańców słowiańskiego Pomorza

- od Rekniczy po Hel, teraz nadszedł czas na rozpatrzenie się w jej teraźniejszej rzeczywistości.

Chociaż „Pożegnał się z pustkowiem i wszystkimi ludźmi, którzy tam żyją” (s. 109), nie zapomniał o królewiance i zapadłym zamku, ponieważ jego Kaszuby były nadal „w niewoli”. Dlatego więc Żyd Gaba zaprowadził Remusa właśnie do nauczyciela w Lipnie, który dał mu taki pokój, z którego mógł widzieć swoją królewiankę. Miał to być dla niego nie tylko sprawdzian siły woli, ale także dojrzałości. I Remus zdał go pomyślnie - nie utożsamiał już owej szlachcianki, widzianej w dworskim ogrodzie, z mityczną królewianką i zapadłym zamkiem. Bezsilny okazał się także księżyc, który zająrzawszy nocą do izby, nie wywołał już, jak dawniej, baśniowego snu o więzionej przez smoka w zamkowej wieży nieszczęśliwej dziewczynie. Dzięki inicjacji, w której tak ważną okazała się rola Marcina, przypominającego hierofana z eleuzyńskich misterii, a potem testamentarnym naukom umierającego powstańca już wiedział, że tanto było dziecięcą ułudą, z której ostał się tylko symboliczny obraz. Chętnie więc przystał na propozycję Gabby, potwierdzoną nie przypadkiem przez nauczyciela, który zawsze był dla niego autorytetem, by zajął się handlem. Było to dla niego tym bardziej korzystne, „bo sobie pomyślał, że chodząc po świecie jako handlarz najlepiej dotrzyma słowa danego nieboszczykowi panu Józefowi na śmiertelnym łożu” (s. 111).

Pójdzie więc w świat ze swoją taczka, ale nie samotnie, bo zanim wejdzie w las, co w świecie baśni i mitu jest zrozumiałe, spotka Trąbę, który odtąd stanie się jego wiernym przyjacielem. Muzykant z Lipna będzie się nim opiekował niczym Sancho Pansa Don Kichotem. Czyżby więc Remus zyskał status błędnego rycerza? Jeżeli taki był zamysł Majkowskiego, to na cóż miało się zdać wędrowanie jego bohatera i jaki byłby sens w powierzeniu mu tak odpowiedzialnej misji? Stąd może lepiej nazywać Trąbę przewodnikiem i wiernym sługą Remusa, który, niczym cień, niemal zawsze jest przy swoim panu. Nie można go oczywiście utożsamiać z owym archetypicznym cieniem C. G. Junga, chociaż uzupełnia on bohatera w tym, co jego pan uznaje za zdróżne lub czego jeszcze nie zna. Trąba niejako dopełnia swoim charakterem osobowość Remusa, służąc mu nadto pomocą, radą i swoim doświadczeniem. Zna oczywiście „bajkę” o królewiance i zapadłym zamku, ale nazywając ją tak pejoratywnie, już tym samym dowodzi, że nie bierze jej poważnie. Kieruje się zawsze zdrowym rozsądkiem i dlatego Remusa uważa za „niespełna rozumu”. I jest w tym dużo z Sancho Pansy, ale i zarazem z przewodnika i nauczyciela. Bowiem jedno drugie-

mu w relacji Trąba - Remus nie przeszkadza. Wszakże bohater Cervantesa i mityczny nauczyciel, który jest tak bliski owemu „mędrcom” Junga mają podobną rolę i trzeźwość myślenia, co okaże się często konieczne wobec wybujałej i wręcz romantycznej wyobraźni Remusa. Tytułowy bohater tej powieści poznał już swoją naturę, kiedy to tak nieszczęśliwie się zakochał, a teraz nadeszła pora spotkania z następnym archetypem, aby jeszcze głębiej poznać własne JA. Jung mówiłby wtenczas o „starym mędrca”, którego ojcowski charakter zdradza tak często Trąba. Bo „stary mędrzec reprezentuje archetyp ojca albo archetyp ducha, symbolizuje bowiem czynnik o charakterze duchowym, który nie jest świadomy, lecz nieświadomy. Archetyp ducha ukazuje się w sytuacjach, w których wejście w głąb, zrozumienie, dobra rada, determinacja i planowanie są potrzebne, ale nie mogą być wykorzystane przy pomocy własnych środków człowieka” (A. Moreno, „Jung, bogowie i człowiek współczesny”, s. 67). Może to w przypadku Remusa za wiele powiedziane, jeżeli umie on w pewnych sytuacjach zrozumieć metaforyczny wyraz baśni o królewiance jako prawdę o doli kaszubskiego ludu, ale nie można o tych mitycznych konotacjach zapominać. Wszakże wyszedł z pustkowia w świat, aby bronić rodzinnej ziemi przed złem Smętka.

Dlatego już podczas swej pierwszej wędrowki usłyszy o folwarku Zwada, który ma wkrótce być sprzedany niemieckim kolonistom. A zaczęło się wszystko nie przypadkiem od starego młyna, którego klekot przeszkadzał pani ze dworu. Młyn wobec tego zatrzymano i przestał pracować. Ale więcej już nie ruszył, ponieważ „koło młyńskie żadną miarą nie chciało się obracać” (s. 115). I jakby nie dosyć tego, „to i ziemia przestała rodzić” (s. 115). Tak oto młyn, pełniący jakby w okolicy funkcję legendarnego dobroczyńcy, ukarał swego pana, który go tak zlekceważył, że wkrótce trzeba było sprzedać folwark. Zresztą niewiele ostało się już w nim swojskiego, jeżeli nawet dla gości ze dworu obca i niezrozumiała była kaszubska mowa: „Bywało, że zaprosili nasze dzieci, aby śpiewały przed gośćmi, albo jakąś starą kobietę, by opowiadała bajki. Tedy oni wszyscy obstępowali ich i się dziwowali, że jeszcze jest na świecie taka mowa, jak nasza kaszubska... Sam pan udawał, że jej nie rozumie!” (s. 115). Stąd m.in. celowa była personifikacja owego młyna, który miał być nie tylko strażnikiem ojcowizny, ale Majkowski przydał mu także wszelkie cechy owych „młynów bożych”. W starogreckim przysłowiu znaczyło to, że „bogowie wymierzają ludziom sprawied-

liwość nie spiesząc się, ale niechybnie" (por. W. Kopański, „Słownik mitów i tradycji kultury”, Warszawa 1985, s. 704).

Na nic zdały się błagania i prośby kaszubskiej starożytności i na nic odwoływanie się do pamięci ojców i przodków pana ze Zwady, których prochy składano w tej ziemi. Czernik reprezentujący jako adwokat jego interesy, odrzekł wtenczas: „Ziemia płotem ogrodzona ma swoją wartość, bo możesz na niej kartofle sadzić. Ale te truposze w ziemi nie mają żadnej wartości, bo za nich nikt by feniga nie dał” (s. 116). W jego słowach zabrzmiała zarówno nuta z „Placówki” Bolesława Prusa, jak z opowieści młodopolskiej pisarki, Haliny Cey-singerówny „Na żalniku starym” (1902). Tam niemiecki junkier kazał zorać pagórki pod lasem, a kiedy okazało się, że w pradawnych czasach był to słowiański cmentarz, popioły z urn rozsypał na pola. Wobec tego przy sprzedaży folwarku nie mogło zabraknąć obrońcy Kaszubów przed złem Smętka.

Po nocy pełnej zwiądów, na omówienie których przyjdzie jeszcze pora, Remus powrócił do Zwady, „bo tak już pewno był zapisane w wyrokach boskich” (s. 124). Można się było tego spodziewać, pamiętając jego mityczną proveniencję, jeżeli miał tam spotkać swego przeciwnika - „ducha Arymana”. Musiało się to oczywiście rozpocząć wieczorem, „Gdy słońce zaczęło się schylać i cienie ludzkie nabierały długości olbrzymów” (s. 124) i odbyć nocą, w czasie sprzyjającym duchom. Była to sceneria zamierzona, jeżeli miało to być spotkanie ducha ciemności z Remusem, przypominającym nie tylko stolema, ale mającym wkrótce zyskać miano solarnego herosa; a wreszcie, jeżeli Aryman-Smętk miał tam odnieść zwycięstwo. Na folwarcznym podwórku Remus i Trąba spotkali Czernika, który zaprosił ich do dworu. Gdyby świeciło słońce, „duch Arymana” nie byłby tak łaskawy dla swego wroga, ale zauważył, że „Słońce poszło sobie spać” (s. 125). Remus niewiele mógł jeszcze z tego zrozumieć, chociaż przeczuł nieszczęście, gdy na schodach ujrzał Śmierć. Nie mógł jednak odejść, ponieważ wiodła go tam „wyższa moc” (s. 126).

Lecz kiedy tylko znaleźli się w salonie i Remus ujrzał na ścianie atrybuty niegdyś świetności słowiańskiego Pomorza - wielką tarczę zdobną Gryfem, „który zamiast tylnych nóg miał rybi ogon” (s. 126), i starą szablę - odzyskał pewność siebie. Szybko ją jednak utracił, kiedy zorientował się, czego jest świadkiem. Tą właśnie szablą dziadowie pana ze Zwady walczyli z wrogami pomorskiej i kaszubskiej ziemi, a teraz ich wnuk sprzedaje im swoją ojcowiznę. Czyżby miały się tu ostać tylko „kaszubskie pamiątki” męstwa jej ojców? Ten, który pozbył się swego sześćsetletniego dziedzictwa, już się z tym pogodził, lecz dla Remusa, wyznaczonego na obrońcę kaszubskiej ziemi, był to akt najwyższej zdrady. Wszak nawet szablę - niegdyś symbol świetności rodzimego oręża - została tutaj sprowadzona do roli dekoracji. Komu zresztą miałyby służyć, jeżeli kaszubski pan pozbył się już swojej ziemi, a jego dzieci wyjechały za granicę. Wobec takiej klęski, która była przede wszystkim klęską Remusa, jego ideowy przeciwnik mógł wyśpiewać hymn zwycięstwa zła nad dobrem, nocy nad dniem i śmierci nad życiem. Była to wreszcie pieśń zwycięstwa nad potęgą stołmów śpiących pod ziemią niczym owi rycerze z tatrzańskiej legendy:

W głębiach ziemi stołem spi
Gdy o świcie zbudził się
Krok postawił w rzeki dwie
Nasze czarne wojsko w skrach,
Wojewodą jego Strach,
Przed nim Zdrada, Gniew i Bunt
Zwaliły stolema w grunt (s. 129).

Remus nie mógł wobec tych słów milczeć; tym bardziej, że był to zwycięski śpiew rycerza ciemności - Arymana-Smętka-Czernika. Gdyby je przemilczał, wyraziłby zgodę na zwycięstwo zła nad dobrem, nocy nad dniem. Dlatego nie przypadkiem właśnie od tej kwestii rozpocznie Majkowski jego śpiew. Nawiąże do mitu solarnego, jak to słońce wyjeżdża zawsze o poranku na niebo, wiedzione przez „boskie strażę”, i głosi przy tym zwycięstwo nad nocą. Potem, opowiadając w funeralnej scenarii o śnie śmiertelnym stolema, zwyciężonego przez Strach, Zdradę, Gniew i Bunt, przypisze odrodzenie tego kaszubskiego olbrzyma z mogiły - jutrzence. Dzięki słońcu ze śmierci powstało życie, a stołem silny solarną energią odniesie zwycięstwo nad wojskami Arymana. Ta poetycka wizja zwycięskiej batalii stołm ze Smętkiem, dzięki słońcu rozpraszającemu ciemności zła, swoją genezę por. J. Kwiatkowski, „Od katastrofizmu solarnego do synów słońca”, Kraków 1977) miała w Młodej Polsce. Tym bardziej, że Majkowski zakończył ją obrazem koguta, jako mitycznego zwiastuna słońca i światła, życia i odrodzenia dnia:

Próżny Czarta gniew i złość
Gdy zapieje kur, już dość! (s. 130)

Wtenczas Smętkowi-Czernikowi nie pozostanie nic innego, jak w bezsilnej złości nazwać ironicznie pieśń Remusa „pieśnią rycerza słońca” (s. 130).

Na tym jednak nie kończy się ich pojedynek na pieśni, ponieważ Remus wyśpiewa jeszcze dziedzicowi prawdę zła uczynionego ziemi ojców, i to jakby na wygłosie słów Chochoła z „Wesela” Stanisława Wyspiańskiego: „Miałeś, chamie, złoty róg!”. Nie trudno bowiem o takie skojarzenie, gdy w pierwszych wersach tej pieśni słyszymy:

Miałeś ziemię, nie masz jej!
Miałeś tonie na jeziorze,
Nad polami oko Boże
Błogosławiąc orne pole
Syciło cię chlebnym plonem.
Miałeś młyny w gardle wód
I pod lasem stary ród. (s. 130)

Potem zabrzmiała ona jeszcze dosadniej, i to pomimo dydaktyzmu i jakby pozytywistycznej tendencji „Placówki” B. Prusa, kiedy jej treść zyska charakter wieszczkiej przepowiedni poprzedzonej klątwą:

Hańbę będziesz teraz jeść,
Boś ty wolał złota trzos.
Taka klątwa na twój włos.
Już za drzwiami stoi kat!
Duszę porwie Czarta brat!
Ziemia zrzuci twoje ciało,
Nim na grobie krzyż ustawia. (s. 131)

Oczywiście jeszcze wtenczas bohater nie rozumiał, „skąd się brał ten zuchwały śpiew” (s. 131), ani dlaczego jego słowa, pomimo skażonej mowy, brzmiały tak wyraźnie i czysto. Działo się to jeszcze bez jego wiedzy i woli, podobnie jak to, że złamał szablę i rzucił ją dziedzicowi pod nogi. Bo chociaż to on wyśpiewał ostatnie słowo, nie można powiedzieć, że ostatecznie zwyciężył. Stale brakowało mu owego mitycznego „światła” wiedzy, a wreszcie po raz drugi zrezygnował z miecza jako atrybutu solarnego herosa. Nie pozostało mu więc nic innego, jak ruszyć „w ciemną noc” (s. 132), chociaż Smętk na

pożegnanie nazwał go jeszcze raz, i to tym razem już bez ironii, „rycerzem słońca”. Mógł tak powiedzieć, ponieważ znał mityczną potęgę słońca, w imieniu której występował Remus.

Tymczasem inni, którzy jak Trąba niewiele z zachowania bohatera zrozumieli, mogli opowiadać to zdarzenie w Zwadzie jako legendę. Taka bowiem była i jest jej geneza. Ma ona zawsze to ziarno prawdy, zda się mówić Majkowski, zainteresowany kwestią legendy. Remus więc usłyszy na Glonku z ust „króla jeziora”, jak to zmarł dziedzic Zwadzki:

„Ludzie z Lipy dziwną opowieść mówili o jego śmierci. Mówili, że Czernik zaprosił do muzyki Trąbę razem z samym Lucyperem w postaci wielkiego jak wieża chłopca. A kiedy pan Zwadzki podpisał kontrakt, wtedy przyskoczył Zły Duch, wykręcił mu kark twarzą na plecy, wywłókł z niego ciepłą jeszcze duszę i kominem porwał do piekła. A lecąc nad ziemią zrobił taki wiatr, że zeszłej nocy rybacy nie mogli łowić” (s. 243).

Kiedy Remusowi i Trąbie przyszło uciekać ze Zwady, jedynym bezpiecznym miejscem okazało się jezioro. Można by się zastanawiać, dlaczego nie rzeka, która niegdyś była dla bohatera mityczną granicą Arkadii. Otóż rzekę swego dzieciństwa Remus już przekroczył, by znaleźć się w świecie mu wrogim i obcym. A ta rzeka, nad którą stał tartak, okazała się tak inna - groźnie szumiąc płynęła w głębokim wąwozie. Nie była Remusowi przyjazna, ponieważ musiał nocą stoczyć w jej nurtach walkę ze Złem. Mówiąc językiem mitu, rzeka symbolizuje nie tylko życie czy śmierć, ale także nieubłagany upływ czasu i zapomnienie. Może być nie tylko przeszkodą, wyrocznią i rzeką śmierci, ale także potokiem życia. Lud tymczasem widział w niej przede wszystkim złe moce i duchy. I to dwojake oblicze - raz przyjazne, innym razem wrogie - zostało tu pokazane bardzo czytelnie. Najpierw rzeka pełniła w „Życiu i przygodach Remusa” pozytywną rolę, lecz kiedy znalazł się on „na swobodzie...”, w jej nurtach mógł sprawdzić swoją dojrzałość do czynu. Musiał wtenczas liczyć tylko na siebie, jak to często bywa w życiu... i zwyciężył na rzece owe Zło. Ponieważ okazał się nim później niemiecki kolonista kupujący folwark Zwadzkiego, dowiódł zarazem, jak rządzi nim jeszcze wyobraźnia. Uzależniony od jej omamów, nie mógł skutecznie pełnić swojej misji i dlatego w Zwadzie nie udało mu się obronić ziemi ojców.

Dla Remusa przyjazne będzie teraz jezioro, zdające się pełnić jakby rolę drugiego pustkowia, jeżeli nie udało mu się jeszcze poznać całej prawdy „świata”. Zanim więc ruszy z Kościerzyny na pielgrzymkę do Wejherowa, trafi najpierw na wyspę Jeziora Wdzydzkiego, zwaną Glonkiem. Tutaj razem z Trąbą ukryje się przed żandarmami, szukającymi ich po nagłej śmierci pana ze Zwady. Można to również odczytywać w kategoriach mitycznych, ponieważ u Majkowskiego kaszubska przyroda, a szczególnie to właśnie jezioro, okaże się przychylne dla bohatera. Zauważy to Trąba, gdy powie: „- Ha! Tu siedzimy jak w fortecy. Kto do nas chce przyjść, musi przejść przez głęboką wodę. Moglibyśmy tu siedzieć przez cały okrągły rok i nikt by o tym nie wiedział. Bywało, że któryś z naszych, gdy mu pruskie prawa dokuczyły, schował się na jeziorze, a kiedy go z jednego ostrowu wypędzili, chował się na drugim” (s. 136). To hierofania wód jeziora, na którego wyspie, odczytywanej przez Mircea Eliadego jako wzorzec stworzenia (por. M. Eliade, „Sacrum. Mit. Historia”, Warszawa 1970), nie przypadkiem będzie można odnaleźć tyle mitycznych atrybutów.

Na Glonku Remus i Trąba spotkają Muchę-Zaborskiego - prawego i tym razem godnego dziedzica tych ka-

szubskich włości, słusznie stąd zwanego „królem jeziora”. Ponieważ tu mieszka, ukrywając się przed tropiącymi go żandarmami, może powiedzieć, że jego domem jest ów ostrów pośrodku jeziora, „z powalą nieba, z milionami gwiazd nad głową i szerokim światłem księżycowym”. (s. 142). Takie potraktowanie przez Zaborskiego tej wyspy, pozwala ją sytuować w sferze mitu i przypomina się zaraz ów las nad rzeką, który Remus traktował jak świątynię. Zresztą z mitu o stolemach „król jeziora” będzie wywodził swój ród, opowiadając, jak to z Północy przyszedł nad Jezioro Wdzydzkie stołem i zakochawszy się w dziewczynie z Zaborów, porwał ją do swego pałacu, zbudowanego „głęboko we wnętrzościach ostrowu...” (s. 143). Wkrótce okaże się, że przeżyje to również Remus, dowodząc repliką tego mitu, że i on z herosów. Zresztą wielu mówiło, że przypomina swoim wyglądem stolema. Zakocha się w córce „króla jeziora” i też wprowadzi ją do swego podziemnego pałacu, kiedyś kryjówki jej ojca. Ale zanim to się zdarzy, dowodząc znowuż mitycznej proveniencji bohatera, podczas pielgrzymki do Wejherowa przeżyje kolejną przygodę, która wzbogaci go mitycznie i metafizycznie zarazem. Kwestiami tymi żyła Młoda Polska i bardzo młodopolska jest ta kaszubska epopeja, kiedy odnajdujemy w niej tyle mitycznych treści i tak często pisarz sięga do jaźni bohatera. Dlatego słusznie mówił Jan Drzeżdżon, chociaż nie odnosił tego do modernizmu, ale do popularnego wtenczas podania, które epoka „przełomu wieków” odczytywała w pobliżu mitu, że „Majkowski z niewykłą precyzją przeplata realną zdarzeniowość utworu iluzją, przywoływaniem scen nieprawdopodobnych, sytuacjami, które wydarzyć się w świecie realnym nie mogły. Dosłowność i konkret są tu dezawuowane siłą podświadomości, fantastyką i magią tworząc tym samym niezwykle nośny plan mityczny powieści, bogato ukształtowany na wzór świata podaniowego. Dzięki temu mogły być wprowadzone takie postacie, jak Ormuzd, Aryman, duchy przodków, Sydonia Bork, czy wreszcie Smętek” (J. Drzeżdżon, „Piętno Smętka”, Gdańsk 1973).

Wracając jednak do „Życia i przygód Remusa”, Trąba uda się najpierw ze swoim przyjacielem do Kościerzyny, gdzie Remus spotkawszy Czernika jeszcze raz usłyszy, że jest „rycerzem słońca”, a potem razem z wesołą kompanią, poznaną w karczmie Neumana, ruszą na Kalwarię Wejherowską. Przed Miechucinem bohater spotka starą Julkę, którą okoliczni ludzie nazwali „proczką”, bo jest „widzącą”. Kobieta opowie mu, jak to ujrzała ciągnące za pielgrzymkami duchy dawnych Kaszubów, „co pod Świętopełkiem i Mściwojem przed wieluset laty jeździli od zamku do zamku i strzegli naszej wolności” (s. 153). Wybrała właśnie jego, ponieważ przed laty widziała go w korowodzie owych duchów i zwał się wtenczas Witosławem. Remusowi nie będzie to jednak wiele mówiło, bowiem kim był Witosław, dowiedzieć się miał dopiero w Sarbsku. Tam rozpozna siebie na starym malowidle jako rycerza - Witosława Joachima Jaszko Młotk z Sarbska - który w 1580 roku najechał Sławno i został za to skazany przez Barnima XIII na karę grzywny. Kiedy jej nie zapłacił, zajęto jego dobra, a on uciekł ze swoim wiernym sługą Goszkiem i zaciągnął się pod rozkazy Stefana Batorego. Zginął śmiercią żołnierza w 1585 roku. Potem jeszcze raz usłyszy o sobie, gdy córka gospodarza sarbskiego pałacu - panna Sławina - w anamnetycznym transie („anamnetyczny trans” można by dziś nazwać za Raymondem Moody „regresją w przeszłe życie” wywołaną autohipnozą Sławiny, chociaż znawca mitów, John Campbell zważył to zapewne reinkarnacją; por. R. Moody, „Życie przed życiem”, Bydgoszcz 1994) przeniesie się w wiek XII i opowiadając o rugijskim królu, zamordowanym wskutek zdrady żony przez wro-

gich Obodrytom najeźdźców (por. o śmierci króla Kruka i zdradzie jego żony Sławiny w „Historii Kaszubów” A. Majkowskiego), ujrzy go jako pielgrzyma. To oczywiście sprawa reinkarnacji, która była szczególnie popularna w Młodej Polsce zafascynowanej religią Wschodu, wyjaśnionej przez pana Sarbskiego jakim językiem tej epoki: „Nieśmiertelny duch ludzki za wolą boską więcej niż jeden raz może zejść na ziemię i formować sobie całą postać, która jemu służy” (s. 275).

Pomijając jednak tę kwestię, czytelną w tym i w wielu innych miejscach powieści, o czym jeszcze trzeba będzie szerzej powiedzieć, warto pamiętać, że jest to też dowód na status Remusa jako herosa. Tym bardziej, że i on dozna podobnego jak stara Julka widzenia w Lesie Mirachowskim, które tak opowie: „Oczy moje poszły dalej: za ludem płynęła chmura, a w niej rozpoznałem rycerzy na wysokich koniach z piórzastymi hełmami i lasem kopii nad nimi. Snadź tych samych, których oczy proroczek Julki widziały wychodzących z gardła Garecznicy. Za nimi, jak daleko dojrzało moje oko, podążały blade postacie książąt w królewskich szatach biskupów, mnichów i rycerzy w zbrojach, a wreszcie szary lud” (s. 159). Ujrzy całe Kaszuby, idące na Kalwarię Wejherowską pod znakiem krzyża. Najpierw na Rewekole Majkowski widział miejsce wspólne dla całego słowiańskiego Pomorza, podane władzy pomorskich i kaszubskich bogów. Ale było to w dziejach bajecznych. Tymczasem ta pielgrzymka zdążyła do miejsca spotkań Kaszubów już w czasach historycznych. Nie udało się wybawić królowianki z zapadłego zamku w przeszłości, kiedy odchodziły z tej ziemi pogańskie bogi, więc teraz czas nakazuje to uczynić, ale już pod znakiem chrześcijańskiego krzyża i opieką Matki Boskiej, jak mówią słowa tej pieśni:

Trębacz trąbią i w kotły biją,
Pójdźcie czym prędzej, chwalcie Maryję,
Bo przez tę Pannę mamy zbawienie
Tylko oczyścimy nasze sumienie... (s. 160)

Nie można jednak tego rozumieć jako absolutnej negacji czasów przedchrześcijańskich i Parnasu pomorskich bogów. Nowe czasy obrały sobie inne miejsce za święte dla kaszubskiego ludu. Bo dla człowieka religijnego każde miejsce nasycone mocą sacrum jest miejscem świętym i stałym. Mówiąc językiem mitu, jest to miejsce, gdzie władza genius loci i gdzie można doznać ciągłości tradycji; w przypadku Kalwarii Wejherowskiej oczywiście tradycji chrześcijańskiej. Jak mówi Jan Perszon, „Obszar wydzielony, wyodrębniony na kalwarię to przestrzeń pełna Bożej mocy, w której mogą zjednoczyć się z Tym, który jest święty, w którym jest pełnia życia. Sakralna delimitacja gór, dolin, lasu, kamieni i drzewek, oznacza wyjęcie tego terenu ze sfery zwykłej, sfery profanum, pociąga za sobą szereg reperkusji” (J. Perszon, „Kalwaria Wejherowska jako sanktuarium...”, [w:] „Wejherowo. Dzieje, kultura, środowisko”, Wejherowo 1993). W takim miejscu była i jest możliwa solidarność wiernych. Zrozumie to Remus, ale będzie o tym również wiedział Smętek i dlatego właśnie tam się spotkają.

„Rycerz słońca” przypomni wtedy duchowi Arymana, „Rich rozmowę na Górze Zamkowej, ale nie usłyszysz już w głosie Czernika tej ironii, jaka brzmiała w Zwadzie, a jedynie uznanie dla przekonania, że „Warto dać życie i szczęście za wybawienie zaklętego zamku” (s. 167), jeżeli na górach Kalwarii zebrali się tyłu Kaszubów wiernych Bogu. Warto wreszcie i dlatego, że dobru stale towarzyszy zło, ale nie tylko, by wzajemnie się zwalczać, ale, jak mówiła Młoda Polska i przede wszystkim Tadeusz Miciński, pamiętający stale o „lucyferyzmie chrystusowym”, aby kiedyś nastąpiła „synteza tych dwu aktywności” (por. Z. Kuderowicz, „Historia i wartości integrujące”, [w:]

„Studia o Tadeuszu Micińskim”, Kraków 1979, s. 171). Tym można tłumaczyć tak przedziwne słowa, wypowiedziane na kalwaryjskich górach przez Remusa: „- Panie! Wasza osoba i wasze słowa są dla mnie jak zdrowie dla chorego człowieka. Moc we mnie wchodzi nie znana i światło jakieś, jak jutrznia po nocy wschodzi w mej duszy. Chciałbym być przy was i słów waszych słuchać każdego dnia i każdej godziny” (s. 167), oraz odpowiedź na nie Smętka-Czernika: „- Rób to, co dusza twoja ci każe. Wtedy nasze myśli i nasza praca jedną pójdą drogą” (s. 167). Więc może w tym kryje się owa tajemnica Smętka Majkowskiego, że jest nie cały zły i zdarza się mu pomagać Remusowi? Potwierdza to chociażby powołanie się Smętka na myśl narodowowyzwoleńczą Kaszubów: „znajdziesz mnie wszędzie, gdzie duch Kaszub podnosi wieko swej trumny” (s. 167), co w tym miejscu i momencie rozumie się już inaczej. Słowa te nie zabrzmiały teraz jak wyzwanie i groźba, a raczej jako propozycja pomocy i zarazem consensusu Dobra i Zła dla sprawy ciemiężonego ludu. Podobnie można interpretować sprawę reinkarnacji, do której sięga Majkowski, zapoznając nas z poprzednimi wcieleniami Remusa. Chce nią opowiedzieć zarówno doskonalenie się jednostki, jak ducha kaszubskiej społeczności.

Podczas pielgrzymki do Wejherowa Remus jeszcze nie wiedział, kim był ów tajemniczy Witostaw ani dlaczego stara Julka otrzymała od dziecka garść orzechów. Zdawał sobie sprawę ze swojej niewiedzy: „Nie umiałem odgadnąć tej zagadki, bo światła mi nie użyczono” (s. 154). Idąc więc z „królem jeziora” z pielgrzymki przez Mirachowski Las, mógł tylko marzyć - „Gdyby tak zbudzić śpiących stolemów kaszubskiej ziemi i odczarować nasze zamkowisko, i dodać krwi i kości temu wojsku, które szło na kalwarię przez Mirachowski Las, i odgadnąć zagadkę postawioną przez dziewczynkę z Garecznicy z rączką pełną orzechów i przenieść królowiankę przez głęboką wodę w lasach pod Lipnem - prędko pozbylibyśmy się naszych upartych, nieproszonych ciemiężców” (s. 176). Aby mógł spełnić przysięgę złożoną Józefowi Zabłockiemu, musiał najpierw poznać „światło”, czyli zyskać wiedzę wewnętrzną, stać się doskonałym wewnętrznym i dostąpić wtajemniczenia. Rozumiał to także Trąba, gdy mówił swemu przyjacielowi: „- Biedny Remusie! Cóż byś ty zrobił beze mnie na tym świecie, pełnym niedobrych ludzi, biesów, strachów, czerników i żandarmów? Wiele wody upłynie, nim ty nabędziesz światowego rozumu” (s. 134). Konieczny więc był znowuż pobyt na pustkowiu, gdzie codzienne kłopoty i sprawy powinny odejść na dalszy plan wobec uniwersalnej i ponadczasowej prawdy. Mogło to się stać tylko w korzystnej dlań przestrzeni i dzięki pomocy kolejnego nauczyciela. Na tym etapie heroicznej biografii Remusa takim miejscem mogła być tylko przestrzeń Jeziora Wdzydzkiego, tak sprzyjająca zawsze Kaszubom, a konkretnie znany już bohaterowi Głonk. Gdyby pozostał na tej wyspie, nie znalazłby się w kościernym więzieniu, podobnie jak Mucha-Zaborski, którego też spotkał ten sam los.

Dlatego musiał tam powrócić, aby poznać to, czego jeszcze nie wiedział. Nie mogło to się obyć bez nauczyciela w przestrzeni tak sprzyjającej mitycznej iluminacji. Jak na pustkowiu pełnił tę rolę przede wszystkim Józef Zabłocki, tak na Głonku przejmie ją ksiądz Paweł. Remus i Trąba spotkali go przy Przerębskiej Hucie, a ponieważ trzeba było go ukryć, wpadli na pomysł, że jedynym bezpiecznym miejscem mógłby być Głonk. Później okaże się, że podziemna kryjówka „króla jeziora” będzie korzystna dla zrozumienia nauk księdza - nauczyciela. Chronić przed Złem będą tutaj ziemia i wody jeziora, warunkujące nadto w planie mitycznym odrodzenie Remusa.

cdn.

Jiwer Sławki

Sławka nigdë nie mësła, że dożëje taczich czasów. W dzëczeczych latkach, mia czësto co jinëgo w głowie. Jesz dzysô o tim wspominiô ë ni może zrozumiec tego, że tak to sę pokolibało, czësto w jiną stronę. Ale sę stało, jak nie-jednému na tim swjece. Bez to sta sę nerwës, pobudlëwô ë nawetczî z pësëkë wësłoczy, czego u ni w chëczach ni dô-rwało bëc.

Dzysô mô chlëpa, pod-rosłych dwóch knôpów, kterny są wiedno głodné ë nie chçą ju slëchac wëszoce. Ale jesz so jakos radzy, bo jak chłop na nich rëknie, to jesz slëchają. Sama bë pewno so z nima nie da radë. Mô jednak nôdzejë, że tak długo nie może bëc, że to sę musi poprawic, bo jakbë nie... je wierzącą ë praktykującą katolëczką, ale jakbë tak miało ostac, to niech Pón Bóg bronil...

Oboje z chlëpë są na ku-roniówce, jakbë tak mielë žëc jak jinë, to kuńc swjata, nie stôrczô do połowë miesaçã. Ona, Sławka, to widzy ë lëcho sę ji robi na samą mësłë o tim. Wokolë to wszëtcë žëją z ku-roniówczî ë wiëkszość kupuje na krëchë od piëtnôstëgo, ë tak od dlëższëgo czasu.

Mają swojå chëcz, swinie, krówkë, celë, kurë, gësë, jak sę przenôlëgô na môtëgo gburka na wsë. Robią z chlëpë dżëń ë prawie w noc. Ale jak dalek będą tak rëlë i piskalë w ti zemi?

Knôpi są wërosłë, ë wiedno głodné, dojeżdżają do szkołë do Lęborka. Co dżëń pëknie czterë brôtë chleba, a do te fuńt worsztë czë jaczëgos jinëgo krafnëgo. Na niedzielë Sławka kupuje dzesëc brôtów chleba ë narëcze do chleba, źle u mie nima w wëdzarni. Ta sklepówô jak ë lëdze, wżërajå na nië jak na zaczadzają, a rôz sę pitają: Nie je to za wiele, telë brôtów?

Sławka sę czerwieni ë gôdô, że mô goscë, a goscóm muszi dac do jedzeniëgo.

Sławka ždë na lato, czëj u nich zaczną sę jagodë ë grzëbë, a ona je jaż dżëkô na to. Nie dosc, że to budżet domo- wy zreperëje, ale ona nick za lasë nie widzy, to ji decht lubi ë plażëje. Nagoni sę jak nen szczirz, ale je zadowolônô, bo mësłama je w lese, a nie w chëczach.

Mój ti Boże! Do czego to przëszło? Ju nikomu tam u gôrë nie wierzi. To jistni këtzińc, cëgëństwo, szalbier- stwo, pokrëctwo, a na dole bieda ë jiwer. Jednë nie wie- dżå, co z dëtkama robic ë žëją jak roztrëborcë, a drëdzi klepiå wielgå biedë.

- Më z chlëpë wëcygôma prawie na moc - jiwerëje sę Sławka - môtå të kruszë, celë, swinie, co sę przënôlëgô na wsë. Te dwie swinie wiedno padną pod nóż, ale to jesz nie starczy, bo ti moji wëszoce są doch nienazarti. Na jeseni muszå bëc dwie folny becuzzi kapustë, a to ledwo starczy do lata, dwa cetnarë muszë zakwasëc gurków, bo oni ni mogą zjesc pëłniô bez gurków. Wëdzarniô ë lodownica wiedno muszi bëc ful. Nie rozmiejë tich, co mają wiëcëj dżëcy, jak oni so radzå. Mój Boże!... Ale oni tam chodzå po szurkach, chë- czach, kurnikach (grëdach), na lëdzką krziwdë. Môzë ti moje głodomorzë, czëjbë jima nie da, tëż bë tak chodzëlë na cëzë?... Ale nie chçå sę uczëc dalej! Jima w lejpacz chësto jiny swjat! Chodzå do za- wodowëch ë muszelë be jidz do techników, ale jima sę nie chce judoszóm! Chcelë be žëc letczim chlebë, tam cëż skrå- cëc, tam fuchô, tam dzes me- lóna... Marija Józef! Jak jich czëjë, jak zaczną se gadac z jich kolegama, czëj sę zëńdå, të chitiszko ucëkóm do chlëwa, brac sę wirzucanië gnoj, pogadac z kruszama, ze swińczacë, bo ti mie rozmiejå, narobië sę jak nen pies ë to mie przechodô, bo tak bëm muszå wżac palcotra ë walëc. Marija Józef! Tak oni sę piëknë wërosłë, nawetczî do lubieniëgo... në jô, ale co oni zozgrzå? Żle oni pudå do

wojska, të będ muszå zrobic do jich komendanta prosbë, bë jima dalë ekstra dodatczî, bo oni z głëdu padną. Tak to je na tim swjece. Jednego razu to bëło na zimku, mój Staszëk rzecze do mie umilnym głosë: - Mamuska! Mie be sę przenôlëgô bëlnë witaminë pojesc... Zatrzëśło mie, bo od razu mie do lejpa nie wpadło, jaczî mu tam w lejpie witaminë zaswitalë. Ale rëszało mie ë pitóm go sę, jaczë të bës chçôł witaminë, bo w ogrôdze ë na polu je dosc witaminów. - Jak jinë knopi ë dżecë jedzå: pomarańcze, cytrónë, bananë, fidzi, në... Tak mie reszålë, że małe jem nie dosta padaczczî. Serce podskoklë do gôrdzëla, nodzi zatrzëślë, žëbë nie bëł mój knôp, to bëm na niego z sëczierå szlå, judasz jeden! Bananów, figów mu sę zachçål! - Të mie knôpku nie nerwuj, bo mogë tego nie zniesc. Môta w ogrôdku cebulë, rzodkiew, pietruszkë, marchew, na polu bulewczî, wszëtko porosłë na czëstym gnoj, tëmå tu rëkama obrobie, a wama sę zachçå figów, bananów ë jesz tam czegos? A na czym wa tak wë- rosłå? Na figach ë bananach? Judasze jednë! Wama sę chce tëj trëcznë od tich kapi- talistów! Ti biesë mają wszët- ciego za wiele ë slå do nôs, te rësztczî, to gôrszî, bo muszi jidz heńdel z taczima glëperama, na jaczich u nôs trafilë. A të knôpie slëchôsz taczich tam wëszołów.

- Ale jinë tëż tam žëją, są bogati, mają autołë...

- Jak jô cë dóm autól ë tamtich, to të sę zesrôsz! - nie wëtrzima Sławka. - Jô z wajim tatå mësłima ë robima wszëtko, žëbë wama tu bëło jako tako, žëbë wa mia co jesc, a wa môta taczî mësłë? Zaresczî wezniesz widlë ë pudzesz gnój trzåsc, tata tam go zwożô. Jô cë dóm witaminë i fidzi purtku jeden! Wiete lëdze, to człowieka może szlak rësżëc.

Staszëk wżål widlë, mreczu ale szedł, bo jak ojciec na niego krziknie, to może bëc gorzëj, a on tak po polsku ë sę nie rë- chuje ze słowama.

Jednego razu Sławka rzecze do Staszëka, bë

przëniôsł ji z ogrôdu jich witaminów, czëlë pietrëszczî ë lëczku. Jô, Staszëk bëł flotny ë przëniôsł całå gôrsë.

- Tak chutko?! Jak të to zro- biu, że tëlî od razu?

- Në, scął jô dwa rzådczî ë mëmie przëniôsł, na cëż tak dżëbac jak mama to robi, jak kura, tam dżëbnë, tam dzes, a jô od razu scął dwa rzådczî - chwôlî sę Staszëk niedëwinne.

Sławce uderzå krew do głowë, zabëlå w gëbie jëzyka, do- pierë po chwilkë wëdësza ze se:

- Przesnitëlcu jeden! Kôzdi glëpera tak robi. Łëczk sę wëbierô dze wiëkszi, a nie scënaçc wszëtko, cziedë to tërë urosce, baranie jeden!

- Nie wiem, co z nich wë- rosce, ale czëj mogë, to jima dogôdzom, jak bđå na swoim, to niech sę patrzą. Mie leno ji- scy to, że oni są taczî glëdnë, wiedno bë žërlë ë žërlë. Na swjëtå më bilë swinië. Jednë szlë do becuzzi zasolonë, drë- dzi na wëczî, do lodownicë, a jesz ostało tak na całå brët- wannë. Mësłë so, że na kuń- cu uszmôrëjë ë dóm do we- ków. Uszmôrównë mięso jô postawia na kuchni ë szlå do chlewa krowë wëdójic, opat- rzec swinie ji tak rozmajice, spokójnô ju o wszëtko o dzys dżëń. Cziedë jem wlazłå do kuchni, mało mie nie trafiu szlak. Wszëtçë troje sëdzëlë nad brët wannå, nad mojim miësë uszmôrowanym ë prze- szëkowowanym do weków. Wiëkszość bołå żzartô. Obli- zewalë sę, bo to sëtî cëkło jima po brodach, pomrekiwalë ë anielszczima oczama wżë- ralë na mie. Jô ji ni mia słów na to. Scësło mie w gardle ë rzekë jima na pocëszënië: Bożë przeżëgnij! To doch miało bëc do weków. Mój ti Bożë. Mësłå jô, że skoro tego tëlî zżerlë, to może sę jima tam dzes ulezi na pôrë dni. Ale ti judasze na drëdzi dżëń jakbë nick, swojë porcjë muszelë zjesc, a jô leno na te resztczî. Wszëtko na mojej głowie. Dzysô muszë jesz dozdrzec naszå swinië, bo chce do knarza, bådå môtë ji tak w kółko. Ale jidzë czas na jagodë ë grzëbë, te ju przinëdå jinë mësłë.

Tradycja i współczesność regionalizmu podhalańskiego

Podhale ze względu na szczególne warunki krajobrazowo-klimatyczne jest najbardziej znanym regionem w Polsce. Penetrowane przez naukowców już od początku XIX wieku, popularyzowane w literaturze i sztuce stało się swoistą Mekką dla inteligencji na przełomie XIX i XX wieku. Datą znaczącą w programowym zainteresowaniu, zwłaszcza Tatrami, było powstanie w 1873 roku Towarzystwa Tarzańskiego, z inicjatywy przybyszów spoza Podhala: Maksymiliana Nowickiego, Walerego Eljasza, Eugeniusza Janoty i Tytusa Chałubińskiego. W wydawanych od roku 1876 „Pamiętnikach Towarzystwa Tarzańskiego” ukazywały się cenne prace, traktujące wszechstronnie o osobliwościach przyrody i kultury regionu.

Inspirującą rolę dla wystąpień twórców wywodzących się z Podhala spełniło pisarstwo i działalność kulturotwórcza Stanisława Witkiewicza. Ten wrażliwy na piękno artysta, zafascynowany przyrodą i kulturą ludową podnosił jej ponadlokalne walory i postulował włączyć je do dorobku ogólnonarodowego. Podnosił rangę literatury gwarowej, podkreślając, że „mowa podhal-

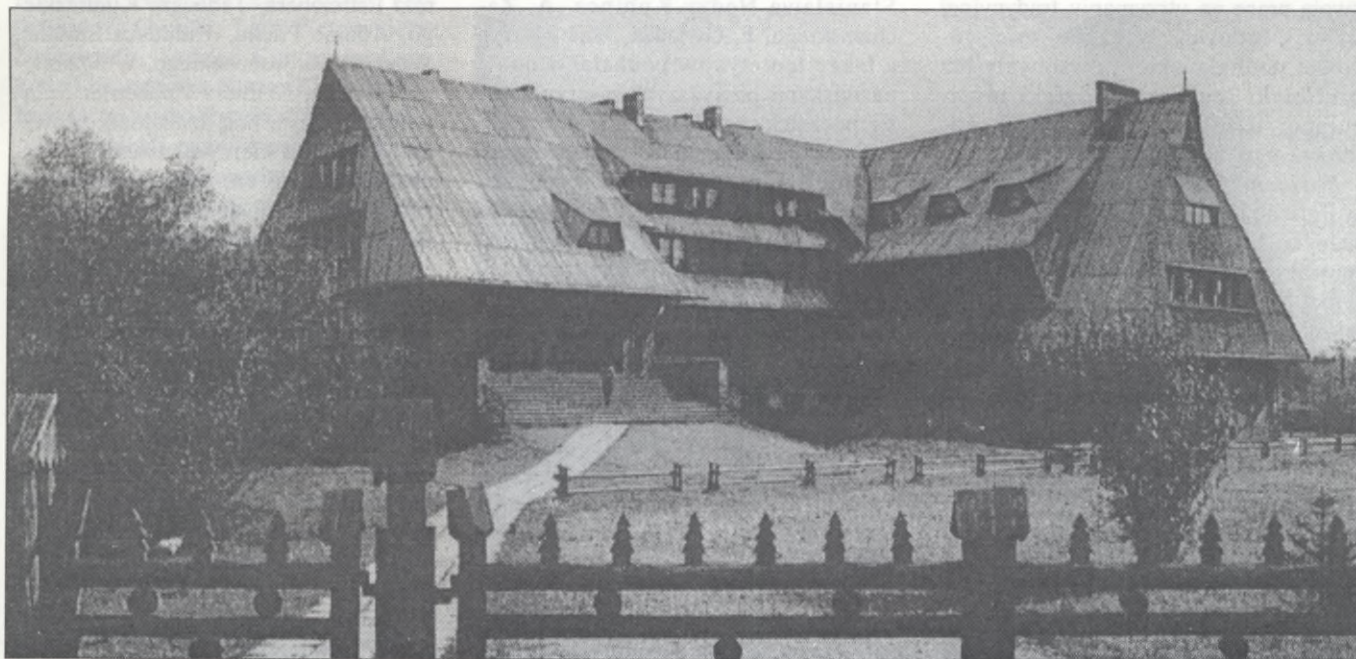
ska nie przeszkadza literaturze, może być dla niej źródłem ożywczym, kopalnią świeżych i najczystszych plemiennych pierwiastków języka” („W kręgu Tatr, t.2, 1970). Bogata i wszechstronna twórczość Witkiewicza a także jego osobista postawa oddziaływały na przyjaciół twórcy - entuzjastów Podhala, zgłębiających jego odrębności etnograficzne. Owocem tych kontaktów są, obok „Na przełęczy” Witkiewicza, „Studia nad budownictwem i zdobnictwem góralskim” Władysława Matlakowskiego, „Styl zakopiański” Stanisława Eljasza-Radzikowskiego, szkice o gwarze podhalańskiej Bronisława Dembowskiego.

Naukowe studia o górach i góralach szczególnie umacniały świadomość ludu podhalańskiego, w niemałym stopniu wpłynęły też na rozpoczęcie twórczości literackiej i dokumentację folkloru przez pierwszych wykształconych Podhalań. Z ich inicjatywy powstał w 1904 roku Związek Górali i jego „Seksja Inteligentna”, stając się zorganizowanym ruchem społeczno-kulturalnym. W programie statutowej działalności związku położono duży nacisk na

pielęgnowanie zanikającego już w Zakopanem i okolicach folkloru.

19 sierpnia 1906 roku na zebraniu Związku Górali ukonstytuowała się Sekcja Akademicka Podhalań, a w jej skład weszli m.in.: Władysław Orkan, Andrzej Stopka, Józef Jedlicz. Pierwszy Zjazd Podhalań odbył się w roku 1911 i połączony był z jubileuszem 25-lecia twórczości Kazimierza Tetmajera. Zjazd ten zapoczątkował działalność Związku Podhalań, któremu ramy organizacji statutowej nadano dopiero w 1918 roku. Już jednak na drugim zjeździe w Nowym Targu w 1912 roku postanowiono założyć gazetę, która miała m.in. budzić ducha narodowego na Spiszu i Orawie. Jej organizacją zajął się Jan Bednarski, powierzając redakcję Feliksowi Gwiżdżowi. Tak więc „Gazeta Podhalańska”, ze słowem wstępnym Orkana, stała się, przez cały okres międzywojnia, organem Związku Podhalań. Była znakomicie redagowanym tygodnikiem, informującym o zagadnieniach kulturalnych, społeczno-ekonomicznych i politycznych.

Wraz z powstaniem Związku Podhalań, a także powołaniem jego organu prasowego, regionalizm podhalański



DOM PODHALAŃSKI IM. KAZIMIERZA PRZERWY-TETMAJERA

zaczął określać coraz szersze kręgi, przyjął przy tym formę zorganizowanego ruchu literackiego. Związek stał się pierwszą w Polsce organizacją, skupiającą w licznych ogniskach rodowych Podhalan i sympatyków regionu.

Niemale znaczenie miało też utworzenie w 1921 roku Akademickiego Związku Podhalan. Kształcący się Podhalanie mieli teraz możliwość bezpośredniego wykazania się w pracy regionalnej. Brali też czynny udział w corocznych zjazdach Związku Podhalan, z których niewątpliwie Zjazd VI, odbywający się w 1922 roku w Czarnym Dunajcu, pozostawił najtrwalsze wspomnienia. Tu Orkan wygłosił płomienne przemówienie do zebranej młodzieży, znane jako „Wskazania dla synów Podhala”. Na pierwszy plan wysuwa się tu apel o poznanie przeszłości ziemi podhalańskiej, o świadomą kontynuację tradycji o solidną pracę dla Podhala i ojczyzny, o prawy charakter Podhalanina na każdym stanowisku.

Orkan jeszcze dwukrotnie wygłaszał przemówienia; na VIII Zjeździe w Zakopanem, w 1924 roku, mówił „O polityce Podhala”, w dwa lata później, na X, jubileuszowym w Szaflarach, mówił „O związku ziem”. Tu także wyjaśnił istotę modnego już wówczas pojęcia „regionalizm”; sam dotychczas używał określenia podhalanizm.

Na corocznych zjazdach Podhalan (XXIII do wybuchu II wojny światowej) radzono nad całokształtem zjawisk społeczno-kulturalnych. Na plan pierwszy w pracy regionalnej wysuwała się ochrona Podhala przed niwelacyjnym wpływem kultury napływowej. Powstające w każdej większej miejscowości ogniska związku koncentrowały swoją pracę na utrzymaniu tradycyjnej kultury ludowej. W każdej miejscowości podhalańskiej powstawały też biblioteki regionalne, dzięki inspirowanej działalności Muzeum Tatrzańskiego im. Tytusa Chałubińskiego.

Muzeum Tatrzańskie było pierwszą w Polsce placówką o charakterze regionalnym. Jako instytucja naukowa obejmowała zasięgiem swoich badań Tatry i najbliższe im okolice, patronowało wszelkim działaniom dokumentującym folklor, a zasługi Juliusza Zborowskiego, długoletniego dyrektora tej placówki w latach 1922-1965, są szczególnie godne podkreślenia.

Chroniono też regionalizm podhalański od zaściankowości. 6 lipca 1925 roku powołano w Zakopanem Powołany Uniwersytet Regionalny im. Stanisława Witkiewicza. Na kursach wakacyjnych wykładali wybitni uczeni polscy, którzy wzbogacali regionalizm podhalański o idee ogólnonarodowe.

W upowszechnianiu idei regionalnej szczególną rolę odegrała prasa podhalańska. W „Gazecie Podhalańskiej”, w „Echu Tatrzańskim”, „Gazecie Podhala” i w „Nowinach Podhalańskich” dominowały sprawy wiążące się z programem i zadaniami ruchu podhalańskiego. Na łamach tych pism drukowała swoje utwory cała plejada regionalnych twórców wywodzących się z Podhala, jak Feliks Gwiżdż, Antoni Zachemski, Augustyn Suski, Andrzej Stopka, Wojciech Brzega, Aniela Gut Stapińska. Nurt folklorystyczny występujący w literackiej twórczości tych pisarzy był znaczący dla podhalańskiej idei regionalnej. On też zainspirował organizację festiwalu sztuki ludowej całego Podkarpacia - Święta Gór. Na pierwszym, które odbyło się w Zakopanem w 1935 roku, spotkali się górale z całego obszaru Karpat. Kolejne Święto Gór, w 1936 roku w Sanoku, wiąże się z powołaniem Komitetu Organizacyjnego Związku Ziem Górskich, który miał za zadanie współpracę mieszkańców ziem górskich, od Sudetów po Karpaty, na płaszczyźnie kulturalnej, społeczno-gospodarczej, ale miał także „nieść Polsce wartość ziem górskich i ludu góralskiego w interesie obszaru karpacciego, a równocześnie całego Państwa” (W. Goetel „Zagadnienia regionalizmu górskiego w Polsce”, 1936).

Święto Gór znalazło żywy oddźwięk na łamach „Ziemi Podhalańskiej” - miesięcznika redagowanego i wydawanego w Warszawie przez Feliksa Gwiżdża. Obok „Gazety Podhalańskiej” był to drugi ważny organ prasy regionalnego ruchu na Podhalu. Większą część pisma wypełniały utwory piszących Podhalan: A. Suskiego, Stanisława Nędzy-Kubinca, A. Zachemskiego, F. Gwiżdża, Jana Mazura a także teoretyków podhalanizmu. Z nazwiskami powyższych pisarzy łączy się początek regionalnej literatury podhalańskiej, którą w myśl „Wskazań” Orkana uprawiali w sposób świadomy. Większość ich utworów nawiązywała do założeń programowych regionalizmu podhalańskiego. Ci wykształceni synowie góralscy uprawiali rozmaite formy działalności pisarskiej: byli publicystami (F. Gwiżdż, A. Suski, A. Zachemski), autorami sztuk scenicznych, głównie dla teatrów amatorskich (Andrzej Galica, A. Gut Stapińska, F. Gwiżdż) i poetami (Z. Lubertowicz, J. Mazur, A. Suski). Zajmowali się też dokumentacją materiałów folklorystycznych (Zygmunt Lubertowicz, A. Stopka).

Prawie równoległe z twórczością pisarzy regionalnych zadebiutowali ludowi pisarze Podhala: S. Gąsienica Byr-

cyn, S. Nędza-Kubiniec, Hanka Nowobielska, Adam Pach, Andrzej Skupień-Florek, podejmując w swoich utworach, pisanych gwara, głównie poetyckich, realizację idei podhalanizmu.

Wybuch II wojny światowej i działania wojenne okupanta na Podhalu spowodowały ogromny rozłam w ruchu podhalańskim. Za działalność patriotyczną zginęli z rąk okupanta: J. Mazur, A. Suski, A. Zachemski. Związek Podhalan zawiesił swoją działalność.

Rozpoczął ponownie działalność jesienią 1945 roku, z inicjatywy nestora ruchu podhalańskiego, Jakuba Zachemskiego. Siedziba Zarządu Głównego mieściła się w Krakowie, a cztery oddziały w Krakowie, Limanowej, Poroninie i Odrowążu; nie objął swym zasięgiem Zakopanego. Okres socrealizmu nie był przychylny organizacjom regionalnym. Związek Podhalan zaprzestał działalności z końcem 1948 roku. Ponownie podjął działalność statutową dopiero w roku 1957, kiedy to jako Związek Górali Tatrzańskich obradował 6 października w Zakopanem. To walne zebranie związku było zarazem XXIV Zjazdem Podhalan. Na następnym zjeździe, w 1959 roku przywrócono dawną nazwę - Związku Podhalan i oddał już ze średnią częstotliwością co 2-3 lata odbywały się zjazdy Podhalan w Zakopanem i Nowym Targu.

Niemale znaczenie w życiu kulturalnym i literackim regionu odegrał w tym okresie Klub Literacki w Zakopanem. Pierwszemu zarządowi przewodniczył Józef Kapeniak, jesienią 1968 roku prezesem został Jan Sztudyingier. W ramach działalności klubu odbyło się wiele wieczorów autorskich, m.in. Karola Estreichera, Tadeusza Kudlińskiego, Adama Pacha, Tadeusza Staicha, Władysława Studenckiego, Włodzimierza Wnuka, Elżbiety Zechenter Sławińskiej. Ożywioną działalność prowadził klub pod kierownictwem T. Staicha. Umożliwił on, poprzez powołanie sekcji gwarowej, debiut licznym młodym twórcom podhalańskim.

W klubie, a szczególnie na zjazdach Podhalan dyskutowano o całokształcie zjawisk społeczno-gospodarczych i kulturalnych regionu. Lata 70. i 80. stały się kolejnym wyzwaniem dla działaczy związku. Postępujące głęboko procesy unifikacji kultury zagrażały kulturze regionalnej. Na XXXV Zjeździe Podhalan w Domu Regionu Podhalańskiego im. Kazimierza Przerwy-Tetmajera i Władysława Orkana w Ludźmierzu, w dniach 27-28 czerwca 1987 roku, Jacek Kolbuszewski mówił m.in.: „zwyczajnym i powszechnym prawem ewolucji kultury jest, że ulega ona unifikacji i

uniformizacji. Otóż, jeśli kultura góralska jest wartością, to trzeba ją przed tymi procesami chronić, licząc się jednak z nieuchronnością przemian w łonie kultury tradycyjnej. Tych przemian się bowiem nie uniknie" (Krajobraz i Kultura, „Podhalanka”, 1987, nr 2)

W celu ochrony wartości zagrożonej kultury góralskiej w programie pracy Związku Podhalan położono nacisk na tworzenie dużych i silnych oddziałów związku, jednoczenie Podhalan w trosce o dalszy rozwój Podhala i ochronę jego środowiska naturalnego, rozwijanie działalności gospodarczej, ratowanie kultury rodzimej przed procesami cywilizacyjnymi. Ta programowa działalność znajduje swoją realizację m.in. poprzez organizowane w różnych częściach Podhala przez cały rok imprezy folklorystyczne, w których uczestniczą członkowie Związku Podhalan, np. karnawał góralski i Sabalowe Bajania w Bukowinie Tatrzańskiej, Poroniańskie Lato, cotygodniowe posiadły w świetlicy „Śwarna” w Zakopanem (w ogniskach związku w Nowym Targu, Krakowie, Lublinie, Poznaniu - posiadły odbywają się raz w miesiącu). Bogactwo imprez folklorystycznych towarzyszy Międzynarodowemu Festiwalowi Folkloru Ziem Górskich, który od 1991 roku jest Świętem Gór. Na tym przeglądzie bardzo bogato eksponowana jest kultura regionu podhalańskiego. Towarzyszący imprezie konkurs na wiersz o tematyce górskiej zachęca do zainteresowania regionem środowiska twórcze z całej Polski, działa też inspirowanie na twórców podhalańskich. Charakter ponadlokalny mają także inne imprezy regionalne, odbywające się w sąsiadujących ze Skalnym Podhalem regionach. Należą do nich: Święto Pasterskie na Orawie, Lato Pienińskie w Szczawnicy, Tydzień Kultury Beskidzkiej, Limanowska Słaza, Konkurs Potraw Górskich i Prucki w Łopusznej.

W szkołach regionu podhalańskiego organizowane są ponadto konkursy recytatorskie dla dzieci i młodzieży, związane z postaciami znanych pisarzy ludowych, np. w Białym Dunajcu konkurs im. A. Skupnia-Florka, w Zakopanem im. A. Pacha, w Rabce im. A. Zachary-Wnękowej. Tradycje regionalnych zwyczajów kultywują także biura turystyczne. Kuligi, ogniska, poczęstunki regionalne, występy zespołów regionalnych oraz prelekcje osób związanych z Podhalem urozmaicają pobyt licznych turystom i czasowiczom, a ponadto pozwalają poznać bogatą kulturę regionu.

Placówką kultury o znaczącej działalności regionalnej jest wspólnie Muzeum Tatrzańskie. Wydaw-

nictwa i prace naukowe muzeum, „Rocznik Podhalański” wskazują na szeroki program działania i bogatą oraz zróżnicowaną problematykę kultury Podhala. Interesującą działalność prowadzi także Miejska Biblioteka Publiczna im. S. Żeromskiego. Słynne „Czwartki Literackie” przyczyniły się do popularyzacji regionu.

Lata 90. dają szczególne możliwości rozwoju ośrodkom regionalnym. Procesy prywatyzacji przyczyniły się do aktywizacji kulturalnej. Na przykład Zakopiańskie Towarzystwo Gospodarcze wydaje od roku 1990 niezależne pismo regionalne - „Tygodnik Podhalański”, poruszający problemy nurtujące środowisko.

Powojenna działalność Związku Podhalan została bogato udokumentowana w organach prasowych związku, np. w „Podhalu”, a później, od 1981 roku, „Podhalance”, redagowanej przez Tadeusza Staicha i kolegium redakcyjne.

Wiele miejsca w „Podhalance” poświęcono dziejom ruchu podhalańskiego - temat najczęściej rozwijany przez Włodzimierza Wnuka, zresztą jego niestrudzona praca dla Podhala i umiłowanie regionu stały się początkiem do powstania tak znakomitych opracowań, jak: „Gawędy skalnego Podhala”, „Na góralską nutę”, „Moje Podhale” i „Ku Tatrom”. Ostatnia praca wydana wspólnie z Andrzejem Kudasikiem - „Podhalański ruch regionalny” - jest pełną dokumentacją regionalizmu. Szczególnie godne podkreślenia są także zasługi Włodzimierza Wnuka w umacnianiu związków z Podhalem Polonii amerykańskiej, co zaowocowało kilkoma cennymi opracowaniami.

Ważnym elementem w życiu kulturalnym Podhala jest utworzenie Tatrzańskiego Ośrodka Swojszczyzny, który powstał 7 kwietnia 1991 roku po przejęciu przez Związek Podhalan siedziby w domu przy ul. Kościuszki 4 - dawnego Domu Ludowego im. Franciszka Pawlicy, potem Miejskiego Domu Kultury. W 1990 roku zaczęły się ukazywać „Hale i Dziedziny - Miesięcznik Ziem Górskich”, wydawany przez Oddział Tatrzański Związku Podhalan. Pismo, coraz bardziej doskonałe swą szatą graficzną, daje obszerny przegląd problematyki kulturalnej i społeczno-gospodarczej regionu. Zasięgiem swoim obejmuje także Orawę i Spisz, które to regiony w ostatnich latach zaktywizowały swoją działalność kulturotwórczą (od 1994 roku organ Związku Podhalan). Przyczyniły się do tego powstałe po podziale administracyjnym kraju w 1975 roku gminne ośrodki kultury, podtrzymujące kulturę ludową oraz rozwijające inicjatywy gospodarcze.

W ostatnich latach daje się zaobserwować aktywizacja ośrodków regionalnych Orawy i Spisza. Ważnym wydarzeniem dla popularyzacji regionu Orawy było założenie w Krakowie w 1988 roku Towarzystwa Przyjaciół Orawy. Kwartalnik Towarzystwa - „Orawa”, dokumentuje różnorodne formy działalności organizacji, zapoznaje z badaniami historyczno-etnograficznymi oraz z współczesnymi problemami regionu. Prężna działalność kulturalna Orawskiego Parku Etnograficznego w Zubrzycy Górnej jest przykładem dbałości o zachowanie zabytków architektonicznych Orawy, a także popularyzacji regionu poprzez organizację spot-



WILLA „KOLIBA”

kań z ciekawymi ludźmi, wystaw, plenerów artystycznych.

Podobnie też powstały Związek Polskiego Spisza i jego organ prasowy „Na Spiszu”, pod red. Juliana Kowalczyka, oraz „Śpisko Sygnorka” - biuletyn, redagowany przez Tadeusza Trajdosa, zapoznają liczne kręgi odbiorców z dziejami tego regionu, jego dawną i współczesną kulturą. Związek obejmuje także wioski spiskie na terenie Słowacji.

Ożywienie ruchu wydawniczego po 1989 roku wpłynęło również na aktywizację Związku Podhalań i w tej dziedzinie. Od 1989 roku działa w Krakowie przy Zarządzie Głównym Związku Podhalań, znakomicie się rozwijająca Oficyna Podhalańska. Z inicjatywy redaktora naczelnego - Zofii Stojakowskiej-Staich oraz Kolegium Redakcyjnego wydano już 22 tomiki, w tym reprinty trudno już dziś osiągalnych wydań z XIX i początków XX wieku; kilka wydawnictw poświęcono współczesnej twórczości literackiej oraz dokumentacji materiałów folklorystycznych. Plany wydawnicze oficyny pozostają w bliskim związku z ideałami nieżyjącego już Tadeusza Staicha, który patronował ruchowi regionalnemu w okresie powojennym. Starając się urzeczywistniać orkanowskie „Wskazania”, opiekował się grupą młodych następców - Franciszkiem Bachledą-Księżdźmierzem, Andrzejem Gąsienicą-Makowskim i Janem Fudalą (w latach 70. jako studenci krakowskich uczelni tworzyli oni grupę poetycką „Juhasi”).

Ostatnie lata sprzyjają aktywizacji ośrodków regionalnych i to właśnie one - dzięki zaangażowaniu młodych regionalistów - zadecydowały o przyszłości Podhala. Dalszy program rozwoju regionalizmu podhalańskiego został wyraźnie nakreślony na 3-dniowej sesji naukowej pt. „Regionalizm - regiony - Podhale”, która odbyła się w dniach 4-6 grudnia 1993 roku w Zakopanem w nowo otwartej willi „Koliba” - oddziale Muzeum Tatrzańskiego. W większości wystąpień konfrontowano tradycję z dniem dzisiejszym regionalizmu podhalańskiego, starano się równocześnie wyznaczyć kierunki rozwoju ruchu regionalnego na najbliższą przyszłość.

Rok 1994 jest związany z dwiema ważnymi rocznicami: 90. powstania Związku Górali i 75. rocznicą Związku Podhalań, działającego obecnie poprzez 34 oddziały krajowe i 16 ognisk Oddziału Tatrzańskiego. Bardzo prężnie pracuje także Związek Podhalań w USA, a liczne Koła Związku powstają w większych skupiskach Polonii. ■

ZASADY • KWASY

Jedni dbają o tradycję, nie licząc na zysk. Inni natomiast wykazują czujność, aby dbałość o świadomość społeczną nie pociągała za sobą wydatków. Doświadczył tego Jan Chłosta, gdy zebrawszy wspomnienia różnych autorów o Marii Zientarze-Malewskiej, warmińskiej poetce, zaczął szukać sponsorów, aby doprowadzić do wydania książki.

Kiedy wszedł do Urzędu Wojewódzkiego w Olsztynie, nie sądził jeszcze, że właśnie w Wydziale Kultury spotka go niecodzienne zdarzenie. Dyrektor Witold Hiller na wstępie zapowiedział, że na jubileuszowe wydawnictwo nie da ani grosza. Nie poprzestał jednak na tym. Żeby zatroskanego Jana Chłostę nie zbyć niczym, na odchodnym pouczył go, że należy pisać takie książki, na których można zarobić.

Książka „Czytaliśmy sercem” ukażała się. A ta cenna rada dyrektora to, jak dotąd, jedyny wkład Wydziału Kultury UW w obchody stulecia urodzin warmińskiej poetki.

Nie wiadomo, jaka przyszłość czeka olsztyńską Wyższą Szkołę Pedagogiczną, która w tym roku obchodziła swoje 25-lecie. Wojewoda Janusz Lorenz zabiega wytrwale, aby szkoła miała status uczelni akademickiej. Stąd jego spotkania z premierem Waldemrem Pawlakiem, z rektorem UMK, rozmowy z członkami Senatu WSP, podczas których wysuwa różne inicjatywy i przypomina o pojawiających się groźbach likwidacji uczelni.

Tymczasem władze WSP, nic nie robiąc sobie z tego całego zamieszania, zachowują stoicki spokój. Na jubileusz, który odbył się wiosną, przygotowały dwie sesje naukowe. O bogatym dorobku naukowym uczelni miało świadczyć to, że z okazji 25-lecia wygłoszono kilkadziesiąt referatów i komunikatów naukowych.

Patrząc na program sesji, można było zauważyć, że bodaj żaden referat nie wiązał się z problematyką Warmii i Mazur ani nie dotyczył dziejów ziemi między dolną Wisłą a Niemnem. Czyżby to był przykład na to, że program badań naukowych w olsztyńskiej WSP wykraczał poza regionalne opłotki?

W Krutyni i Mrągowie odbywały się z początkiem lipca imprezy IV Tygodnia Mazurskiego, organizowane przez Stowarzyszenie Mazurskie, które korzystało ze wsparcia programowego i finansowego Ostsee-Akademie w Travemünde. Mazurów uczestniczących w spotkaniach było mniej niż gości z zagranicy. Przybyła grupa Litwinów, a wśród nich amatorski teatr z Jurbarkas, przybyli także Niemcy z Dąbki i z gminy ewangelickiej w Królewcu oraz rosyjski zespół dziecięcy z tego samego miasta nad Pregolą. Przedstawiciel Ostsee-Akademie, Burkhard Ollech, który poświęcił całą uwagę tej grupie gości, tak się zasluchał w popisy rosyjskich dzieci oraz opiekującej się nimi aktorki, że po ich występie wkroczył na scenę Mrągowskiego Ośrodka Kultury, aby przed nieliczną zebraną publicznością roztoczyć swoją wizję przyszłości.

- Język niemiecki i rosyjska muzyka - powiedział - to nie tylko przyszłość Obwodu Kaliningradzkiego. To także nasza przyszłość tu, na Mazurach.

Gdy parę osób później zwróciło uwagę Ollechowi na niestosowność jego wypowiedzi, on nie zająknął się ni słowem, że przeholował, ale w milczeniu popatrzył zdumiony, jakby nie mógł zrozumieć, że ta jego śliczna wizja przyszłości może wzbudzić jakiegolwiek sprzeciw.

Ukazał się w Olsztynie kolejny numer czasopisma „Borussia” (nr

8/1994), wydawanego przez Wspólnotę Kulturową o tej samej nazwie. Opasły tom, interesujący ze względu na zawartość, a zarazem rodzący potrzebę dyskusji, przynosi w znacznej mierze materiały z sympozjum, które „Borussia” zorganizowała zeszłego roku pod hasłem „Prusy Wschodnie w literackim zwierciadle”. W czasopiśmie zatarto jednoznaczność hasła, dodając do Prus Wschodnich także Warmię i Mazury, Małą Litwę i Kaliningrad.

Ale mimo wszystko po drobiazgach widać, że zrodzona wtedy, kiedy już można, fascynacja byłymi Prusami Wschodnimi zabrała czas potrzebny na pogłębianie wiedzy o powojennej historii Warmii i Mazur. Szczególnie młodzi autorzy, skorzy do ferowania pośpiesznych wyroków, nie bardzo już wiedzą, gdzie roztacza się historyczna Warmia, a gdzie są Mazury. Dlatego zdarza się, że Warmiaka nazwą Mazurem i obciążą nim mazurskie konto. Te subtelności, które kształtowały się pod wpływem wieków, to doprawdy żadna różnica?

Tej modzie na niwelowanie różnic uległ również, jak można wnosić z lektury tomu, utalentowany poeta i redaktor „Borussii” Kazimierz Brakoniecki, który w eseju „Ziemia Obiecana czy Kraina Nod?” w pewnym momencie kreśli taki obraz: „Mazurskiego poetę Edmunda Germana, obdarzonego samodzielnym choć niewielkim talentem, okrzyknięto jednogłośnie mazurskim bardem (...). Skończyło się na tym, że ten protestujący przeciwko wyjazdowi ludności rodzimej poeta sam znalazł się w Niemczech”.

Tymczasem prawda o Edmundo Germanie jest nieco inna. Nikt nie okrzyknął go „mazurskim bardem”. Pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy autor późniejszych tomików „Gorzki pęk rzeczywistości” i „Odgłosy skłóceń” debiutował, wszyscy na ogół wiedzieli, że poeta jest Warmiakem i to urodzonym w sercu Warmii - Gietrzwałdzem. Imał się różnych prac, by utrzymać coraz liczniejszą rodzinę. Przez pewien czas pracował jako grabarz. Gdy się o tym dowiedział jeden z

wybitnych poetów, był zachwycony: „To wspaniałe, do ziemi chce się dokopać!”. Aż dziw bierze, że teraz w Olsztynie, położonym przecież na Warmii, tak szybko zwietrzała pamięć o obiecującym warmińskim poecie.

Co robić na Mazurach wśród skrzętnie uwijających się budowniczych niepamięci? Čwierć wieku temu zmarł w Krutyni Karol Małłek, działacz i pisarz mazurski, nauczyciel i folklorysta. Z pompą pochowano go na cmentarzu w Olsztynie. Od razu jednak o nim zapomniano, podobnie jak o sprawie mazurskiej, o którą - na miarę swoich możliwości i warunków ustrojowych - bardzo się doczytnował.

Od tamtego czasu nikt nie zgrzyta zębami. Zapomnieniu obce są poczucie gorczy i zadumy. Po latach zapomnienia również w tym roku nikt nie przerywa ciszy o działaczu mazurskim i jego pracach. Ktoś tylko, zdziwiony takim obrotem spraw, wspominał poświęcone Małłkowi opowiadanie „Mazurska historia” Igora Newerlego, pomieszczone w tomie „Za Opiwardą, za siódmą rzeką”. W opowiadaniu tym Igor Newerly, wielki przyjaciel zmarłego, zawarł zdania, które warto przytoczyć ze względu na skalę problemu. One miały budzić uśpione sumienia współczesnych:

„W roku 1689 zmarł na Mierzei Fryskiej ostatni człowiek, który znał język pruski. 28 sierpnia 1969 roku zmarł w Krutyni Karol Małłek - ostatni człowiek, który żył sprawą mazurską. Chciałbym, aby te słowa wołały na grobie Karola Małłka. I niech obok zostanie w czarnym granicie wyryte jeszcze coś, bodaj jedno tylko zdanie, ale takie, żeby rodacy odchodzili od tego pomnika nie z podniesionym czołem, lecz z poczuciem gorczy i zadumy, żeby się oglądali raz za razem na ten pomnik, zgrzytając zębami - jak to się mogło stać, do jasnej cholery? Amen.”

Kłobuk

Jan Lipuski

KASZUBI W OJCZYŹNIE

Wystąpieniem „Jak pisać historię Kaszubów” prof. Gerarda Labudy z Poznania, rozpoczęło się 21 września jednodniowe sympozjum zorganizowane z okazji odbywającego się w Gdańsku XV Powszechnego Zjazdu Historyków Polskich. Sympozjum pod nazwą „Gdańsk i Pomorze a Rzeczpospolita - mała i wielka ojczyzna Kaszubów” w dużej mierze poświęcone zostało historii, ale zarówno referenci, jak i dyskutanci mówili także o zagadnieniach językowych oraz przyszłości Kaszubów w Rzeczypospolitej i w całej, zmieniającej się Europie.

Obecny obraz kaszubszczyzny - zdaniem prof. Gerarda Labudy - należy wyprowadzić z korzeni przeszłości. By pokazać jej drogę ewolucji, od prehistorii do dnia dzisiejszego, nie można zajmować się tylko prostym wyjaśnianiem faktów historycznych, lecz należy także pokazać ich uwarunkowania i przyczyny powstawania. Syntezę historii Kaszubów, według profesora, można budować na czterech modelach obejmujących: geografii, sprawy instytucji państwa, ludzi jako komunikatywną wspólnotę oraz kulturę i jej wytwory. Punktem wyjścia syntezy powinny jednak być dzieje wspólnoty etniczno-językowej, czyli należy mówić o historii Kaszubów, a nie kaszubskiej krainy.

Jak powiedział kolejny z referentów, dr Dieter Bingen z Kolonii w Niemczech, dzieje Kaszubów stają się zrozumiałe jedynie na tle ich związków z pomorskimi domami panującymi, stosunku do Niemców i Polaków, a także wzajemnych więzów między Niemcami i Polakami.

Już w dyskusji dr Janusz Kowalski postulował, by tworząc syntezę historii Kaszubów, nie opierać się tylko na źródłach pisanych; do źródeł niepisanych zaliczył m.in. układy szlaków osadniczych. Z kolei Janina Cherek z Muzeum Historyczno-Etnograficznego w Chojnicach podkreśliła, że przyszła historia Kaszubów nie powinna być tylko prezentacją rdzennych członków tej wspólnoty, lecz także ludzi z zewnątrz, którzy przy-

swoili sobie miejscową tradycję i ob-
rzędowość, identyfikują się z kaszub-
szczyzną i jej wartościami.

Dla gdańskiego socjologa prof.
Marka Latoszka ważną sprawą, zwią-
zaną z tworzeniem wspomnianego
przez prof. G. Labudę dzieła, jest wy-
pracowanie metodologii interdyscy-
plinarnej. Już od wielu lat rodzi się
dziedzina nauki, zwana kaszubologią,
lecz chodzi o jeszcze bliższą łączność
między poszczególnymi dziedzinami,
tak jak to już następuje między języ-
koznawstwem a historią czy etnogra-
fią a socjologią. Podobną opinię za-
prezentował Cezary Obracht-Pron-
dzyński, który stwierdził, że powinna
to być wręcz synteza antropologii
kulturowej kaszubskiej wspólnoty.
Wyraził też nadzieję, co spotkało się
z ogólnym aplauzem, że prof. Gerar-
dowi Labudzie uda się skończyć syn-
tezę historii Kaszubów w 1997 roku,
na obchody 1000-lecia Gdańska.

Wystąpienie prof. Hanny Popow-
skiej-Taborskiej z Warszawy, która
zaprezentowała referat „Obrońcy ję-
zyka małej ojczyzny”, stało się okazją
do podsumowania bogatego dorobku
różnych środowisk na rzecz zachowa-
nia kaszubskiego dziedzictwa języko-
wego. Pani profesor mówiła zarówno
o bezpośrednich użytkownikach ka-
szubszczyzny, jak i osobach spoza
kręgu mówiących tym językiem,
którzy przyczynili się do jego trwa-
nia. H. Popowska-Taborska zwróciła
uwagę, że pojawia się coraz więcej
publikacji o dramatycznym oporze
Kaszubów przed germanizacją i, jak
to nazwała, pełnej rozpaczyny świadomości
rdzennej ludności słowiańskiej
o niekorzystnych dla niej procesach
językowych.

Kaszubszczyzna, według opinii pa-
ni profesor, ma najlepszą w świecie
sławistycznym dokumentację leksy-
kograficzną. Wśród tych, którzy przy-
czynili się do wypracowania tak
znaczącej bazy słownikowej i uchro-
nili kaszubski od zaginięcia cennych
archaizmów językowych, znaleźli się
zarówno sami Kaszubi, jak i wielu lu-
dzi z zewnątrz. Na szczególne
wyróżnienie zasługuje jednak Celes-
tyn Mrongowiusz, lektor języka pol-
skiego w gdańskim Gimnazjum Aka-
demickim, kaznodzieja, który już w
1826 roku wyruszył na pierwszą w
dziejach Kaszub wyprawę dialektolo-
giczną.

Wspólnota Kaszubów, mówił w
swoim referacie „Ziemia i naród” dr
Olgiard Sochacki, jest niewątpliwie

grupą kulturową, porównywalną z
każdym narodem. Jest narodem w
pełnym tego słowa znaczeniu, zorga-
nizowanym jednak na zasadzie pro-
downikstwa, a nie tak jak państwo, za
sprawą przymusu, systemu władzy. O
żywołności tej grupy stanowi grono
przodowników, inteligencji. Kaszubi
stworzyli bardzo sprawną grupę ce-
lową - Zrzeszenie Kaszubsko-Pomor-
skie, zwane społecznością zrzeszoną.
To właśnie ta społeczność potrafiła
skutecznie przeciwstawić się dyskry-
minacyjnemu, unifikacyjnemu i likwi-
datorskim poczynaniom totalitarnego
państwa.

Odpowiadając na jedno z zasadni-
czych pytań, czy jest możliwe
współistnienie w polskiej grupie naro-
dowej Kaszubów czy Ślązaków, z
których jedni identyfikują się z pol-
szczyzną, a inni z niemieczyzną,
Olgiard Sochacki wyraził pogląd, że
taki układ może się harmonijnie
spełniać tylko w państwie, w którym
szanuje się demokrację oraz akceptuje
decentralizację i regionalizację. Podob-
ną opinię wyraził Dieter Bingen, który
opowiedział się za akceptacją róż-
norodności etnicznej, różnych kręgów
kulturowych i, jak to nazwał, rozma-
itej jakości samoidentyfikacji. Nie po-
winno się żądać od Kaszubów czy
Ślązaków, by zadeklarowali się jako
Polacy czy Niemcy, lecz należy wy-
magać od nich lojalności wobec
państwa, w którym mieszkają. Nauko-
wiec z Kolonii stwierdził, że znajdujemy
się w początkowej fazie długiego
procesu przyswajania sobie tolerancji
wobec innych, szerszego niż dotych-
czas pojęcia ojczyzny. W podobnym
duchu, podczas dyskusji, wypowiadał
się prof. Gerard Labuda, który przeko-
nywał, że ideologia nacjonalizmu,
która narodziła się w XIX wieku w
tzw. państwach narodowych, powinna
być wyparta przez nacjonizm. Przez
pojęcie to profesor rozumie wszystkie
starsze formy świadomości narodo-
wej, znane już we wczesnym średnio-
wieczu. Za określeniem tym kryje się
aprobata własnej kultury, małej
ojczyzny oraz własnego języka i
państwa, jednak bez nietolerancji i
wrogości wobec innych. Musimy nau-
czyć się żyć w trzystopniowej wspól-
nocie, mówił profesor, czyli zarówno
w małej i wielkiej ojczyźnie, jak też i
ojczyźnie uniwersalnej, jaką będzie
przyszła Europa.

Hubert Pobłocki

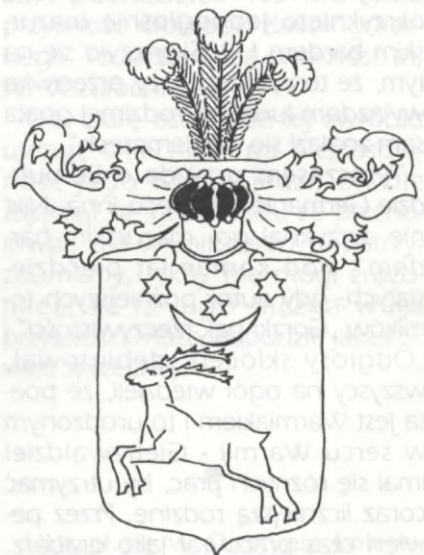
KORZENIE WSPÓŁCZESNOŚCI

Lato jest sprzyjającą porą roku dla
wszelkich spotkań i zjazdów ro-
dzinnych, toteż na przełomie lipca i
sierpnia spotkali się, już po raz trzeci,
wywodzący się z Pobłocia członkowie
rodu Pobłockich.

Gospodarzami spotkania byli tym ra-
zem dr inż. Bernard von Pobłocki z
małżonką Renatą, którzy zaprosili do
Halle nad rzeką Saale w Saksonii-An-
halt imienników z Apoldy, Berlina,
Poczdamu, Jeny, Monachium, Mün-
ster, Lengerich, Osmabrück, Wesel i
Gdańska. Z powodu choroby zabrakło
rodziny Romana i Kazimierzy Pobłoc-
kich z Wejherowa, spadkobierców pie-
częci rodowej.

A wszystko zaczęło się w połowie lat
80., kiedy to podczas tournée koncerto-
wego znakomitej polskiej pianistki,
absolwentki gdańskich uczelni mu-
zycznych - Ewy Pobłockiej - po jej
koncertach, szeroko reklamowanych
olbrzymimi afiszami w całej RFN, do
garderoby pianistki, z naręczami
kwiatów, zachwyceni jej grą, zaczęli
się schodzić jej imiennicy - Pobłocky.

Kierowała nimi chęć poznania pia-
nistki pochodzącej z Gdańska. Rozmo-
wy toczyły się wokół starej ojczyzny,
tęsknoty do języka i pieśni ludowej,
której dźwięki odnajdywali w wykona-
nych przed chwilą przez artystkę utwo-
rach fortepianowych kompozytorów
polskich.



HERB POBŁOCKICH-BACH

Po okresie korespondencji pierwsze spotkanie zorganizowali Hubert i Zofia Pobłoccy, którzy w roku 1989 zaprosili do „Hubertówki” w Wieżycy, niekoniecznie krewnych, ale piszących się, i to bardzo różnie, imienników z ówczesnej NRD, RFN i Polski. Plonem tego spotkania było poszerzenie kręgu wywodzących się z Kaszub Pobłockich.

Dwa lata później, już w o wiele większym gronie i z większym rozmachem, odbyło się drugie spotkanie, tym razem w Münster, na które zaprosili nas dr inż. Fritz von Poblotzki z małżonką Annemarie, oboje zakochani w ziemi kaszubskiej, jej folklorze, krajobrazie, tradycji.

Warto przypomnieć, że w XIX wieku w ich mieście - Münster - studiowali teologię dwaj synowie nauczyciela wiejskiego z Kaszub, przyszli księża: Juliusz i Gustaw von Poblotzki. Gustaw był autorem słownika kaszubskiego, wydanego w roku 1887. W bieżącym roku mija 10. rocznica odsłonięcia tablicy pamiątkowej w miejscu urodzenia - Linii - czterech braci księży: Juliusza, Gustawa, Wojciecha i Leona Pobłockich, wywodzących się z tej zacnej, katolickiej rodziny kaszubskiej.

Szczególne związki z miastem Münster łączyły również wieloletnią jego mieszkankę, córkę walecznego majora wojsk pruskich, Fryderyka Wilhelma von Poblotzki, poległego pod Damme w roku 1813 w walce z wojskami Napoleona.

Do chwili obecnej na Pomorzu istnieją trzy miejscowości o nazwie Pobłocie: pod Wejherowem, Lęborkiem i Słupskiem. Po raz pierwszy nazwisko Pobłoccy pojawia się w roku

1570 i dotyczy osiadłego w Pobłociu. W innym dokumencie S. Kętrzyński („Listy podatników”, Toruń 1901 r.) wymienia zamieszkałego w Pobłociu Pobłockiego-Dilk. Ta dwuczłonowość nazwiska będzie się wielokrotnie w przestrzeni wieków przewijać.

Herbarz polski Kaspara Niesieckiego wydany w Lipsku w 1841 roku w t. VII odnotowuje: „Pobłocki herbu Jeleń, nad głową jego księżyc być powinien niepełny i trzy gwiazdy tym kształtem, że jedna gwiazda ma być przy jednym rogu księżyca, druga przy drugim, trzecia w środku księżyca. Na hełmie trzy pióra strusie. Są ci Pobłoccy w mirachowskim powiecie, trzy mile od Lemburgu. Leży jeden Pobłocki w Malborku, gdzie chorągiew wisiła nad nim”

W programie trzeciego zjazdu w Halle były imprezy o charakterze czysto rodzinnych spotkań. Snuto wspomnienia o początkach i przyczynach opuszczenia gniazd rodzinnych przez pradziadków i dziadków uczestników spotkania. W większości przypadków była to emigracja zarobkowa, choć czasem wynikała też ze świadomego wyboru przynależności do narodu niemieckiego.

Wśród uczestników zjazdu były osoby, które cytowały fragmenty zapamiętanych i wypowiedzianych z pietyzmem wierszy, pieśni i modlitw w językach polskim i kaszubskim. Niektórzy prosili o nuty i teksty pieśni zasłyszanych w dzieciństwie.

Program obejmował również wycieczki do Merseburga, zwiedzanie katedry, wypad do Neuenburga, uczestnictwo w niedzielnej mszy św. Zwiedzanie starówki w Halle - mieście szczytującym się swymi synami: G. F.

Händlem, najwybitniejszym, obok J. S. Bacha, kompozytorem epoki niemieckiego baroku oraz Hansem Dietrichem Genscherem, wieloletnim ministrem spraw zagranicznych RFN, ojcem zjednoczenia Niemiec.

Mocnym akcentem było wygłoszenie przez dr. inż. Fritza von Poblotzki referatu, będącego fragmentem przygotowywanej pracy doktorskiej, p.t. „Początki rodu Pobłockich”. Autor, m.in. lektor kościoła pod wezwaniem św. Maksymiliana Kolbe w Münster, przez godzinę szczegółowo omawiał herby rodowe, których jest ponad 20 wersji, pieczęcie i rodowód nazwiska i miejscowości Pobłocie

Zasadniczo różnią się od ubiegłowiecznych współcześnie wykonywane przez członków rodu zawody. Obok inteligencji technicznej, np. dr. inż. Jürgena von Poblotzki (nawiasem mówiąc, rozbudowuje on niemiecką fabrykę „Gestra-Polonia”, produkującą urządzenia hydrauliki przemysłowej w Gdańsku), jest wielu artystów jak prof. Zofia Janukowicz-Pobłocka, wybitna śpiewaczka i pedagog. Przed laty wprowadziła ona na estrady koncertowe w kraju i za granicą kaszubską pieśń artystyczną m.in. do tekstów A. Nagla i muzyki H. Jabłońskiego i A. Żurbina. Od 10 lat kieruje Katedrą Wokalistyki Akademii Muzycznej w Gdańsku. Jak Ewa Pobłocka, znakomita pianistka, najlepsza Polka X Międzynarodowego Konkursu Pianistycznego im. F. Chopina w Warszawie w roku 1980. Przez 4 lata była stypendystką miasta Hamburga, gdzie studiowała w klasie prof. Konrada Hansena. Jak Dietlind von Poblotzki, pierwsza skrzypaczka orkiestry operowej w Halle i członkini zespołu muzycznego „Consort Halle”, laureatka tegorocznej nagrody im. G. F. Händla, czy Sebastian Gette von Poblotzki, oboista tegoż zespołu.

Zjazd zakończył się wspaniałym akordem polskim, którym było wysłuchanie koncertu w wykonaniu Zespołu Instrumentów Dętych Polskiej Orkiestry Kameralnej założonej w roku 1980 przez Wojciecha Rajskego w Gdańsku. Rangę wydarzenia podkreślała wyjątkowa sceneria i akustyka podwórca domu rodzinnego wielkiego G. F. Händla, gdzie koncert miał miejsce.

W dniu zakończenia zjazdu, gdy dotarły do nas z Warszawy słowa prezydenta demokratycznych Niemiec, proszącego Polskę o wybaczenie, poczuliśmy się, mimo różnej pisowni nazwiska i dzielących nas granic, jeszcze bardziej niż dotąd, jedną wielką rodziną. ■



I ZIAZD POBŁOCKICH, 1989 r.

W KOCIEWSKIEJ ITACE

Jest to na pewno jeden z najliczniejszych i najbardziej prężnych rodów pomorskich, który swoimi odgałęzieniami już dawno wyszedł poza najbliższy krąg kaszubski. Tu, na Kaszubach jest najwięcej pamiątek po Borzyszkowskich z minionych stuleci. Tu rozsiedli się oni najgęściej. Nie dziw więc, że z innych ziem i z dalszych krain, gdzie los rzucił Borzyszków, tłumnie podążają na coroczne uroczyste zjazdy do swojej małej Itaki.

Tak było i tym razem. Do Pelplina i Nowej Cerkwi przybyło w dniu 25 czerwca potężne karno gości, liczące około 200 osób. Po trudach podróży w prażącym czerwcowym słońcu (większość przyjechała samochodami) można było delectować się miłym chłodem we wnętrzu pelplińskiego Wyższego Seminarium Duchownego. W letnim refektarzu, olśniewającym pięknem gotyckiej rozety, czekał na gości rektor Seminarium Duchownego, ks. Wiesław Mering, który pokrótce przedstawił historię pelplińskiej uczelni. Słuchano księdza rektora z zainteresowaniem. Przecież w dzieje tej uczelni wpisane są biografie wielu pomorskich rodzin i rodów, także Borzyszkowskich. Żywym potwierdzeniem tej konstatacji była obecność wśród zjazdowych gości kilku duchownych z tego zasłużonego rodu. W refektarzu prym wiódł ks. Bogusław Borzyszkowski, przełożony Zgromadzenia Księżów Zmartwychwstańców w Gdańsku-Wrzeszczu. Pieśń „Ave Maria” w jego wykonaniu zrobiła duże wrażenie na słuchaczach. A aplauzem przyjęto także dalsze solowe popisy ks. Borzyszkowskiego, który sięgnął do repertuaru maestra Jana Trepczyka. Wtórowali gdańskiemu duchownemu księży ze Szczecina. Odśpiewaniem „Tam, gdzie Wisła...” zakończyło się spotkanie w refektarzu. Po zwiedzeniu katedry i Muzeum Diecezjalnego prawie wszyscy, oprócz najbardziej leciwych przedstawicieli rodu, udali się na pelpliński cmentarz, by odwiedzić groby ks. biskupa Konstantego Dominika, ks. Bernarda Sychty i ks. Janusza Pasierba. Pelpliński cmentarz różni się nieco od

dobrze nam znanych na Pomorzu miejsc wiecznego spoczynku pewną archaicznością i ciemną tonacją postumentów i figuralnych wyobrażeń. W sztuce sepulkralnej przeważają rozwiązania bardziej tradycyjne, choć i tu widoczna jest tendencja, by kamień, marmur, zastępować banalnym lastrikiem. Dłuższą chwilę zatrzymujemy się przy grobach ks. Bernarda Sychty i ks. Janusza Pasierba. Kamienną płytę autora słownika gwar kaszubskich i świeżą mogiłę ks. Pasierba ożywiają wiązanki kwiatów. Twórcze dokonania obu tych wyjątkowych postaci, wzbogaciły znacząco naszą kulturę. Kwiaty złożono także na grobie pierwszego po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku wojewody pomorskiego, Stefana Łaszewskiego. Kamienny rycerz przy nagrobku ma zapewne symbolizować związek wojewody z ideałami i dążeniami niepodległościowymi. Jest on rodzajem hołdu złożonego człowiekowi, który rozumiał patriotyzm jako racjonalne podporządkowanie się interesowi narodowemu. Nieco dalej na lekkim wzniesieniu rozpościera ramiona potężny, wykonany z cementowych bloków krzyż, nadwreżony trochę przez działanie pleśni i wilgoci. Poniżej inskrypcja: „Kapłanom Męczennikom 1939-1945”. Od razu przypomina się „Pelplińska Jesień” i martyrologia księży, którzy padli ofiarą hitlerowskiego barbarzyństwa. Dłużej zatrzymujemy się przy grobie ks. prof. Franciszka Sawickiego, wybitnego filozofa i teologa. Odwiedziny każdego cmentarza wywołują nastrój powagi i żalu, iż najbliższych nie ma wśród nas. Na pelplińskim cmentarzu ów żal potęguje się jeszcze bardziej. Otóż większość grobów wygląda wprost sieroco, zwłaszcza tych starszych i najstarszych. Jakby żywym trudno było zdobyć się na odruch troskliwości i otoczyć opieką groby zmarłych, którzy swego czasu tyle serca włożyli w pracę dla swego miasta, dla pelplińskiego seminarium, dla Pomorza.

W południe, gdy kanikuła najostrejsze dawała się we znaki, kawalkada samochodów z gośćmi wyruszyła z Pelplina do Nowej Cerkwi. Podwoje miejscowej szkoły podstawowej, która usadowiła się na wzgórku za wioską, były dla całej gromady szeroko otwarte. Tradycyjnej grochówki z wkładką (do tego pajda chleba), starczyło dla wszystkich. Zgodnie z wcześniej ustalonym porządkiem, zakończenie kociewskiej peregrynacji

rodziny Borzyszkowskich nastąpiło w plebańskim Tuscum ks. proboszcza Stanisława Borzyszkowskiego. Pod owocowymi drzewami księżowskiego ogrodu strudzeni uczestnicy zjazdu zażywali chłodu, pokrzepiali się kawą i orzeźwiali zimnymi napojami. Jak każda familia pomorska, tak i Borzyszkowscy związani są z tym, co przerasta sferę codzienności, z rzeczywistością wiary. Toteż nie mogło zabraknąć uroczystej mszy św. w intencji rodzin z parafii Nowa Cerkiew oraz Borzyszków. Podczas mszy św., koncelebrowanej przez księży z rodu Borzyszkowskich pod przewodnictwem ks. infułata Jerzego Buxakowskiego, homilię wygłosił ks. rektor Wiesław Mering. Ksiądz rektor zachęcał m.in. do wspólnotowego przeżywania wartości duchowych, które czynią życie człowieka godniejszym.

„Ci, którzy pozostają we wzajemnej izolacji, martwieją, obojętnieją na wiele spraw wykraczających poza prywatne podwórko”. Taka sentencja znalazła się w krótkiej, okolicznościowej oracji, wygłoszonej przez Józefa Borzyszkowskiego w nowocerkiewskiej świątyni. Chodzi o to, że tradycje żywej łączności i wzajemnej pomocy, mocno ugruntowane w życiu codziennym dawnych pomorskich rodzin, i dzisiaj są źródłem duchowej siły i radości. Ważne jest i to, że w porządku budowanym przez współczesną cywilizację inspiracje religijne, chrześcijańskie, głęboko odciskają się na naszej historii. Także na tej najnowszej.

Dziękując duchownym za udział w mszy św., a wspólnocie rodzin Borzyszków za uczestnictwo w spotkaniu, Józef Borzyszkowski wyraził przekonanie, że umocni się także symboliczna więź, łącząca społeczność Nowej Cerkwi z tym wszystkim, co stanowi o tożsamości kulturowej Kociewia i Kaszub. Znakiem, który towarzyszy nam od zarania historii, jest krzyż. Duży, drewniany krzyż, wzniesiony obok kościoła, ozdobiony przez rzeźbiarza, Franciszka Sychowskiego z Wejherowa, poświęcono w intencji żywotności tych tradycji, które rodzinę pomorską określały w przeszłości, i dziś powinny ją określać. Później towarzystwo rozsiało się pod jabłoniami, pokrzepiając się kawą i słodkościami. Do późnych godzin wieczornych trwały sobótki wiejskie, przygotowane przez szkołę podstawową i Ochotniczą Straż Pożarną w ogrodzie ks. proboszcza Stanisława

Borzyszkowskiego. Nie zabrakło „przerywnika” artystycznego w postaci popisów zespołu folklorystycznego „Gochy” z Lipnicy.

To chwilowe zakotwiczenie w wielkiej rodzinie pozwoliło na bliższe poznanie się różnych pokoleń rodziny Borzyszkowskich i nasycenie się ciepłem jednego z mateczników pomorskich. Ta potrzeba bliższego kontaktu ze swoimi, z wiejskim otoczeniem, zanurzenia się w rodzinną atmosferę, staje się coraz powszechniejsza w dzisiejszym świecie, wykorzeniającym z własnego, rodzinnego podglebia. ■

Janusz Kowalski

„PŁĘNĄ NASZIŃCĘ”

Powtarzanie co cztery lata prawie dokładnie tras naszych Spływów Kajakowych „Śladami Remusa” spowodowało, że staliśmy się znani, swoi. „Nasi płyną”, „płeną nasińcę” - słyszało się podczas tegorocznego spływu.

Zaczęliśmy 15 VII w Skwierawach Widnie. Na łące sołtysa Zygmunta Kiedrowicza, z piątku na sobotę pierwszy biwak.

Otwarcie spływu było tym razem skromne. Nie zaprosiliśmy ani władz wojewódzkich, ani samorządowych, ani pobliskich oddziałów Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego. Postąpiliśmy tak, bo to są *barabónë, stronë zapadłë*.

Skwierawy, zawsze związane z Lipuszem, należą jednak, od 1973 roku, nie do gminy Lipusz, a do Studzienic, w województwie śląskim.

Wieś była w gminie Lipusz do 1954 roku, później, aż do 1972, w gromadzie Lipusz. Gdy przywracano gminy, uznano, że Lipusz nie jest godzien tego zaszczytu, a że ze Skwieraw do Dziemian, stolicy sztucznej gminy Dziemiany-Lipusz, było daleko, więc Skwierawy podporządkowano bliższemu Studzienicom. Gdy w 1984 roku Lipusz znowu stał się stolicą gminy, zapomniano o Skwierawach. Zostały w gminie Studzienice, chociaż bliżej im do Lipusza.

- Mamy bez zbytniej potrzeby (choć też się czasem przydaje) dobrą drogę do Studzienic - powiedział pe-

wien mieszkaniec Skwieraw - a piaski i wyboje do Lipusza. Autobusy PKS jeżdżą do Bytowa, gdzie o pracę bardzo trudno, a nie w stronę naszego miasta - Kościerzyny. Doszło nawet do tego, że chciano nas przenieść do parafii w Nakli, ale powiedzieliśmy, że tam do kościoła jeździć nie będziemy, więc zostało jak jest.

Gdy się dowiedział, że kapelanem spływu jest Kaszëba, ks. Roman Skwiercz, to nieśmiało spytał, czy by ksiądz nie odprawił połowej mszy świętej, głównie dla starków - argumentował. Niestety, nie było tej mszy w planie spływu. Może za cztery lata...

Duży, gminny Lipusz przyjął nas, jak zawsze serdecznie. W dolnej części wsi, jest - utrzymywane przez Urząd Gminy - zadbane, schludne pole namiotowe, najtańsze w okolicy. W obawie, że na nim nie będzie miejsca dla naszego spływu, postaraliśmy się (przy poparciu wójta gminy Tadeusza Dziemińskiego i za zgodą dyrektora szkoły Jana Simona - serdeczne dzięki) o biwakowanie przy szkolnej sali gimnastycznej. To był dobry pomysł. Teren ogrodzony, zadrzewiony, wystarczająco duży dla namiotów i dla zebrania się przy sobotnim ognisku. Przybyli na nie liczni mieszkańcy Lipusza, a także okolicznych wsi.

Felicja Baska-Borzyszkowska, długoletnia, wielce zasłużona prezes lipuskiego oddziału ZKP, powitała zebranych i przedstawiła historię oraz bieżące prace lepuszczęch dręchów, a Edmund Szczesiak, wicekomandor spływu, powiedział parę słów o idei spływu i jego głównych organizatorach. Ognisko prowadził Edmund Lewańczyk z Żukowa. Na program złożyły się przyśpiewki, gadki młodych mieszkank Lipusza, występ orkiestry dętej z Dziemian i Lipusza pod batutą Leona Sprawki oraz pieczenie kielbas - podarunku lipuskiego Zrzeszenia, także czytanie przez ks. Romana fragmentów powieści Aleksandra Majkowskiego „Żęcé i przigodë Remusa”



PROJEKT: JANUSZ KOWALSKI

(„Remus” towarzyszył nam przez cały spływ).

W niedzielę koncelebrowaną mszę świętą odprawił ks. kanonik Stanisław Mokwa (lipuski pleban) oraz ks. Władysław Szulist (emeryt, rezydujący w Lipuszu) i nasz ks. Roman (wikary na Oksywiu). Śpiewał chór parafialny, którym kieruje lipuski organista, Leszek Borowicz. Darem ofiarnym uczestników spływu był kunsztownie zdobiony lichtarz.

Po smacznym obiedzie w restauracji „Borowik”, spotkanie wspomnieniowe. Wiceprezes ZG ZKP Józef Borzyszkowski pochwalił, co miło było nam słuchać, organizację spływu oraz gościnność lipuszan, tak wspaniale spływ przyjmujących i przyznał się, że zadróści nam gromadnej przygody. Inni wspominali I spływ, 9 lat temu rozpoczęty w nieodległym Jabłuszk. Oddział Lipuski uraczył nas kuchem i kawą, a dzieci śpiewem i wierszykami. Wieczorem potańczyliśmy. Do tańca w Gminnym Domu Kultury przygrywał czteroosobowy zespół muzyczny „Remus” (kier. Jarosław Dziemiński). Nie zabrakło także konkursów, przygotowanych przez lipuszan i uczestników spływu.

W poniedziałek popłynęliśmy Wdą na jezioro Schodno. Namioty rozstawiliśmy na terenie Edmunda Kobusa. Wieczorem przy ognisku: czytanie „Remusa”, gadki Szredrów Bena (B. Hinza) i pozdrowienia z miasta, które przywiózł Szczepan Lewna, członek ZG ZKP.

We wtorek płynęliśmy (krótko) jeziorem Schodno, Wdą, jeziorami Słupinko i Wdzydze (toniami *Radolnijô, Krziż i Lelekovnjica*-Gołun), do Wdzydz Kiszewskich. Tutaj, w Kaszubskim Parku Etnograficznym, biwakowaliśmy dwa dni. Pierwszego dnia, po kaszubskiej mszy świętej w kościełku św. Barbary - obiekcie KPE, spotkanie z redakcją „Pomeranii” (red. nac. Stanisław Pestka, sekr. red. Krysztyna Puzdrowska i grafik Arkadiusz Staniszewski), która przybyła z podarunkami - znakomitą mlekiem z Ecofarmy Kaszubskiej w Małkowie oraz bochnami wiejskiego chleba. Niespodzianką redakcji były czapeczki-daszki, worki na śmieci i soki z restauracji Mac Donald's, mieszczące się na terenie dworca PKP w Gdańsku, które przywieźli panowie Armin Junitz oraz Jacek Stradomski. Ten dzień zakończył się ogniskiem przygotowanym przez Oddział Kościerski ZKP z udziałem gości spływu z rodzinami (Marek Byczkowski z Wieżycy, Hubert Lewna z Łączyńskiej Huty, Stanisław Lewna z

Lipusza i Jan Machut, honorowy prezes Kościerskiego Oddziału).

W środę przed południem zwiedzaliśmy skansen, po którym znakomicie oprowadzali Ryszard Landowski i Tadeusz Sadowski. Po smacznym obiedzie w pensjonacie „Helena”, chwila odpoczynku, by nabrać sił na wieczorne spotkanie z „Wieczorem Wybrzeża”, szczerze wspierającym spływ (m.in. wydawnictwa spływowe, czapeczki i koszulki reklamujące „WW”). Redakcja, pod wodzą naczelnego, a jednocześnie naszego wicekomandora, Edmunda Szczesiaka, przywozła piwo „EB”, napoje „Nata” i „Saturn” oraz wyroby wrzeszczańskiego „Cristalu”. Przy ognisku przygrywała kapela kaszubska (kier. E. Lewańczyk), popisywano się w konkursach znajomością literatury kaszubskiej, a także licytowano rozmaite gadżety. Dochód z aukcji, 3 597 100 zł, zasilił kasę skansenu. (KPE umożliwił biwakowanie bezpłatnie; serdeczne dzięki pani dyrektor Teresie Lass).

W czwartek płynęliśmy Jeziorem Wdzydze i Wielkim Kanałem Wdy. Biwak w Baku. W piątek mieliśmy płynąć dalej Wielkim Kanałem i Studzienicką Strugą. Smród z pól filtracji ścieków z Zakładów Płyt Pilśniowych w Czarnej Wodzie i brudna rzeka skłoniły nas do zmiany trasy. Popłynęliśmy więc jeszcze kawałek Wielkim Kanałem, przenieśliśmy kajaki na Wdę, i nią popłynęliśmy na Jezioro Wieckie. Biwak pomógł nam znaleźć leśniczcy.

W sobotę, znów Wdą do Czarnej Wody. Biwakowaliśmy na znakomicie

urządzonym, na wysokim lewym brzegu rzeki, w rzadkim lesie, polu namiotowym. Tutaj przyjęły nas serdecznie, tradycyjną grochówką z wkładką, władze miasta, z burmistrzem Andrzejem Grzybem.

W niedzielę, 24 VII rozjeżdżaliśmy się do domów.

Ankieta pospływowa dotyczyła głównie organizacji i programu. Spływowicze ocenili żółto-czarną kompozycję medalionu pamiątkowego jako smutną, prawie wszyscy przeczytali informator-przewodnik spływowy i wysłali średnio po cztery specjalne pocztówki-pozdrowienia ze spływu, a z imprez najwyżej ocenili te w Lipuszu i symboliczne ognisko (las tuż tuż) w Wiecku, które prowadził Lech Lutog-niewski z Bydgoszczy. A spośród kierownictwa spływu wyróżnili Eugeniusza Gutfrąskiego, Edmunda Szczesiaka, Marka Chomickiego (akordeon) oraz Zbigniewa Wójcickiego i Alberta Romańczuka, kwatermistrza.

Głównych organizatorów spływu: Redakcję miesięcznika „Pomerania”, Klub Turystyczny ZKP „Wanożnik” i Klub Kajakowy PTTK „Wodniak” przy Gdańskiej Stoczni Remontowej, wspierały w tym roku oddziały ZKP w Lipuszu i Kościerzynie, ponadto instytucje współpracujące: Redakcja „Wieczoru Wybrzeża”, Zakłady Porcelany Stołowej „Lubiana” SA w Lubianie i Firma Usługowo-Handlowa „Mensa Academica” w Gdańsku. ■

W Spływach Kajakowych „Śladami Remusa” bierze udział około 100 - 150 uczestników. Podobnie było w tym roku. Przygotowanie trasy, biwaków, ognisk, transportu, prowadzenie spływu angażuje wiele osób (około 30). Im wszystkim serdecznie dziękujemy, bez ich pracy nasze spływy nie byłyby tak udane. Tu wymieniamy tylko głównych organizatorów: **kierującego przygotowaniem Janusza Kowalskiego, komandora Eugeniusza Gutfrąskiego oraz wicekomandorów: Józefa Weltrowskiego, Edmunda Szczesiaka i Zbigniewa Wójcickiego.**

Redakcja

DARY

Na „Pomeranię”:

Stanisław Karczewski z Niemcza - 38 tys. zł; Jan Wołoszyk - 456 tys. zł; ZKP Gdynia - 1mln zł; ks. Jan Perszon z Lublina - 300 tys. zł; Renata Furer ze Szwajcarii - 1 mln zł; Irena i Zygmunt Orzeł z Władysławowa - 150 tys. zł; ks. Jan Szlagowski z Przywidza - 100 tys. zł; ks. Jan Kullas i ZKP Lubichowo - 1mln zł; Cyryl Seredyński z Warszawy - 50 tys. zł; Jerzy Barthelke z Gdyni - 38 tys. zł; Leon Stoltmann z Niemiec - 200 DM.

Na Dom Kaszubski:

Irena i Zygmunt Orzeł z Władysławowa - 150 tys. zł; dr Michał von Grabowski z RFN - 3 296 tys. zł.

Na propagowanie języka kaszubskiego:

Gertruda Harsch z Niemiec - 1000 DM.

Zrezygnowali z honorarium autorskiego:

Jerzy Dąbrowa ze Słupska, Tomasz Wicherkiewicz z Poznania, Kazimierz Brakoniecki z Olsztyna, ks. Władysław Szulist z Gdańska, Stanisław Cygiert z Pucka, Józef Lanc z Rumi, o. Gaudenty Kustusz z Poznania, Wacław Odyniec z Gdańska, Edmund Kamiński z Wejherowa, ks. Jan Perszon z Lublina, Marian Fryda z Człuchowa, Stanisław Klimowicz z Chmielna, Tamara Sochacka-Kirchner z USA, Leon Stoltmann z Niemiec, na łączną kwotę 4 950 tys. zł.

Wszystkim Darczyńcom serdecznie dziękujemy.



CZASAMI TRZEBA KAJAK PRZENIEŚĆ. PO „PRZENOSCE” W PAPIERNI

JÓZEF WELTROWSKI

listy

Odkryłem Kaszuby na nowo

Dopiero teraz, miesiąc po spotkaniu na II Sympozjum Polonii Pomorskiej, mam trochę czasu, żeby uporządkować wrażenia, jakie stamtąd wyniosłem.

Przede wszystkim chciałbym podzielić się z Wami radością jaka mnie ogarnia na wspomnienie tego tak bogatego tygodnia, który dzięki Waszym staraniom miałem okazję z innymi uczestnikami Sympozjum spędzić. Tym bardziej jest to powód do podziękowania, wiadomo przecież, że w dzisiejszej Polsce też coraz bardziej kładzie się nacisk na oszczędność i gospodarność. Taką gościnność, jaką nas uraczyliście, można chyba spotkać tylko w Polsce.

Mimo że odwiedzam Kaszuby kilka razy w roku, to dopiero teraz miałem możliwość odkryć Kaszuby na nowo, a może trafniej byłoby określić - głębiej. Jest tu tyle rzeczy, które warto zobaczyć, poznać, zastanowić się. Niezmiernie cieszy, że Kaszuby rozwijają się, że na każdym kroku widać przemiany, jakie zachodzą na Pomorzu. Widać to szczególnie na przykładzie takich gmin, jak Chmielno czy Sierakowice. Właśnie w rozwijaniu naturalnie przypisanych przez tradycję i geografę cech tych gmin można widzieć przyszłe sukcesy w ich rozwoju, jak i całego regionu.

Z wielkim zainteresowaniem obejrzelśmy Eko-Farmę w Małkowie. Jest to dobry przykład, jak można na złych ziemiach kaszubskich czerpać profity z rolnictwa. Naturalnie nie można tracić z oczu wielu problemów, które czekają jeszcze na rozwiązanie, jak bezrobocie czy restrukturyzacja rolnictwa. No, ale początek jest zrobiony.

Na każdym kroku można było zauważyć organiczną, wieloletnią, żmudną pracę Zrzeszenia. Teraz, gdy społeczeństwo może znowu

decydować o swoich losach, widać dokonania Zrzeszenia (...)

Miejmy nadzieję, że prace nad rozszerzeniem samorządu będą się dalej rozwijać i działalność Zrzeszenia jako politycznie neutralnej, samorządnej organizacji przyniesie nowe owoce. Równie ciekawe spostrzeżenia nasuwają się w tematyce kulturalnej. Szeroki rozwój prasy lokalnej, wydawnictw, biuletynów, na pewno będzie umacniał wśród Pomorzan i Kaszubów związki z regionem. Niezmiernie ważnym elementem kultury są, tak licznie powstałe w ostatnich czasach, zespoły muzyczno-taneczne. Można by długo dyskutować nad jakością folkloru i kultury przedstawianą przez te zespoły, ale spełniają one podstawową rolę w utożsamianiu się ludności z regionem.

Myślę, że to wszystko, co widzieliśmy i przeżyliśmy umocni w nas obraz Kaszub i Pomorza jako regionu, który zajmie należną mu pozycję w kraju.

Poprzez Sympozjum związałem się bardziej z Pomorzem kaszubskim, co pomoże mi moje wrażenia, jak i obraz Kaszub przekazać środowisku nie tylko Pomorzan, ale również Niemcom. Szczególnie cieszy fakt, że obraz Polski w świadomości Niemców w ostatnim czasie uległ radykalnej zmianie. Myślę, że poprzez nakreślenie rzetelnego obrazu Polski można dużo dobrego zdziałać. Najlepiej świadczy o tym oddźwięk, jaki przyniosły „Dni Polski” w Hamburgu w 1993 roku. Ci, którzy zobaczyli tę wystawę z zainteresowaniem wypytывali o możliwość bliższego poznania Polski. Jest to najlepszym dowodem na to, jak warto propagować i jak wymierne efekty przynoszą akcje promocyjne. Każda osoba, którą udało się przekonać do Polski, czy to do odwiedzin turystycznych, czy tylko do pozytywnego odbioru Polski, cieszy i daje nadzieję, że osób tych będzie coraz więcej. Przełamywanie wzajemnych uprzedzeń i barier, dzielących sąsiednie narody, należy do jednych z najważniejszych zadań w nadchodzącej zjednoczonej Europie.

Zygfryd F. Czonstke
Hamburg

Wspaniałe przedsięwzięcie

Pragnę przekazać wyrazy wielkiego uznania za zorganizowanie II Sympozjum dla Polonii Pomorskiej w Wieżycy, w dniach 1-7 sierpnia 1994 roku, w którym uczestniczyłam z ogromną przyjemnością. Program tego sympozjum został wspaniale opracowany, był bardzo interesujący i przyniósł dużo wiedzy o sprawach Kaszub i Pomorza.

Jestem osobiście związana z tą częścią Polski, ponieważ pochodzę z Wejherowa, gdzie ukończyłam gimnazjum, a ojciec mój był związany z morzem, jako kapitan żeglugi wielkiej. Będąc poprzednio w Kraju w 1992 roku na zjazdach: Światowego Zjednoczenia Polek, Polaków z Zagranicy i Polonii Światowej w Krakowie, brałam również udział w Zjeździe Absolwentek Gimnazjum w Wejherowie. Tam, na zaproszenie miejscowego społeczeństwa, wygłosiłam prelekcję o działalności Światowego Zjednoczenia Polek w Australii i Nowej Zelandii, któremu przewodniczę przez 30 lat. (...)

Jeszcze raz składam podziękowanie i gratulacje Organizatorom tego wspaniałego przedsięwzięcia, na którym byli obecni działacze pomorscy z całego świata: z Ameryki, Kanady, Anglii, Holandii, Niemiec, Szwecji, Austrii oraz z dalekiej Australii w mojej osobie. Wszystko grało nadzwyczajnie, cały obszerny program był wykonany zawsze w czasie i pięknie. Celem Sympozjum była łączność Pomorzan, rozsiianych w różnych krajach, z Ojczyzną, propagowanie kultury kaszubskiej, zresztą bardzo pięknej i wspaniałego dorobku Pomorza. Zadanie było ważne i szlachetne.

Cześć Polonii Pomorskiej, że tak umie zorganizować się i urządzić takie wspaniałe sympozjum.

Będę uważała za swój miły obowiązek zebrać grupę Pomorzan - Kaszubów z naszego terenu, zapoznać ich z działalnością Zrzeszenia, z prasą pomorską i z programem Sympozjum oraz zachęcić do kontaktów z Zrzeszeniem Kaszubsko-Pomorskim w Polsce.

Łączę serdeczne pozdrowienia i pozostaję z poważaniem

Inż. Maria Wachowska-Krupska

prezes Zjednoczenia Polek w Australii i Nowej Zelandii

Podzielię się wrażeniami

Dzięki ogromnemu wysiłkowi włożonemu przez Zrzeszenie w zorganizowanie Sympozjum, miałam możliwość zobaczenia przepięknych zakątków ziemi kaszubskiej oraz zapoznania się z działalnością jej przedstawicieli: sukcesami i problemami, które są nieodłączną częścią wszelkich poczyną. Bardzo atrakcyjne były również występy zespołów folklorystycznych, towarzyszące wspólnym spotkaniom na świeżym powietrzu, w otoczeniu malowniczych krajobrazów, które dodały niezapomnianego uroku naszemu Sympozjum. (...)

Po wakacyjnej przerwie zbliża się okres ponownych spotkań organizacji polonijnych w Ontario. Z wielką przyjemnością będę miała możliwość podzielenia się swoimi wrażeniami, obserwacjami i wnioskami z naszego Sympozjum.

Josephina I. Wiśniewska
Brampton, Canada

Jeszcze raz Osowa

W „Pomeranii” (nr 7-8/94) ukazał się tekst E. Gołąbka „Moja Osowa”. Zakradło się tam kilka błędów.

Autor twierdził, że Karczemki pod Chwaszczynem były kiedyś enklawą niemiecką. Ja wiem na pewno, że przed drugą wojną światową i podczas wojny w Karczemkach mieszkała tylko jedna rodzina niemiecka - Weissów. Resztę stanowili Kaszubi.

Dalej E. Gołąbk twierdzi, że do budowy hali sportowej w Osowej zużyto cegłę z rozebranego kościoła ewangelickiego w Karczemkach, co też nie jest prawdą. Wspomniany kościół rozebrano już w 1945 roku i z tej cegły zbudowano szkołę w Koleczkowie. Halę sportową w Osowej zbudowano dopiero w 1952 roku.

E. Gołąbk z sympatią wspomina rodzinę Lossowskich. Ja natomiast mam jak najgorsze wspomnienia o Aleksandrze Lossowskim. Podczas działań wojennych w 1945 roku pan Lossowski znalazł się w Kielnie. W mojej obecności wskazywał oficerom NKWD, kogo mają aresztować.

Alojzy Nagel

recenzje

JEGO „GDAŃSKA WIDZENIE”

Jerzy Samp. Bedeker Gdański.
Wydawnictwo Oskar, Gdańsk 1994.

Tadeusz Linkner

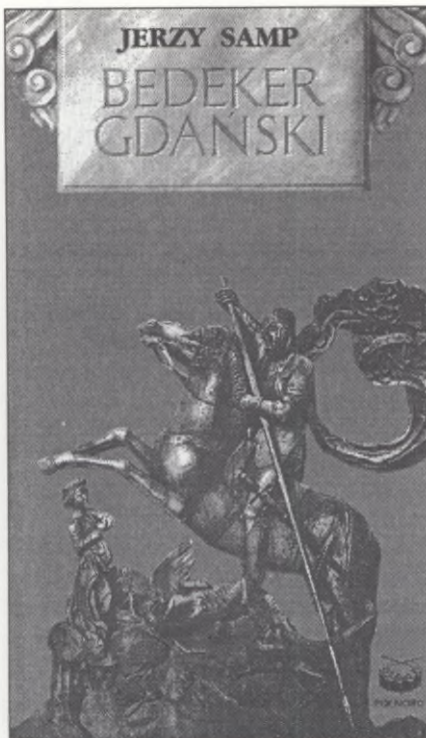
Jerzy Samp jest autorem znanym i uznanym. Jego zainteresowanie Gdańskiem zaowocowało już wieloma książkami. Ich wymienienie zajęłoby zbyt wiele miejsca. Aby więc nie zabierać go tej nowej pozycji - „Bedekerowi Gdańskiemu” - przystąpmy od razu do jej omawiania. W „Słowie wstępnym”, zapowiedzianym udanie staropolskim przysłowiem: „Ustawami i mężami miasta stoja, nie murami”, Wacław Odyniec, przypominawszy najpierw przekonanie włoskiego XVII-wiecznego podróżnika Giacomo Fantuzzi o konieczności zbierania wszelkich wieści z obcych krajów i miast, a potem sięgając do genezy słowa „bedeker”, niewiele czasu poświęci treści tej książki. Będzie tego zaledwie pół strony, i bardzo dobrze, bo przecież nie wielością słów mierzyć się powinno sens i prawdę wypowiedzi autora. Najważniejsze jest tutaj przekonanie, że „Pewien subiektywizm wyboru haseł dodaje książce smaku” i że napisana jest ona interesująco, niebanalnie i rzetelnie. Zresztą, rozpisywanie się we wstępie na temat genezy tego bedekera, czego można by oczekiwać, okazuje się w tym wypadku niekonieczne, jeśli istnieje tu takie właśnie hasło. Gdańsk bowiem był miastem tak

znanym, że niejednen informator i przewodnik o nim mówił.

W haśle „Bedekery gdańskie” czytamy, że najpierw o Gdańsku opowiadały XVII-wieczne i XVIII-wieczne informatory i opracowania historyczne, zarówno niemieckie jak i polskie. W wieku XIX doszły do tego informacje w naszych liczących się czasopismach, by wreszcie ustalić się w drukach zwartych - wielu przewodnikach, wydawanych najpierw po niemiecku, i nawet w pracy Karla Baedekera (od którego nazwiska przyjęło się właśnie określenie „bedeker”), mającej tytuł „Nordost Deutschland ... nebst Dänemark”. O Gdańsku opowiadał także Czesław Lubiński (Konstanty Damrot) w książce „Szkice z ziemi i historii Prus Królewskich” wydanej w roku 1886. Była to jakby zapowiedź ukazujących się coraz częściej od 1906 roku polskich przewodników o tym mieście, które zyskały prawo wszechobecności w okresie międzywojennym i powojennym. J. Samp skrupulatnie wymienienia co bardziej ciekawe, nie zominając o poprzedniku swojej książki, czyli „Bedekerze Gdańskim” z 1962 roku, wydany przez ówczesne władze miasta. Przy tej okazji poznajemy też genezę omawianego bedekera, który, jak mówi jego autor, zainicjowały artykuły publikowane na początku lat siedemdziesiątych w „Dzienniku Bałtyckim”. W tym miejscu nie sposób pominąć wydanej przed rokiem książki „Gdańsk prawie nie znany”, gdzie J. Samp zapowiedział jakby niektóre zamierzenia, czytelnego w obecnej publikacji. „Bedeker Gdański” J. Sampa jest nie tyle tradycyjnym turystycznym przewodnikiem, co itinerariuszem - jakby dziennikiem z podróży po Gdańsku - i zarazem glosariuszem, czyli zbiorem co ciekawszych gdańskich haseł. Bowiem jak autor dopowiada, jest „to przewodnik po osobliwościach, spojrzenie na teraźniejszość z innej nieco perspektywy, przypomnienie ludzi, faktów i miejsc, które dotąd umykały uwagi piszących, a przecież w pełni na to zasługują”. Dlatego W. Odyniec prawie we wstępie, co okazuje się nie być wcale kokieterią, że „Pracę tę można określić jako nietypowy

przewodnik turystyczny, jest to bowiem bardzo osobisty, prawie intymny melanż tego, co można było zastać wczoraj a spotkać dziś". Jest to spojrzenie na obecny Gdańsk zarówno świeżym okiem wędrowca, który spostrzega zawsze to, czego innym stała obecność w danym miejscu nie pozwala już zauważać - jak i okiem znawcy zabytków i wszelkich osobliwości tego miasta. Oczywiście pierwsze zachowanie musiało być przez J. Sampa wymuszone, jeżeli jest gdańszczaninem, a ostatnie wywiedzione z lektury i samodzielnych poszukiwań.

Samp rozpoczyna swój bedeker od „Adama i Ewy”, czyli od hasła będącego doskonałą opowieścią o przedziwnym wydarzeniu w kamienicy Konstantego Ferbera w XVI wieku. Tak ciekawie podanego hasła próżno szukać w każdym innym bedekerze. Podobnie interesującym hasłem jest relacja o „Napoleonie i księciu Lefebvre”, gdzie nawet znalazła się doskonała historyczna anegdota. I takich haseł jest tu więcej. Bo nie są to relacje encyklopedycznie zwięzłe, a tętniące życiem i wiedzą autora. W każdym hasle można natrafić na przytoczenia i cytaty ze źródeł i opracowań, co je czyni tym bardziej wiarygodnymi. A ponadto przy tym całym bagażu faktograficznym, dużo jest tutaj narracji i osobistych refleksji autora, często tak bardzo indywidualnych i jedynek. Można tu również natrafić na zwierzenia z następnych pomysłów badawczych. A wszystko to nie jest pozbawione liryzmu, dowodzącego umiłowania Gdańska jako rodzinnego miasta autora, i przy tym wielu refleksji historyzoficznych. Wracając do haseł, obok tych pierwszych spotykamy wręcz sfabularyzowane biografie ludzi zasłużonych dla tego miasta, skrupulatnie opisane architektoniczne zabytki, bazyliki, kościoły, stare uliczki, osobliwe i historyczne miejsca, charakterystyczne postacie spotykane niegdyś na ulicach miasta i w jego zakamarkach, jak owych gdańskich bówków, szkoły, karczmy, cmentarze, dwory, parki, domy i kamienice... Wszystkiego nie sposób tu wymienić, jak to zwykle przy omawianiu przewod-



ników i bedekerów bywa, jeżeli mamy w tej książce blisko 150 samodzielnych i niemal 100 im przydanych haseł, jak w przypadku „Baszt”, „Bazylik”, „Bram miejskich”, „Domów i kamienic”, „Kościołów”, „Pomników...” i „Ratuszy”. Lecz bardzo interesujące są wśród wielu godnych tego epitetu te, które poświęcono np. „Kuchni gdańskiej”, „Karczmom i zajazdom”, „Masonerii”, „Złotej wódce”.

Warto jednak pamiętać, że bedekery mają to do siebie, że wszystkiego nigdy nie udaje się w nich spisać. Skazane są bowiem na stałe bogacenie swej treści, ponieważ czas przynosi ich autorom coraz to nowe kwestie, coraz to wzbogaca się ich wiedza i jawią się coraz to nowe ciekawostki i odkrycia godne zapisania. Nie sposób więc dotrzeć naraz do wszystkiego i nigdy nie można być pewnym, że już nic nowego się nie pojawi. Łatwiej można poznać dzieje materialnych zabytków, chociaż i z nimi też bywa różnie, ale na pewno więcej trudności sprawia rekonstrukcja życia ludzi zapomnianych, a później uznanych. W bedekerze J. Sampa takich haseł jest wiele, lecz można trafić też na nazwiska, których szerzej się nie omawia. Tak jest chociażby z rzeźbiarzem Janem Henrykiem Meissnerem, poetą gdańskim

Janem Adamem Trittem malarzem Jakubem Wesslem czy zegarmistrzem Hansem Düringerem. Zapewne o niektórych postaciach brak źródeł, natomiast inne autor uznał za mniej znaczące. J. Samp rzetelnie nie przemilcza tych nazwisk, sądząc, być może, że na ich opisanie przyjdzie kiedyś pora. Dlatego zapowiada przy innych okazjach, jak chociażby w przypadku zajazdów, że „Do wątków tych powracać przeto jeszcze będziemy, albowiem spojrzenie na historię miasta poprzez jego »dzieje karczemne« to również jeden ze sposobów poznania”. Jest to nie tylko miara wiedzy, ale i pokory autora, zdającego sobie doskonale sprawę z tego, że na spisanie wszystkiego o tym mieście nigdy nie stanie czasu i miejsca. Wszakże to historia, która, jak trafnie powiedział Błażej Śliwiński w ostatnim zdaniu swoich „Kronikarskich nowinek”, zawsze będzie miała swój dalszy ciąg, bo przecież, jak czas, nie kończy się nigdy.

„Bederker Gdański” J. Sampa został wydany bardzo starannie, by nie powiedzieć, że wręcz dostojnie. Przydaje mu tego nie tylko złoto okładek i na pierwszej św. Jerzy, dzielnie zmagający się ze smokiem, ale i bogata szata graficzna wielu haseł, licząca w „Spisie ilustracji” 45 pozycji. Wiele grafik można tu ujrzyć po raz pierwszy. Ponadto miarą naukowego charakteru tej książki jest bogata bibliografia, licząca blisko sto pozycji polskich i obcych. Szkoda tylko, że zabrakło tutaj indeksu osobowego i rzeczowego, co pozwoliłoby szybciej i trafniej dotrzeć do poszukiwanej osoby lub godnego baczniejszej uwagi obiektu. Bo przecież alfabetyczny układ haseł wszystkiego nie ułatwia, jeżeli dane nazwisko czy obiekt nie są przedmiotem hasła. Ponadto, jak na bedeker przystało, można tu znaleźć „Praktyczne informacje” o sprawach turystycznych, hotelach, campingach, parkingach, restauracjach i kawiarniach, muzeach, kinach i teatrach Gdańska i Trójmiasta oraz mapkę co ważniejszych zabytków grodu Neptuna. Udane jest to „Gdańska widzenie” J. Sampa i warte uważnej lektury. ■

OBSZARY CHRONIONE

Obszary chronione w Polsce, katalog (komentarz i mapa), praca zbiorowa, 229 stron + mapa w skali 1:750 000, Instytut Ochrony Środowiska, Warszawa 1993.

Janusz Kowalski

Groźba zniszczenia środowiska spowodowała, że w wielu krajach opracowano programy, zasady lub systemy (nazwy nie są istotne) ochrony przyrody. W Polsce takim całościowym jest Ekologiczny (Wielkoprzestrzenny, Krajowy) System Obszarów Chronionych, na który składają się (w nawiasach docelowe procenty powierzchni kraju) parki narodowe i rezerваты przyrody (1), parki krajobrazowe (4) i obszary chronionego krajobrazu (20), razem 1/4 powierzchni kraju, przy czym ostatnio mówi się coraz częściej o potrzebie ochrony 1/3 powierzchni Polski.

Od dawna brakowało spisu i syntetycznego opisu obszarów chronionych. Wreszcie jest.

Wstęp i Wprowadzenie o dziejach ochrony przyrody i jej organizacji w Polsce oraz o użytkowaniu obszarów chronionych i o ich zagrożeniach napisał Janusz Radziejowski. Katalogi zestawili Małgorzata Walczak i Małgorzata Smogorzewska (parki narodowe i krajobrazowe oraz obszary chronionego krajobrazu) oraz Teresa Lubelska (rezerваты przyrody). Mapa, wykonana w Polskim Przedsiębiorstwie Wydawnictw Kartograficznych, jest dziełem głównie tychże autorek. Dane dotyczą 1992 roku. O części parków powołanych w 1993 roku lakonicznie informują przypisy.

Nasz obszar, Pomorze, Polska nadmorska, prezentuje się nieźle. Trzonem obszarów chronionych są u nas parki, które wymieniam w „Pomeranii” w Informacjach regionalnych. Ponadto na Pomorsce jest Woliński Park Narodowy oraz Parki Krajobrazowe: Drawski, Iński i Szczeciński. W 1993 roku utworzono jeszcze Cedyński PK i PK „Dolina Dolnej Odry”.

Wokół parków powinny być strefy ochronne, broniące je przed szkodli-

wymi wpływami zewnętrznymi. Jednak parki narodowe w Polsce takich stref nie mają. W 1976 roku Andrzej Baranowski zaproponował strefę ochronną (bezpośrednią - bliską, i pośrednią - daleką i bardzo daleką) Słowińskiego Parku Narodowego; propozycja ta - chociaż pozytywnie przyjęta - została jednak na papierze (maszynopisy i mapy w dyrekcji parku). Natomiast takie strefy ochronne mają często parki krajobrazowe.

Parki narażone są na zaburzenia równowagi przyrodniczej. Zagrozić im mogą zanieczyszczone płynące wody powierzchniowe, zmiana poziomu wód gruntowych, zanieczyszczone powietrze oraz inna nieprzeżyłana działalność człowieka na terenie parku i w jego okolicy. Podstawowe znaczenie dla ochrony parku, którego osią ekologiczną jest rzeka - zwykle jej odcinek - mają stosunki wodne, panujące na terenie zlewni tego odcinka rzeki.

Wszystkie te elementy brano pod uwagę wyznaczając strefy ochronne Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi”, w których znalazły się m.in. Dębica Kaszubska i Bytów (co ma poważne znaczenie w decyzjach dotyczących budowy oczyszczalni ścieków w tych miejscowościach). Nie respektowano ich natomiast przy ustanawianiu w 1985 roku stref ochronnych Tucholskiego Parku Krajobrazowego, np. miasta: Czersk, wpływający poprzez Czerską Strugę na stan parku i Tuchola - poprzez Kicz, nie są w strefach ochronnych parku. Podobnie absurdalnie, bezmyślnie postąpiła Wojewódzka Rada Narodowa w Gdańsku, tworząc w 1983 roku strefę ochronną Wdzydzkiego Parku Krajobrazowego w postaci pasa szerokości 3 km, takiego samego ze stron, skąd zagrożony jest wodami Wdy i Trzebiechoy, i gdzie nic mu nie grozi - w dół od jeziora Wdzydze. Słusznie więc na omawianej mapie nie ma tego (i podobnych) kuriozum ekologiczno-przestrzennego. Parki krajobrazowe w woj. gdańskim nie mają, według mapy, w ogóle stref ochronnych.

Obszary chronionego krajobrazu powinny wiązać się z sobą w spójną całość, która umożliwi wypełnienie celu przyrodniczego. To wiązanie ze sobą różnych obszarów powinno następować wzdłuż rzek, pradolin i obszarów wododziałowych, bo są to najważniejsze szlaki migracji gatunków - flory i fauny. Są to - mówiąc skrótowo - korytarze ekologiczne (środowiskowe). Umożliwianie mig-

racji gatunków - takie jest pierwsze zadanie obszarów chronionego krajobrazu. Żeby ta migracja była możliwa, musi utrzymać się na jej szlakach obecny klimat. Utrzymanie obecnych warunków klimatycznych - oto drugie zadanie obszarów chronionego krajobrazu. Trzecie zadanie - zachowanie obecnych stosunków hydrologicznych i hydrogeologicznych - warunkuje realizację pierwszego i drugiego.

Omawiana publikacja pokazuje, jak różnie potraktowały poszczególne województwa łącznikowy charakter obszarów chronionego krajobrazu. Jako ciągłe, głównie wzdłuż rzek, powołały je województwa bydgoskie i elbląskie. Nie stanowią one natomiast spójnej całości, poza pasem wybrzeża, w woj. słupskim i koszalińskim (ale w tym ostatnim w mniejszym stopniu). Natomiast w gdańskim i szczecińskim w ogóle obszarów chronionego krajobrazu nie ustanowiono.

Rezerваты przyrody są ściśle i częściowe. Ściśle znajdują się na terenie parków narodowych i nieliczne (ok. 10 proc.) na innych.

T. Lubelska napisała, że na terenie rezerwatów ścisłych „ruch turystyczny (...) jest zabroniony”. Tymczasem np. ściśle rezerваты przyrody w Słowińskim Parku Narodowym „Mierzeja”, „Kluki”, „Moroszka” i „Klukowe buki”) zostały udostępnione do zwiedzania. Z ograniczeniami, to prawda, bo tylko po szlakach znakowanych, ale jednak udostępnione. Podobnie w ograniczonym zakresie udostępniono Białowiecki Park Narodowy, cały będący rezerwatem ścisłym. Zresztą J. Radziejowski podał, że „wszystkie parki narodowe udostępnione są do zwiedzania”. Po co więc straszyć, jak czyni to T. Lubelska?

Najwięcej pożytku przynosi zwiedzanie rezerwatów przyrody z przewodnikiem, najlepiej leśnikiem, bo rezerwatów leśnych jest najwięcej. Niestety, omawiana publikacja nie ułatwia tego. Rezerваты zlokalizowano według gmin, które są obszarami bardzo dużymi. Należało podać leśnictwo lub innego gestora obszaru rezerwatów.

J. Radziejowski napisał, że w publikacji wymieniono wszystkie rezerваты. Nie jest to prawda. Pominęto w niej rezerваты istniejące w parkach narodowych.

Na mapie oznaczono rezerваты, co jest zrozumiałe, tylko symbolicznie,

kółkami. Lokalizacje niektórych z nich są mylne. Jezioro Kamienne koło Nowej Huty (dawna gmina Sianowo) pomyłono z Jeziorem Kamiennym w gminie Sierakowice. Że takie błędy zdarzają się na różnych popularnych mapach krajoznawczo-samochodowych, nie powinno tłumaczyć autorów recenzowanej publikacji, którzy przedstawili trzy rezerwy istniejące w górnej (wschodniej) części PK „Dolina Słupi”.

Jednakowo oznaczono (plastycznie mdło) obszary chronionego krajobrazu i strefy ochronne parków krajobrazowych, a ich zadania są różne. No i najpoważniejszy zarzut. J. Radziejowski podał, że współwydawca mapy, Polskie Przedsiębiorstwo Wydawnictw Kartograficznych „udostępniło (...) i zaktualizowało (...)” podkład mapy swego autorstwa: *Ochrona przyrody w Polsce z 1981 r.* Marna jednak to była aktualizacja. Np. Brusy i Żukowo występują nadal jako wsie i nie ma wsi - stolic gmin takich, jak np. Lipusz, Liniewo, Bobowo czy Suchy Dąb.

Mimo mankamentów, o których trzeba wiedzieć korzystając z omawianej publikacji, bardzo dobrze, że została wydana. ■

DZIEJE SŁAWNA

Dzieje Sławna. Praca zbiorowa pod redakcją Józefa Lindmajera, Słupsk 1994.

Bernard Konarski

Sławno było jedynym miastem powiatowym w dawnym województwie koszalińskim, które nie doczekało się własnej monografii. Prace nad nią dwukrotnie przerywano. Raz wstrzymano znacznie zaawansowane opracowanie „Dzieje ziemi sławieńskiej” (maszynopis wycofano w 1973 roku z Wydawnictwa Poznańskiego), drugi raz, dzieśięć lat później, pracę „Sławno, Darłowo i okolice”. Za trzecim razem się udało - prawie 500-stronicowa monografia „Dzieje Sławna” ukazała się na rynku. Została wydana staraniem Urzędu Miejskiego w Sławnie i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Słupsku. Jej autorami są:

Józef Lindmajer (także opracowanie całości), Adam Muszyński, nieżyjący już Józef Spors, Jan Sroka i Stefan Żurawski.

Praca podzielona jest na trzy części. W pierwszej opisano starożytność i początki Sławna. Ziemia sławieńska zamieszkiwana była już 8000 lat przed narodzeniem Chrystusa. Przez ponad dwa wieki - XI i XII - Sławno było stołecznym grodem słowiańskiego księstwa, w którym panowała dynastia Racibórzyców - boczna linia pomorskich Gryfitów. Za panowania króla Władysława Łokietka w Sławnie, Darłowie, Polanowie i Sianowie rządy sprawowali w imieniu króla Święcowie, którzy znakomicie zapisali się jako gospodarze, a zupełnie źle jako Polacy. Następnie przez trzy wieki Sławno pozostawało w podzielonym lub zjednoczonym Księstwie Pomorskim.

Druga część kreśli dzieje Sławna pod panowaniem Brandenburgii, Prus i III Rzeszy - łącznie około 300 lat. Przypomina, że jeszcze w XVIII wieku ludność słowiańska była w okolicach Sławna dość liczna, a zamieszkiwała, między innymi, w Kwasowie, Tychowie, Warcinie i innych wsiach. Część ostatnia, licząca prawie 200 stron, obejmuje okres od 1945 roku do dnia dzisiejszego, dokładnie do grudnia 1993 roku.

We wszystkich częściach pracy zawarte są obszernie informacje o życiu religijnym, podziałach i administracji kościelnej, zabytkowych kościołach i kaplicach, działalności zakonów i zgromadzeń zakonnych, czego z reguły prawie nie było w monografiach wydawanych przed 1989 rokiem.

Sami autorzy zastrzegają, iż praca nie rości pretensji do pełnej i wszechstronnej monografii. I rzeczywiście, ma luki chronologiczne szczególnie w wiekach XIV-XVIII, a także braki w opracowaniu tematów etniczno-narodowościowych, niektóre zaś nazbyt rozbudowane, np. dzieje księstwa, regionu i powiatu. Mimo to zasługuje na uznanie za staranne przedstawienie realiów historycznych, ogrom zebranego materiału oraz piękny język. Również szata graficzna zasługuje na pochwałę.

Bardzo obszerna jest bibliografia opracowania, zawierająca 165 pozycji oraz liczne ilustracje: zdjęcia, szkice, mapki, plany i rysunki. Kończy pracę spis treści - po polsku i niemiecku. ■

KSIAZKI

Bogdan Rusinek, Zbigniew Szczurek, Konspiracyjne organizacje niepodległościowe działające na Pomorzu Gdańskim w latach 1945-1955 w świetle akt byłego Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku. Związek Byłych Więźniów Politycznych, Zarząd Główny Gdańsk, Gdańsk 1994, s. 282. Książka przedstawia dzieje powojennych organizacji konspiracyjnych w województwie gdańskim, w określonym czasowo okresie obejmującym również część województw elbląskiego i słupskiego. Oprócz zarysu dziejów, autorzy przedstawiają postępowania sądowe przeciwko członkom nielegalnych organizacji, postanowienia sądów, rewizje i ułaskawienia. Podają nazwiska oskarżonych i sędziów, a także funkcjonariuszy bezpieczeństwa publicznego i nawet skład plutonów egzekucyjnych. Książka wstrząsająca, ukazująca okrucieństwo tzw. sprawiedliwości ludowej, która dosięgała także często ludzi całkowicie niewinnych. Autorzy omawiają 72 organizacje postawione w stan oskarżenia wśród nich nieliczne, bądź dla ustroju socjalistycznego nieszkodliwe o dziwacznych nazwach, jak „Kochaj ryzyko”, „Rycerze Dobrej Woli”, „Wątróbka”, „Zastęp Trupich Główn” i „Żubr”. Książka jest bardzo ważnym dokumentem represji służby bezpieczeństwa i sądownictwa wobec przeciwników socjalizmu, nawet w przypadku, gdy konspiratorzy nie przejawiają działalności.

Spotkania nad Odrą. Niemcy i Polacy wspólnie w Europie - II. Redakcja: Danuta Gajda, Jerzy Gajda, Szczecin 1993, s. 156, ilustr. Zbiór materiałów z II Kongresu „Niemcy i Polacy wspólnie w Europie”, który się odbył 21-23 maja 1993 roku w Szczecinie. Na tom składają się przemówienia polityków i przedstawicieli polsko-niemieckich i niemiecko-polskich towarzystw, referaty, wypowiedzi oraz obszerny dialog prof. Jerzego Holzera z Hansem Koschnickiem, wiceprzewodniczącym Komisji Zagranicznej Bundestagu, przerywany głosami z sali obrad. W sumie bardzo ważne dla polsko-niemieckiego zbliżenia refleksje i spostrzeżenia.

(T.Bol.)

KŁĘKA

BYŁ PRZEWODNIKIEM W DRODZE

■ W niedzielę 21 sierpnia br. w Niezabyszewie odbyła się patriotyczno-religijna uroczystość, poświęcona pamięci księdza Józefa Styp-Rekowskiego w 25. rocznicę śmierci. Ksiądz Rodak, jak go nazywali Polacy zamieszkali na terenie Niemiec, był przewodnikiem duchowym licznych rzesz uchodźców, których los rzucił z dala od rodzinnych stron. Jako duszpasterz polonijny i prezes Związku Polaków w Niemczech, do śmierci w 1969 roku pozostał ks. Styp-Rekowski gorliwym patriotą, dla którego Polska i wiara ojców były zawsze najważniejsze.

Uroczystość zorganizował, z inicjatywy prof. J. Borzyszkowskiego, bytowski oddział ZKP. W kościele p.w. św. Mikołaja w Niezabyszewie umieszczono tablicę z napisem:

Ks. dziekan Józef Styp-Rekowski
pierwszy kapłan z parafii św. Mikołaja
w Niezabyszewie.
Duszpasterz Polonii i prezes Związku
Polaków w Niemczech
ur. 14.12.1902 w Płotowie
zm. 23.08.1969 w Trewirze
Spoczął na Ziemi Ojczyźnej w Zakrzewie
Zrzeszenie Kaszubsko-Pomorskie
Oddział Bytów

Po powitaniu przez proboszcza parafii w Niezabyszewie, ks. Witolda Łukowicza, w imieniu bytowskiego oddziału ZKP wystąpił Michał Świontek-Brzeziński, mówiąc m.in.: „Z tej ziemi, z tego ludu, wywodzi się ks. Józef Styp-Rekowski, który całe życie poświęcił Polakom za granicą”. Uroczystą mszę świętą odprawił biskup pelpliński, ks. Jan Bernard Szłaga. W homilii określił ks. Józefa jako ideał człowieka, który umie być dla innych przewodnikiem w drodze. W czasie przedwojennym służył tym, których rozdzieliły niesprawiedliwe granice. W czasie wojny, więziony w obozach koncentracyjnych, swoją postawą pomagał przetrwać współwięźniom. Po wyzwoleniu, jako duszpasterz emigracyjny, pomagał Polakom, którzy w Niemczech chcieli pozostać sobą, ze swoją wiarą i tradycjami.

Podkreślił znaczenie małej ojczyzny w życiu każdego człowieka oraz rolę rodziny. „To w rodzinie - mówił - zaszczepia się w nas przywiązanie do tradycji,

mowy, religii i swojej ojczyzny - tej dużej i tej małej”.

Po mszy św. licznie zebrana społeczność Niezabyszewa i okolic oraz zaproszeni goście przeszli do Sali Wiejskiej, gdzie serdecznie przypomniano księdza Styp-Rekowskiego.

W uroczystości oprócz duchowieństwa z ks. biskupem J.B. Szlagą udział wzięli: wojewoda śląski, Kazimierz Kleina, wicewojewoda gdański Józef Borzyszkowski, władze Bytowa z burmistrzem Stanisławem Marmołowskim oraz prezes Związku Polaków w Niemczech, Tadeusz Hyba, a także rodzina ks. Józefa: siostry Maria Róża i Władysława oraz brat Marcei, a także młodszy członek rodu.

„Rodziną, która tu, na Bytowszczyźnie dała przykład mocnego trwania Kaszubów na swojej ziemi, przy swojej wierze i Polsce, może być rodziną Styp-Rekowskich” - tak rozpoczął swój wykład prof. Józef Borzyszkowski. Podkreślił on, że na ukształtowanie się sylwetki ks. Józefa ogromny wpływ wywarli rodzice - Jan i Weronika z Bruskich. Ojciec i syn wzajemnie wspomagali się w swoich poczynaniach na rzecz utrzymania polskości na ziemiach przypisanych do Niemiec. Osobą, która umocniła ks. Józefa w jego przekonaniach, był słynny proboszcz z Zakrzewa, patron Związku Polaków w Niemczech, ks. dr Bolesław Domański. Do Zakrzewa trafił ks. Styp-Rekowski po otrzymaniu święceń kapłańskich z rąk biskupa Okoniewskiego. Wykształcony w Pelplinie, jako obywatel Rzeszy miał trudności ze znalezieniem pracy. W końcu prałatura pilska wyraziła zgodę na zatrudnienie w Zakrzewie. Jako najbliższy współpracownik księdza Domańskiego, zaprzyjaźniony z młodzieżą, został prezesem Związku Polskich Towarzystw Szkolnych na całą Rzeszę. Był obrońcą praw młodzieży polskiej do nauki w ojczystym języku.

Podobnie jak ojciec, bracia i siostra, uwięziony przez hitlerowców na początku II wojny światowej, kilka lat spędził w obozach koncentracyjnych. Za głoszone przekonania, domaganie się powrotu ziemi bytowskiej do Polski, rodzina Styp-Rekowskich poniosła ciężkie ofiary. Życie oddali ojciec i trzej bracia. Ksiądz Józef przeżył i z polecenia władz kościelnych został duszpasterzem Polaków na wychodźstwie. Ksiądz Styp-Rekowski zmarł w Trewirze. Zgodnie ze swoją wolą został pochowany w Zakrzewie, obok swojego mistrza, ks. dr. Bolesława Domańskiego.

Z dużą uwagą zebrani wysłuchali pani Władysławy Knosławowej. Przypomniała ona związki swojej rodziny Styp-Rekowskich z parafią w Niezabyszewie.

Wspomniała proboszczów: księży Wierzbickiego i Szynkowskiego oraz dwie msze prymicyjne swojego brata. Pierwsza odbyła się w rodzinnej parafii w Niezabyszewie, druga w Ugoszczy, gdzie ksiądz Robert Pluto-Prądziński chciał pokazać „prawdziwego Kaszubę w szatach kapłańskich”. Obie te msze były manifestacjami polskości i przywiązania Kaszubów do wiary katolickiej. Pani Władysława w bardzo osobisty sposób wspominała brata. Wspomnienie o swojej rodzinie, domu i ukochanej ziemi bytowskiej, którą opuściła przed laty, przenosząc się na Warmię, do Olsztyna, zawarła w książce „Utrwalić pamięć”. Egzemplarze dopiero co wydanej książki podpisywała na uroczystości w Niezabyszewie. Fragment książki, poświęcony księdzu Józefowi, przeczytał Cezary Obracht-Prądziński.

W części artystycznej wystąpiły dzieci i młodzież z miejscowej szkoły.

Joanna Gil-Sleboda

LAURY IM. KS. BOLESŁAWA DOMAŃSKIEGO

■ Po raz pierwszy w Gdańsku odbyła się uroczystość wręczenia nagród im. ks. Bolesława Domańskiego. Nagroda przyznawana jest już od 12 lat - początkowo przez Stowarzyszenie „Pax”, a od paru lat Stowarzyszenie Civitas Christiana. Wyróżnieniem tym nagradzane są osoby działające na rzecz umacniania i rozwoju Kościoła katolickiego, krzewienia wartości chrześcijańskich oraz szeroko rozumianej kultury w regionach północno-zachodniej Polski. Poprzednio nagrody wręczano m.in. w Malborku, Szczecinie i Zielonej Górze.

Patron nagrody, o czym przypomniał podczas uroczystości w Sali Białej Ratusza Głównomięjskiego prof. Józef Borzyszkowski, był wybitnym działaczem społeczno-politycznym na ziemi złotowskiej, obrońcą polskości, założycielem i liderem wielu organizacji polskich w latach 1931-38, w tym prezesem Związku Polaków w Niemczech i Związku Spółdzielni Polskich. Ks. B. Domański urodził się w 1872 roku w Przytarni na Kaszubach, lecz większość życia spędził w Zakrzewie w Złotowskim, gdzie był proboszczem. Jego powiedzenia „Lud polski się nie da”, „Tu jest Polska, gdzie my jesteśmy”, aczkolwiek odnoszące się do walki o polskość na terenach Rzeszy Niemieckiej, mówiono podczas uroczystości, zawierają pierwiastek uniwersalizmu, nie tracą na aktualności także obecnie.

W gronie tegorocznych laureatów nagrody im. ks. Bolesława Domańskiego znaleźli się: Stanisław Pestka, publicysta, autor wielu artykułów poświęco-

nych ważnym problemom kaszubsko-pomorskim, redaktor naczelny „Pomeranii”, Bogdan Frankiewicz, szczeciński historyk zajmujący się badaniem zbrodni hitlerowskich na Pomorzu Zachodnim, dziejami Polonii szczecińskiej oraz Kościoła Powszechnego w tamtym regionie, Roman Waliszewski, zasłużony muzealnik, autor wielu publikacji popularnonaukowych o regionie pilskim, wojewódzki konserwator zabytków w Pile oraz ks. Ignacy Jeż, biskup - senior diecezji koszalińsko-kołobrzeskiej, którą kierował przez 20 lat, orędownik integracji mieszkańców Pomorza Środkowego.

Uroczystość uświetnił koncert połączonych chórów z Bazyliki Mariackiej i kościoła św. Katarzyny, chóry wystąpiły również podczas okolicznościowej mszy św. w Kaplicy Królewskiej, której przewodniczył bp Ignacy Jeż. Po mszy uczestnicy uroczystości spotkali się w Domu Kaszubskim, gdzie wzniesiono toast za pomyślność i dalsze sukcesy laureatów.

(s.j.)

Z SIERAKOWIC

■ Natężenie ruchu samochodowego, jak i modernizacja zabudowy centrum zagroziły zawaleniem się stojącej tu od 1894 roku kapliczki. Za zgodą władz kościelnych, gminnych oraz konserwatora zabytków zdecydowano zastąpić ją wierną kopią. Rekonstrukcji kaplicy podjęli się dwaj mieszkańcy gminy - członkowie ZKP, właściciele Firmy Handlowej „BAT” - panowie Andrzej i Tadeusz Bigus, którzy sfinansowali odbudowę kaplicy.

Prace przy tej budowie wzbudziły duże zainteresowanie wśród mieszkańców; jedni byli jej przeciwni - bo to zabytek, inni pochwalali. Nowa kaplica stanęła obok starej - każdy mógł zauważyć wierność kopii. Po przeniesieniu do niej figury Matki Boskiej, odnowionej przez naszego twórcę - Stanisława Stenkę, „starą” rozebrano. Plac wokół niej wyłożono kolorową kostką, ozdobiono stylowymi lampami i zielenią.

Z postawieniem nowej kaplicy rozwiązano też problem tablicy upamiętniającej poległych w czasie II wojny mieszkańców gminy. Zabiegał o nią od dawna Stefan Kolka. Okazało się, że główna ściana odbudowanej kaplicy posiada dwa prostokątne wgłębienia, w których można było umieścić tablice. Propozycja ta była jednym z tematów posiedzenia Zarządu Gminy, na które zaproszeni zostali wszyscy zainteresowani. Zgodzono się na umieszczenie dwóch tablic marmurowych. Koszt przedsięwzięcia wziął na siebie Zarząd Gminy.

1 września po uroczystej mszy świętej w intencji poległych mieszkańców gminy poświęcono nową kaplicę i odsłonięto pamiątkowe tablice.

■ Tradycyjnie już w pierwszą niedzielę września obchodzimy w naszej gminie dożynki. Uroczystości rozpoczęły się procesją żniwiarzy z pięknymi wieńcami dookoła kościoła p.w. św. Marcina, gdzie następnie odprawiona została dziękczynna msza święta z kaszubską liturgią słowa. Korowód dożynkowy prowadzili starostowie dożynek, Hilaria Butowska i Ry-

szard Zelewski, niosąc dwa bochny chleba.

Domie Bozi, odmękōj swę wrota,
Bo dwigōmē dzys wińce ze złota
Wěj na snopach jesz skrzy na rosa,
To pot lędzi ostōl na kłosach.
Plōn niesēmē, plōn
z rozmajitēch Kaszēb strōn
Plōn niesēmē, plōn
Ponu Bogu w dom.

Po mszy żniwny korowód podążył ulicami Sierakowic na plac dożynkowy, gdzie starostowie dożynek złożyli na ręce wójta Tadeusza Kobieli i przewodniczącej Rady Gminy, Janiny Kwiecień, bochny chleba. Żywiłowy występ „Sierakowic” rozpoczął drugą część uroczystości - turniej sołectw. Wymyśliła go w ub. roku Irena Kulwikowska, dyrektor Gminnego Ośrodka Kultury. Ta wesoła, pełna emocji zabawa, przyciąga wielu mieszkańców naszej gminy. Sołectwa rywalizują nie tylko o palmę pierwszeństwa, ale także o cenne nagrody. W tym roku sponsorzy (firmy „BAT” i „ELWOZ”, Zarząd Gminy, Bank Spółdzielczy, Bank Własności Pracowniczej, Gminna Spółdzielnia „SCH”, firma „EKBORK”) ufundowali m.in. opryskiwacz ciągnikowy, sadzarke, betoniarke, opryskiwacz plecakowy włoski, pilarkę spalinową.

Turniej obejmował siedem konkurencji. Każda nagradzana była dodatkowo „drobniejszymi” upominkami ufundowanymi przez hurtownie, sklepy i instytucje. Suma punktów, uzyskana w poszczególnych konkurencjach - prezentacja sołectwa, ocena wieńców, bieg rodzin w workach, obieranie ziemniaków, degustacja potraw, taniec korkowy i wiązanie snopków - decydowała o zwycięstwie i przyznaniu głównej nagrody. Zaciekle walczące drużyny dopingowali żywiłowo kibice. Wspaniała zabawa!

W ogólnej klasyfikacji I miejsce uzyskało sołectwo Szklana, II - Kamienica Królewska, III - Puzdrowo, na IV uplasowało się sołectwo Długi Kierz.

Turniej prowadziła Irena Kulwikowska, której również udało się „zamówić” słońce.

Barbara Klawikowska

KONSEKRACJA Z KASZUBSKIM AKCENTEM

■ Ponad 2,5 tys. osób zgromadziło się 14 września na uroczystości konsekracji nowo wybudowanego kościoła w Pierwoszynie, miejscowości należącej do parafii i gminy Kosakowo pod Gdynią. Wśród delegatów wspólnot parafialnych i różnych stowarzyszeń znaleźli się przedstawiciele oddziału Zrzeszenia Kaszubsko-Pomorskiego w Dębogórze. Delegaci społeczności zrzeszonej przekazali na rzecz nowej świątyni dary w postaci



KOMISJA OCENIA WIEŃCE DOŻYŃKOWE

połączonych ampulek do wody i wina, pięciu stu i dwóch alb. Podczas liturgii słowa, w uroczystej mszy św. pod przewodnictwem arcybiskupa Tadeusza Gocłowskiego, przedstawicieli Zrzeszenia, Zygmunt Kaleta z Dębogórze, odczytał fragment ewangelii w języku kaszubskim. Jak odnotowała lokalna prasa, słowo kaszubskie skupiło „szczególną uwagę zgromadzonych”. Redakcja „Mojego Tygodnika - Echo Ziemi Puckiej” wyraziła nadzieję, że także inne nabożeństwa w największej świątyni na Kępie Oksywskiej będą miały kaszubską oprawę. „Będziemy bardzo prosili naszą scholę - bez której trudno sobie wyobrazić jakąkolwiek uroczystość religijną - o włączenie do swojego repertuaru kaszubskich pieśni religijnych. (s.j.)

WEJHEROWSKA MŁODZIEŻ WOBEC SWOJSZCZYZNY

■ Z inicjatywy wiceprezydent Wejherowa Marii Ziółkowskiej 14 września br. w miejscowym ratuszu odbyło się spotkanie wicewojewody gdańskiego Józefa Borzyszkowskiego i jego asystenta Cezarego Obracht-Prondzińskiego z młodzieżą i przedstawicielami środowisk kulturowych. Byli także prezydent Wejherowa Jerzy Budnik i wiceprezydent Andrzej Remiszewski.

Spotkanie miało głównie służyć wzajemnemu poznaniu się, wymianie refleksji na temat miejsca młodego człowieka w swoim mieście, regionie, stosunku do kaszubszczyzny, pomorskości. Ożywiona, prawie trzygodzinna dyskusja ujawniła, że obecnym w ratuszu młodym wejherowianom sprawy te nie są bynajmniej obojętne. Niektórzy z wywiadujących się przyznali, że wzbraniają się przed identyfikacją z kaszubszczyzną, jako że wciąż jeszcze ogół społeczeństwa kojarzy ją głównie z warstwami ludzi niewykształconych, robotnikami i chłopstwem. Zwierzano się wręcz, że trudno przezwyciężyć wstyd i przyznać się w nieznanym, obcym środowisku, szczególnie wielkomiejskim, do kaszubskich korzeni. Inni z kolei przekonywali, że nie tylko kaszubskość, pomorskość ale także miejsce urodzenia czy zamieszkania na ogół nie są przedmiotami zainteresowania środowisk młodzieżowych. „Młodzież nie czuje kaszubszczyzny”, twierdzono, nie ma motywacji, by zajmować się sprawami regionalizmu.

Wiele miejsca w dyskusji poświęcono Zrzeszeniu Kaszubsko-Pomorskiemu. Zarzucano Zrzeszeniu brak czytelnego programu, w tym m.in. dla młodych, dominację ludzi starszego pokolenia, upolitycznienie, nadmierne przywiązanie

wanie wagi do kwestii etnicznych, nikłe zainteresowanie sprawami turystyki, kultury masowej, imprezami o charakterze towarzyskim. Mówiono, że społeczności zrzeszonej potrzeba „twórczego wstrząsu”, zmian programowych, ideowych i organizacyjnych. Z wypowiedzi dyskutantów nie wynikało jednoznacznie, czy te opinie dotyczą oddziały w Wejherowie, czy też całej organizacji. Zgodzono się jednak z zaproszonymi gośćmi, J. Borzyszkowskim i C. Obracht-Prondzińskim, że przyszłość Zrzeszenia, ruchu kaszubsko-pomorskiego leży właśnie w rękach młodych, będzie zależna od ich woli zmian, aktywności publicznej, chęci podzielenia się współodpowiedzialnością za organizację. (s.j.)

ZŁĄCZYŁO ICH MORZE

■ W pracowni rzeźbiarskiej artysty plastyka Stanisława Szwechowicza powstały dwa nowe pomniki ludzi wpisanych trwale w zbiorową świadomość narodu.

Chodzi tu o gen. Józefa Hallera (1873-1960) i inż. Eugeniusza Kwiatkowskiego (1888-1974) - postaci symbolizujących początek i koniec pewnej epoki w życiu społecznym i gospodarczym Polski; pierwszy z nich dokonał w roku 1920 w Pucku symbolicznego aktu zaślubin Polski z morzem, drugi - zmateriałizował sen narodu o potęgę morskiej kraju, wnosząc w latach trzydziestych bardzo duży wkład w dzieło budowy portu gdyńskiego i Gdyni, a w latach powojennych - w dzieło odbudowy Wybrzeża. Postać Kwiatkowskiego uwieczniano w Gdyni kilkakrotnie: w 1976, w dwa lata po śmierci Kwiatkowskiego i w pięćdziesiąt rocznicę nadania Gdyni praw miejskich odsłonięto tablicę w okolicach Dworca Morskiego, ufundowaną przez Zarząd Portu w Gdyni. Tablica upamiętniająca inżyniera Kwiatkowskiego wisi także na budynku Szkoły Podstawowej Nr 10, która nosi jego imię.

W setną rocznicę urodzin Kwiatkowskiego, z inspiracji Towarzystwa Przyjaciół Gdyni, położono na skwerku przy ulicy 10 Lutego i ulicy Mściwoja tablicę w kształcie mapy Polski - kamień węgielny przyszłego pomnika z następującą inskrypcją: „W tym miejscu stanie pomnik twórcy Gdyni Eugeniusza Kwiatkowskiego. W setną rocznicę jego urodzin kamień węgielny położono 30.12.1988. Towarzystwo Przyjaciół Gdyni. Naczelna Organizacja Techniczna”.

6 października br. pomnik odsłonięto. Cokół pomnika, liczący 2,4 m wysokości, jest wykonany w granicie szwedzkiej. W jego górnej części znaj-

duje się imię i nazwisko, na dole zaś cytata z wypowiedzi inżyniera: „Rzecz najważniejsza: Polska, Gdynia i morze to jedno”.

Popiersie wykonane w brązie ma około 1,8 m wysokości. Cały pomnik około 4,5 m. Mimo rozmiarów i wagi sprawia wrażenie lekkości i ulotności. Postać starszego pana w garniturze, nie mająca w sobie nic monumentalnego, budzi zaufanie.

Uroczystość odsłonięcia popiersia Hallera zaplanowano na dzień 11 listopada - narodowego święta niepodległości. Haller nie jest tak popularną postacią jak Kwiatkowski. Potoczna wiedza o generale sprowadza się wyłącznie do aktu zaślubin Polski z morzem. Pamięć o Hallerze kulturową mieszkańcy Władysławowa. Przez 11 lat przyjeżdżał tu, mieszkał. Dziś w domu generała, nazwanym z czasem „hallerówką” mieści się muzeum upamiętniające jego postać. Pomnik ma stanąć we Władysławowie. Zleceniodawcą jest Towarzystwo Przyjaciół Hallerowa. Pomnik przedstawiać będzie popiersie generała w mundurze, na tle fal. Na dole wyrzeźbione słowa, wypowiedziane podczas ceremonii zaślubin: „Dla Ciebie Polsko i dla twej chwały”.

Kazimierz Babiński

KOŚCIOŁY SŁAWNA

■ Staraniem Sławneńskiego Domu Kultury ukazała się niewielka książeczka pt. Kościoły Sławna, autorstwa Eustachego Bindasa, Włodzimierza Rączkowskiego i Jana Sroki, z rysunkami Anny Rajcy i czarno-białymi zdjęciami. Opisane są w niej trzy świątynie - Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, św. Antoniego z Padwy oraz św. Piotra i Pawła w Sławsku.

W pracy przypomniano, że Sławno było niegdyś stołecznym grodem sławieńskiego księstwa Raciborzyców, a prawa miejskie otrzymało 22 maja 1317 roku z rąk Święców - Jaśka, Piotra i Wawrzyńca, którzy za sprawą króla Władysława Łokietka władali na Pomorzu. Kościół Mariacki ufundowany został przez księżnę Zofię, siostrzenicę księcia Barnima Wielkiego, pomiędzy latami 1326-1364. Reprezentuje gotyk. W czasie ostatniej wojny był straszliwie zniszczony, uległa też zniszczeniu połowa wysokiej wieży. Zaraz po wojnie podjęto trud odbudowy, w roku 1950 były już stropy i dach. Wieżę odbudowano dopiero w 1981 roku.

Kościół p.w. św. Antoniego z Padwy zaczęto budować w 1925 roku, a jego konsekracja nastąpiła 28 maja 1928 roku. Gmina katolicka w Sławnie i

okolicach liczyła wówczas 250 wier-
nych. Kościół jest neogotycki, halowy,
z cegły klinkierowej. Ciekawy jest re-
nesansowy ołtarz tryptykowy poka-
zujący pięć scen z życia Matki Boskiej.

Wies Sławsko odległa jest od Sławna
zaledwie o 4 km. Tu przed dziesięcioma
wiekami, a może jeszcze wcześniej,
zlokalizowano Stare Sławsko, gród
słowiański i książęcy. Kościół w
Sławsku istnieje od przełomu wieków
XIV i XV, na miejscu wcześniejszego.
Stanowi przykład dobrze zachowanego
gotyku „wiejskiego”. Wewnątrz
znajduje się kilka zabytków ruchomych,
między innymi kamienna chrzcielnica z
XV wieku, wykonana z jednego głazu.

Opracowana bardzo starannie, może
być wzorem dla tego typu lokalnych
wydawnictw.

Bernard Konarski

RATUNEK DLA OŁTARZA

■ Już wiele lat temu Wojewódzki
Konserwator Zabytków alarmował
społeczeństwo Słupska oraz władze
administracyjne i kościelne, że krytycz-
ny jest stan jednego z najpiękniejszych
zabytków sakralnych miasta - XVII-
wiecznego ołtarza w kościele św. Jac-
ka, prawdopodobnie nie konserwowane-
go od trzystu lat. Drewno zostało w
znacznym stopniu naruszone przez
owady, niepokój budzą zniszczenia ele-
mentów konstrukcji. Najbardziej
uszkodzony jest duży obraz w nastawie,
przedstawiający Ukrzyżowanie
Chrystusa oraz parę książęcy: księżną
Erdmunt i księcia Jana Fryderyka (obie
postacie są wielce zasłużone dla
dziejów regionu. Księżu zawdzięczamy
m.in. przebudowę zamku w duchu
renesansowym, księżnej zaś odbudowę
obecnego kościoła św. Jacka). Obraz
został namalowany na desce, która
przez wieki uległa znacznemu rozspo-
szeniu. Gołym okiem widać znaczne
ubytki warstwy malarskiej i uszkodze-
nia. Zakres prac niezbędnych do rato-
wania ołtarza jest bardzo duży. Przetarg
na prace konserwatorskie, ogłoszony
przez Wojewódzkiego Konserwatora
Zabytków wygrał zespół złożony z
osób zatrudnionych w pracowniach
konserwatorskich Muzeum Pomorza
Środkowego. Największym atutem,
który pomógł słupszczanom pokonać
konkurencję, okazało się to, że ołtarza
nie trzeba będzie wywozić z miasta.
Całe przedsięwzięcie zostało przez
konserwatorów zaplanowane na dwa
lata, zaś prace przy demontażu ołtarza
rozpoczną się na jesieni br. Realizacja
tego skomplikowanego zadania stała
się możliwa dzięki wspólnemu groma-

dzeniu środków finansowych przez wo-
jewodę słupskiego, proboszcza i para-
fian kościoła św. Jacka oraz Wo-
jewódzkiego Konserwatora Zabytków.

Jolanta Nitkowska

HARCERZ I POWSTANIEC

■ Wies Gorzędziej położona pod
Tczewem jest uroczym zakątkiem
nadwiślańskiego Kociewia. Na wy-
sokim wzgórzu, z którego widać his-
toryczne warownie Malborka, wznosi
się kościół pod wezwaniem św. Woj-
ciecha. W sobotę 19 września świą-
tynia ta wypełniła się mieszkańcami
Gorzędzieja i Tczewa, gośćmi repre-
zentującymi środowisko kombatanckie,
zaproszonymi na wieczornicę zorga-
nizowaną w 50. rocznicę śmierci harc-
mistrza i podchorążego - Huberta Stan-
genberga, uczestnika powstania wars-
zawskiego.

Uroczystości przewodniczył
gospodarz świątyni - ks. proboszcz
Zdzisław Ossowski. Przed mszą św.
wygłoszone zostały dwie prelekcje:
„Powstanie warszawskie z perspek-
tywy 50 lat” prof. Stanisława Salmono-
wicz z Uniwersytetu im. M. Kop-
ernika w Toruniu oraz „Akcja Burza
na Pomorzu” prof. Macieja Krzy-
żanowskiego z Uniwersytetu Gdań-
skiego. Obie przybliżyły zebranim nie
tylko fakty historyczne, ale stały się
kanwą do pogłębienia refleksji o
wydarzeniach sprzed pół wieku.
Powstanie warszawskie, w którym
zginął Hubert Stangenberg -
mieszkaniec Gorzędzieja, było nie
tylko wydarzeniem tragicznym ale
także brzmieniem w dalekosiężne
skutki. Dzięki powstaniu, jak się
ocenia, zatrzymany został pochód
wojsk sowieckich na Zachód. Stalin
zaniechał zamiaru formalnej integracji
Polski z ZSRR.

Podczas mszy św. odprawionej w
intencji Huberta Stangenberga i
wszystkich kombatanów, którzy
oddali swe życie w walce o wolność
ojczyzny, wygłoszona została przez
celebransa ks. Stanisława Cieniewicza
okolicznościowa homilia. Zwracając
się w szczególności do młodszych
uczestników, zwłaszcza harcerzy,
przypominał i podkreślił znaczenie
ofiary, dzięki którym naród prze-
ciwstawił się najeźdźcom. Uroczystość
przypadła bowiem dokładnie w 55
rocznicę napaści ZSRR na Polskę.

Uroczystość uświetniła dęta orkiestra
harcerska z Tczewa pod batutą Jerzego
Kubickiego. Wspomnienia rodziny i
koleżanek Huberta wymownie świad-
czyły, że jego postawa i czyny były

rezultatem patriotycznego wychowania
w rodzinie, szkole i w organizacji
harcerskiej. Hubert marzył i przy-
gotowywał się do pracy wśród mło-
dzieży.

Delegacja środowiska Pomorskiego
AK z Gdańska opuszczała Gorzędziej
z przekonaniem, potwierdzonym
słowami kierowniczkii miejscowej
szkoły Jolanty Czapiewskiej, że
organizacja harcerska będzie się
rozwijała, dając dobry przykład całej
młodzieży. W przyszłym roku
organizatorzy przewidują nadanie
miejscowej szkole imię Huberta
Stangenberga i odsłonięcie odpowied-
niej tablicy.

Zygmunt A. Sikorski

CHMIELNO ZE ZBYSZKIEM CYBULSKIM

■ Chmielanie wraz ze Zbigniewem
Jankowskim, aktorem Teatru Miejskie-
go w Gdyni, postanowili w oryginalny
sposób uczcić postać Zbigniewa Cy-
bulskiego. Zamierzają zorganizować
replikę wesela tego legendarnego akto-
ra z plastyczką Elżbietą Chwalibóg.
Wesele odbyło się w Chmielnie w
1959 roku, gdy Cybulski związany był
z Teatrem „Wybrzeże” i studenckim
klubem „Żak” w Gdańsku. Chmielno w
tym czasie było miejscem spotkań
trójmiejskiej cyganerii. Do tej tradycji
chcą powrócić miejscowi animatorzy
kultury. Pod koniec czerwca br., z ini-
cjatywy artysty plastyka prof. Włodzi-
mierz Lajmanga, na budynku państwa
Skrzypkowskich, gdzie gościł Z. Cy-
bulski, odsłonięto tablicę upa-
miętniającą jego pobyt w tej wsi.

Zamiar zorganizowania repliki wese-
la Cybulskiego został wpisany do tzw.
programu dla małych ojczyzn, za który
Chmielno uzyskało z Fundacji Kultury
Polskiej wyróżnienie w wysokości 50
mln złotych. Weselisko ma się odbyć
w przyszłym roku. Będzie prawdopo-
dobnie połączone z przeglądem filmów
oraz wystawą pamiątek i fotografii po
aktorze. Organizatorzy imprezy zwrac-
ają się z prośbą do środowisk
Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk
Plastycznych i „Żaka”, którzy przed 35
laty uczestniczyli w weselu pary arty-
stów w Chmielnie, o pisemny kontakt
pod adresem: Gminny Ośrodek Kultu-
ry, ul. Gryfa Pomorskiego 20, 83-333
Chmielno, z dopiskiem „Moja zemla,
moja chęć”.

(s.j.)

EKSPozyCJE PRYwATNE

Podano nazwiska właścicieli placówek

Biała Góra, 83-441 Wiele, Ptaków, Ssaków i Motyli (I. Skwierawska);
81-453 **Gdynia**, ul. Światowida 7, tel. 22-15-20, Zbiory ks. Hilarego Jastaka;
83-316 **Gołubie**, Ogród Botaniczny, ul. Botaniczna 21, tel. 81-53-11, w. 10-03 (IX-VI), (Z. i L. Butowsky); **V-IX**;
Jagły, 89-632 Brusy, tel. 0-531/823-74, Rzeźby Józefa Chelmonskiego;
84-140 **Jastarnia**, ul. Mickiewicza 115, tel. 75-22-45, Muzeum Zbiorów Rybackich (J. Struck);
83-041 **Mierzyszyn**, Zbiory etnograficzne i rzeźby Zygmunta Bukowskiego;
84-100 **Puck**, ul. Morska 13, tel. 73-29-72, Zbiory Rybackie im. J. Budzisa;
Rewa, ul. Morska 92, 81-198 Kosakowo, Zbiory morskie i osobliwości ze świata Tadeusza Krzysztofa;
Stryśza Buda, 83-329 Mirachowo, tel. 81-56-95, Etnograficzna (F. Kowalewski).

IZBY PAMIĘCI I REGIONALNE

Podano nazwiska opiekunów placówek

86-122 **Bukowiec**, ul. Ceynowy 14 (UG), tel. 0-532/195-80, Regionalna;
89-650 **Czersk**, ul. Szkolna 3, tel. 0-531/842-21, Powstania Listopadowego;
80-680 **Gdańsk-Sobieszewo**, ul. Turystyczna 3, tel. 38-07-66, W. Pola (R. Sykisz);
81-982 **Gdynia-Grabówek**, ul. Morska 83, tel. 21-70-41, w. 650, Tradycji WSM, IX-VII: pon.-piąt. 8-14 (E. Otremba);
83-440 **Karsin**, ul. Długa 167 (SP), tel. 0-58/87-31-79, Pamięci Narodowej;
Kłaczno, 77-143 Studzienice, Regionalna (St. Szroeder);
83-407 **Lubiana**, tel. 0-58/86-37-84 i 0-58/86-37-86, w. 315, Wzorcownia ZPS „Lubiana” SA: pon.-piąt. 7-15;
83-123 **Piaseczno**, Dom Kultury, tel. 0-69/35-14-29, Ośrodek Tradycji Kółek Rolniczych (J. Ejankowski);
83-261 **Pieć**, ul. Szkolna 11(SP), tel. 0-69/877-37, w. 18-03, I. Gulgowskiego;
Plotowo, 77-131 Rekowo, tel. 64-26, Szkoły Polskiej: VII i VIII: wt.-niedz. 12-16, IX-VI: na życzenie;
83-304 **Przodkowo**, ul. Kartuska 21, tel. 81-96-98, Strażacka (W. i L. Deykowie);
Rozewie, ul. Wzorka (latarnia morska), 84-120 Władysławowo, tel. 74-95-42, S. Żeromskiego, codz. 9-13 i 15-19, 8000 zł (wraz z biletem do Muzeum Latarnictwa);
Sławoszyno, 84-110 Krokowa, tel. 73-71-93, GOK, Regionalna F. Ceynowy;
76-200 **Słupsk**, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 0-59/298-29, Krajobraz Ziemi Słupskiej, pon.-piąt. 8-15;
83-200 **Starogard Gdański**, szkoły: ul. Chojnicka 70, tel. 0-69/225-48, al. Jana Pawła II 4, tel. 0-69/220-81 i ul. Sobieskiego 6, tel. 0-69/222-49, Izby Martyrologii i Walki Kociewia • ul. Wybickiego 17 (SP nr 7), tel. 0-69/228-30, W. Broniewskiego.

KASZUBSKIE MSZE ŚWIĘTE

RAZ W MIESIĄCU

80-840 **Gdańsk**, Zaulek Świętojański 2, kaplica kościoła św. Jana, druga niedziela, g. 12.00, ks. **Waldemar Naczek**; po mszy spotkanie w Domu Kaszubskim;
84-230 **Rumia**, kolejno w kościołach: NMP, św. Krzyża i św. Jana z Kęt, jw., g. 15.00, ks. **Stanisław Megier**;
84-120 **Władysławowo**, ul. Żeromskiego 32, kościół Wniebowzięcia NMP, trzecia niedziela, g. 12.30, ks. **Leszek Kryża**;
81-107 **Gdynia-Oksywie**, ul. Plk. Dąbka 1, kościół św. Michała Archanioła, jw., g. 13.00, ks. **Roman Skwiercz**;
Rzuszcze, 76-220 Głowczyce, Dom Kultury Regionalnej, czwarta niedziela, g. 14.30, ks. **Tadeusz Stromski**;
83-424 **Lipusz**, ul. Wybickiego 9, kościół św. Michała Archanioła, jw., g. 15.00, ks. **Władysław Szulist**;
81-197 **Gdynia-Babie Doły**, ul. Rybaków 2A, kościół MB Licheńskiej, ostatnia niedziela, g. 12.15, ks. **Edmund Skierka**;
83-400 **Kościerzyna**, ul. Kościelna 6, kościół Trójcy Świętej, jw., g. 18, ks. prałat **Marian Szczepiński** i ks. **Jacek Dawidowski**;
80-384 **Gdańsk-Przymorze**, ul. Zwycięzców 19, kościół NMP, pierwszy wtorek, g. 19.15, ks. **Bogusław Głodowski**; po mszy spotkanie w salce parafialnej.

RZADZIEJ I NIEREGULARNIE

83-311 **Goręczyno**, kościół Trójcy Świętej, ks. **Hubert Kitowski**;
84-208 **Kielno**, kościół św. Wojciecha, ks. **Franciszek Rompa**;
84-300 **Lębork**, kościół św. Jadwigi Śląskiej, ks. **Alfons Formela**;
89-600 **Chojnice**, kościół Zwiastowania NMP, ks. **Henryk Cyrzan**.

ŚWIATOWY REZERWAT BIOSFERY

SŁOWIŃSKI PARK NARODOWY - nadmorskie wydmy ruchome i ustalone od Łeby do Rowów i sąsiedztwo. **Zarząd**: 76-214 **Smółdzino**, ul. Bohaterów Warszawy 1, tel. 0-59/11-62-04.

ŚCISŁE REZERWATY PRZYRODY w SPN; zwiedzanie po pieszych znakowanych szlakach turystycznych w godz. 7-21: **MIERZEJA** - wydmy od Rowów aż po Jezioro Dolgie Wielkie.

Rezerwat jw. przy ścieżce przyrodniczej: leśnictwo Kluki (tel. 0-59/11-63-30) - wieża widokowa - brama wjazdowa do SPN na drodze Łokciowe - Kluki:

KLUKI - różne zbiorowiska leśne;
MOROSZKA - stanowisko tej maliny;
KLUKOWE BUKI - las bukowo-dębowy.

WIEŻE WIDOKOWE w SPN i w jego pobliżu. Podają wysokość wieży nad poziomem terenu i położenie platformy widokowej npm.:

ROWOKÓŁ, 1,2 km na południowy zachód od Smółdzina, 22,9 i 135,2 m;

KLUKI, 1,3 km na wschód od wsi, 7,2 i 4,3 m, jw. • 1,8 km na północ od leśnictwa przy ścieżce przyrodniczej, 10,4 i 8,2 m;

RĄBKA, przy parkingu, 8,4 i 7,9 m.

PARKI KRAJOBRAZOWE

KASZUBY

Park Krajobrazowy „Dolina Słupi” od jeziora Jasień i Soszycy do Słupska - dolina Słupi, obszary źródliskowe Łupawy i Skotawy oraz sąsiednie lasy. **Zarząd**: 76-200 **Słupsk**, ul. Szarych Szeregów 14, tel. 0-59/298-29;

Nadmorski PK od Helu i Rewy (Szpyrk i Ryf Mew) do Dębek (ujście Piaśnicy) - półwysep, Zatoka Pucka, klify. **Zarząd**: 84-120 **Władysławowo**, ul. Morska 6, tel. 74-06-85;

Trójmiejski PK - stok pradliny i sąsiednie lasy obok Wejherowa, Redy, Rumi, Gdyni, Sopotu i Gdańska; **Kaszubski (Raduńsko-Mirachowski) PK** od Stężycy po Kamienicę Królewską - jeziora i lasy; **Wdzydzki PK** od Wyrówna i Grzybowa do Borska - jezioro Wdzydze oraz sąsiednie lasy i wody. **Zarząd**: 80-308 **Gdańsk-Oliwa**, Polanki 51, tel. 52-34-68;

Zaborski PK od Jeziora Skoszewskiego do Charzyków i Męcikału - szlaki Zbrzycy i środkowej Brdy oraz sąsiednie lasy i wody. **Zarząd**: 89-600 **Chojnice**, ul. Lichnowska 5, tel. 0-531/724-60.

BORY I KOCIEWIE

Tucholski PK - dolina Brdy od Rytla do Piły oraz sąsiednie lasy i wody. **Zarząd**: 89-500 **Tuchola**, ul. Podgórna 1, tel. 0-531/437-12;

Wdecki PK - Wda od Błędna do Gródka, jej dopływy i sąsiedztwo. **Zarząd**: 86-150 **Osie**, Rynek 9, tel. 0-532/295-03, w. 5;

Nadwiślański PK (4/5 na Kociewiu) - stoki północne odcinka bydgoskiego Pradoliny Toruńsko-Eberswaldzkiej i północno-zachodnie (lewe) Doliny Wisły od Fordonu do Kozielca oraz pobliskie lasy. **Zarząd**: 86-100 **Świecie**, ul. Sądowa 5, tel. 0-532/150-00.

ELBLĄSKIE

PK „Mierzeja Wiśłana” - zalesione wydmy od granicy państwa do Sztutowa; **PK „Wzniesienie Elbląskie”** - brzeg Zalewu Wiślanego od Jagodna do Świętego Kamienia z zapleczem aż po Sierpin i Zajęczkowo. **Zarząd**: 82-300 **Elbląg**, ul. Wojska Polskiego 1, tel. 0-50/34-50-70;

PK Pojezierza Iławskiego (1/3 w Elbląskiem) - prawie cały Jeziorak, jego wschodnie brzegi, a zachodnie aż do Kamieńca i Motławy Wielkiej. **Zarząd** w organizacji: **Jerzwałd**, 14-320 Zalewo, tel. 77.

AUDYCJE KASZUBSKIE

Polskie Radio Gdańsk, fale 67,85 i 103,7 MHz, niedz., g. 21.30-21.55, „Na bótach ë w borach”.

Telewizja Polska, gdański progr. II, niedz., g. 9.20-9.40, „Rodnô zemia”. W audycji kurs kaszëbiznë „Gôdómë po kaszëbsku”.

KSIĘGARNIE Z „POMERANIA”

Oferują także ● inne cassubiana i pomeranica ● kaszubskie muzykalia:

77-100 **Bytów**, ul. Wojska Polskiego 12, „Conrad”, pon.-piąt. 9-17, sob. 10-14;

80-834 **Gdańsk**, ul. Podkramarska 5, tel. 31-53-23, „W drodze”, pon.-piąt. 10-19, sob. i niedz. 10-16;

80-419 **Gdańsk-Wrzeszcz**, ul. Dubois 2A (róg ul. Mickiewicza), „Bestseller”, pon.-piąt. 10-19, sob. i niedz. 9-15.

SKLEPY KASZUBSKIE

Oferta jw. oraz ● kaszubskie, kociewskie i borowiackie hafty, rzeźby i inne wyroby ludowe ● kaszubska porcelana ZPS „Lubiana” SA (sklep fabryczny 83-407 **Łubiana**, tel. 0-58/86-37-84, w. 223, pon.-piąt. 10-16), są w kilku muzeach i oddziałach ZKP oraz w następujących miejscowościach:

80-834 **Gdańsk**, ul. Szewska 1-4, tel. 31-32-35, pon.-piąt. 10-18, sob. i niedz. 10-15;

77-100 **Bytów**, ul. Bauera 1A, stoisko w sklepie „Dewocjonalia-Hafciarstwo” I. i W. Machów, pon.-piąt. 10-16;

84-140 **Jastarnia**, ul. Ks. Stefańskiego 27, tel. 75-21-34, stoisko w sklepie „U Justyna”, pon.-piąt. 9-17, sob. 9-14;

83-300 **Kartuzy**, ul. Klasztorna 18, stoisko w sklepie wielobranżowym W. Nałęcza-Wardęskiego, wt.-niedz. 10-18;

83-400 **Kościerzyna**, ul. Jeziora 4, sprzedaż „Pomeranii” w sklepie „Artykuły papiernicze i akcydensowe” J. Dorawy, pon.-piąt. 9.30-17, sob. 10-13;

83-424 **Lipusz**, ul. Młyńska 12, tel. 0-58/87-45-77, sprzedaż w Klubie Rolnika, pon.-czw. oraz sob. i niedz. 16-22;

84-230 **Rumia**, ul. Dąbrowskiego 26, kiosk w kościele NMP, śr.-piąt. 17-18;

83-441 **Wiele**, ul. Dąbrowska 32, tel. 0-58/87-34-70, kiosk w DK, wt.-sob. 9-20.

Prosimy o zgłaszanie zmian. **Kow.**

OGŁOSZENIA

Kończę szkołę rolniczą. Zawsze pragnęłam żyć i pracować na gospodarstwie. Czytelników „Pomeranii” proszę o choćby jakąkolwiek pomoc w realizacji tego pragnienia, za którą byłbym bardzo wdzięczny.

Piotr Rogala, Orlik 1, 89-633 Lubnia.

Jeśli chcesz poprawić swoje zdrowie oraz sytuację finansową, zadzwoń **0-58/57-63-63** po godz. 18. Amerykańska firma zdrowotna, poszukująca chętnych i solidnych ludzi do współpracy, czeka na Ciebie. Zarobek ustalasz sam.

CENNIK REKLAM, TEKSTÓW PROMOCYJNYCH I OGŁOSZEŃ

I Reklamy

Poz.	Miejsce reklamy	Format w milimetrach	Ceny podstawowe tys. zł.	Ceny z bonifikatą 20% tys. zł.
A	B	C	D	E
1.	Okladka tytułowa	180 x 225	cena do uzgodnienia	
2.	Okladka tylna - cała	180 x 260	cena do uzgodnienia	
3.	Okladki wewnętrzne	180 x 260	cena do uzgodnienia	
4.	Dwie strony środkowe, tj. tzw. rozkładówka	2 x 180 x 260 lub 390 x 260	cena do uzgodnienia cena do uzgodnienia	
5.	Strona 2 i następne (poza „rozkładówką”)	180 x 260	4 000	3 200
6.	1/2 strony jw.	86 x 260	2 100	1 680
7.	1/4 strony jw.	86 x 130	1 100	880
8.	1/8 strony jw.	86 x 65	600	480
9.	2/3 strony jw.	117 x 260	2 700	2 160
10.	1/3 strony jw.	56 x 260	1 400	1 120
11.	1/6 strony jw.	56 x 130	750	600
12.	1/12 strony jw.	56 x 65	400	320

II Teksty promocyjne

Dostarczone przez zleceniodawcę - ceny jw. Opracowanie redakcyjne (stylistyczne) tekstu bezpłatne. Na stronie mieszczą się 3-4 strony znormalizowanego (1 strona = ok. 2000 znaków pisarskich) maszynopisu (zależnie od rodzaju czcionki druku).

III Ogłoszenia

Poz.	Miejsce ogłoszenia	Jednostka ceny	Ceny podstawowe tys. zł.	Ceny z bonifikatą 20% tys. zł.
A	B	C	D	E
13.	Ogłoszenia w dziale „Informacje regionalne”	wiersz szerokości 56mm	30 000	24 000
14.	Ogłoszenia drobne	słowo	5 000	4 000

IV Bonifikaty

Z płatność gotówką, czekiem potwierdzonym lub przelewem (konieczna kserokopia przelewu) przed zleceniem, tj. przed drukiem reklamy, tekstu promocyjnego lub ogłoszenia20%

Za wielokrotny druk reklamy (dotyczy pozycji 1-12):

5-9 - krotny druk - gratis 1 dodatkowa reklama;

10-krotny i więcej - gratis 2 dodatkowe reklamy

Za abonament roczny ogłoszenia (dotyczy pozycji 13 i 14)15%

Pozycje 1-4 przyjmuje się po uzgodnieniu terminu druku.

Zlecenia druku reklam, tekstów promocyjnych i ogłoszeń przyjmują:

● redakcja „Pomeranii”, ul. Straganiarska 20-23, 80-837 Gdańsk, tel. 31-90-16, konto: Bank Gdański, IV Oddział w Gdańsku, nr 301817-664390-132,

● upoważnieni akwizytorzy.

przeszłość
PIĘKNIEM
znaczona

„Ora pro nobis...”

Opisując uprzednio malowidło wotywnę z kaplicy świętej Jadwigi w kościele mariackim w Gdańsku podkreślaliśmy dobitnie, że jest ono ujęte w formę tryptyku. Owa strukturalna właściwość kompozycji obrazu ma tu szczególne znaczenie. Staje się ona punktem wyjścia do orzekania, że wzorem tylu innych malowideł ściennych epoki gotyku także i to dzieło pełniło pierwotnie funkcję altarium. Potwierdzeniem tego jest program ikonograficzny tej malowanej nastawy ołtarzowej, program, który łączy się najściślej z liturgicznymi funkcjami kaplicy, należącej niegdyś do nie znanego nam jeszcze z imienia rodu gdańskich patrycjusz. Ostatnio wysunięto wprawdzie pewną hipotezę, dotyczącą osoby pierwszego właściciela kaplicy, ale sformułowano ją jeszcze przed odkryciem malowidła. Hipoteza ta pozostaje w związku z płytą nagrobną gdańskich burmistrzów, z rozkazu komtura Krzyżaków zamordowanych na zamku w 1411 roku. Jednakże zwracamy uwagę na fakt, że ta płyta, osłaniająca doczesne szczątki Konrada Letzkaua i Arnolda Hechta, nie znajduje się we wnętrzu, ale osadzona jest na zewnątrz, tuż przy stopniach wiodących do kaplicy.

Wejdzmy zatem po tych stopniach i ponownie zatrzymajmy się przed tym barwnym dziełem, patrząc z uwagą najpierw na te motywy, które średniowieczny artysta ukazał nam na jego powierzchni, aby po chwili refleksji zacząć postrzegać także i to, co niematerialne, co bytuje w świecie symboli i idei.

Prezentowana na malowidle rodzina gdańskiego donatora i zarazem fundatora kaplicy określa wotywną funkcję tego zabytku. Jesteśmy więc prowadzeni ku temu, co wyznacza drugi brzeg życia, ku ideom eschatologicznym, wpisanym w chrześcijańską doktrynę. Możemy teraz pytać, czym jest malowidło z kaplicy świętej Jadwigi i jakie są jego utajone treści? Nie odtwarza ono przecież realnego świata, ale, jak wszystkie gotyckie obrazy wotywnę, jest wizją. Ową wizję wywołano tu oszczędnymi środkami artystycznej narracji. Brakuje kulis, pejzażu, wszystkie postacie osadzone są w pustej niemal przestrzeni, a mimo to widzimy tu niebiańską komnatę. Jej tło wyznacza rudo-czerwona tkanina, będąca zarazem kotarą niebios, a więc i wszechświata, a u dołu kompozycji wyrastają też ubożuchne kwiatki, zdobiące łakę rajskiego ogrodu. Pośrodku tej komnaty i pośród tej kwietnej łąki stoi tron wielkich rozmiarów - jedyny sprzęt wyeksponowany w tej pustej, niebiańskiej auli. I na tym uroczystym siedzisku z podnóżkiem rezyduje Maria z Dzieciątkiem, dominując wielkością nad pozostałymi postaciami. Maria występuje tu jako Matka Boga wcielonego, ukazana w chwili uroczej zabawy z Synem, i także jako druga Ewa, która przyniosła światu drugiego Adama. Ideę tę wyraża jabłko unoszone przez nią z taką delikatnością. Tronująca Bogurodzica jest także wniebowziętą królową, królestwo Chrystusa bowiem nie jest z tego świata. I tutaj, w niebie, jawi się ona jako potężna władczyni, na co wskazuje tron i o czym ostentacyjnie zaświadcza korona - nie królewska, ale cesarska, wpisana w złoty



RODZINA GDANSKIEGO DONATORA (FRAGMENT MALOWIDŁA Z KAPLICY ŚWIĘTEJ JADWIGI)

STANISŁAW KLUPINSKI

dysk nimbu. Ta wspaniała korona prowadzi nas ku pojęciu *imperatoratrix* - cesarzowej, który jest tytułem wyższym od powszechnie w teologicznych rozważaniach obecnego tytułu *Marii regina* - królowa.

Dwóro tej pięknej i delikatnej cesarzowej tworzą dwa tylko muzykujące anioły, wyobrażają one jednak miriady eterycznych istot, które w komentarzach teologów rozdzielone zostały na dziewięć chórów anielskich. Ponad aniołami, najwyżej w hierarchii bytów niebiańskich, usytuowano dziewiczą Matkę Boga. Triangel i lutnia w dłoniach obu skrzydlatych muzyków akompaniują pieśni pochwalnej, wyspiewywanej Rodzicielce Pana, pieśni w rodzaju antyfony *Regina coeli letare* - Raduj się Królowo Nieba - tak często dopełniającej kompozycje piętnastowiecznych malowanych i rzeźbionych postaci Panny Marii. Jej dostojną świętę współtworzą też obie święte dziewice, wyróżnione koronami życia wiecznego oraz nimbami - znakami ich świętości. Zwrócone ku królewskiej Matce z Dzieciątkiem stoją w wytwornych pozach, kontemplując jej szczęście wiekuiste, symbolizując zarazem całą wspólnotę świętych. Nie bez ważnej jednak przyczyny wybrano tutaj św. Dorotę i św. Małgorzatę, dwie spośród czterech „dziewic głównych”.

Wartość symboli mają tu także wizerunki rodziny nie znanego nam bliżej gdańskiego patrycjusza. Te drobne, klęczące postacie zastępują bowiem tych, którzy przed ponad pięcioma wiekami modlili się w tej kaplicy i odeszli już z tego świata. W swojej wędrówce po tamtej stronie życia dotrą oni kiedyś aż do stopni tronu i zegną przed nim kolana, tak jak jeszcze za życia czynili to przed naszym malowidłem.

Odpowiednio też do średniowiecznego pojmowania aktu zbawienia, jako systemu wznoszących się stopni, modląc się u stóp Marii z Dzieciątkiem rodzina gdańska swoje prośby o pomoc może kierować najpierw do świętych pośredników, może błagać o pośrednictwo królewską Matkę Chrystusa, może też modlitwy o miłosierdzie zanosić wprost do Syna Bożego. I w tej eschatologicznej perspektywie niepoślednia rola przypada też obu świętym dziewicom, które, analogicznie do tylu innych dzieł sztuki gotyckiej tworzą niebiańską asystę Marii tronuującej z Synem. Powtórzmy tu za Filipem Aries że „święty patron zapewniał żywym, którzy go czcili, doczesną opiekę, tak jak zmarłym, którzy powierzali mu swoje ciała - opiekę duchową”.

Interesuje nas jednak szczególnie ukazanie na mariackim malowidle właśnie tych świętych dziewic - Doroty i Małgorzaty. Można oczywiście przypuszczać, że one obie mogły być imiennymi patronkami obu niewiast - matki i córki, ale wydaje się to mniej przekonujące. Postacie owych czterech, szczególnie czczonych dziewic, występowały przecież i na innych, wskazywanych już przez nas dziełach sztuki, czasami w liczbie niepełnej, zestawiane z wizerunkami innych świętych, i zajmowały albo tak eksponowane miejsca, jak na malowidle gdańskim, albo wkomponowywano je bardziej dyskretnie, jak na przykład na ramach wizerunków Madonn gotyckich. Kult czterech dziewic był w tamtej epoce tak powszechny, że dla pewnej grupy rzeźbionych ołtarzy, głównie śląsko-pomorskich, przyję-

to w terminologii historii sztuki określenie „ołtarz czterech dziewic”.

Są jednak ważne powody owego wyjątkowego w sztuce średniowiecza wyróżniania tych właśnie dziewiczych postaci. Tak bowiem, jak Maria i jej Syn są ucieczką dla grzesznych i ich nadzieją na zbawienie, tak też prezentowane na „skrzydłach” malowidła święte Dorota i Małgorzata, bywały przywoływane w chwilach przełomowych, najbardziej dramatycznych w życiu chrześcijańskiej rodziny. Życie człowiecze na tym świecie spajają przecież dwa potężne akty - akt narodzin i akt śmierci, przy czym akt śmierci jest przejściem tylko, jest chwilą narodzin do życia w wieczności. Obu tym aktom - narodzinom i śmierci - towarzyszą nieodłączne cierpienia fizyczne. Na męki porodowe skazana została Ewa, kiedy Jahwe wypędzając ją z raju zapowiedział: „w bólach będziesz rodziła”. Odejściu człowieka w zaświaty towarzyszą zawsze cierpienia i trwoga przedagonalna, kiedy diabeł czai się do swego ostatniego, a więc i najsilniejszego, ataku na grzesznika.

Wedle chrześcijańskich wierzeń cztery „dziewice główne” niosą wiernemu ulgę w jego boleściach fizycznych, jednakże stojąca za plecami matki gdańskiej rodziny św. Małgorzata (wzorem zwycięskich Cnót walczących z Przywarami drzewcem krzyża unicesławiającego swego prześladowcę Olybriusa, prefekta miasta Antiochii), doprowadzona na miejsce kaźni modliła się za tych wszystkich, którzy wzywać będą jej imienia. Modliła się ona zwłaszcza za kobiety cierpiące bóle porodowe. Jeśli więc nawet klęcząca z różańcem w rękę patrycjuszka gdańska nie miała na imię Małgorzata, to tę właśnie patronkę położnic wzywała żarliwie, rodząc swoich ośmioro dzieci. Także i druga z dziewic - św. Dorota, niosła ludziom pomoc w ich jakże licznych troskach - pomoc w biedzie, ubóstwie, a też kiedy ich fałszywie obwiniano. Spieszyła też ona w godzinie narodzin i w godzinie zgonu, podobnie do św. Barbary, która również była patronką dobrej śmierci. Zatem z tymi dwoma najbardziej doniosłymi zdarzeniami w życiu tej licznej rodziny mieszczańskiej, łączymy wybór postaci obu dziewiczych świętych na malowidle gdańskim.

Anonimowy artysta przedstawił w kaplicy świętej Jadwigi tę, tak wysoko w hierarchii społeczności miejskiej usytuowaną patrycjuszowską rodzinę w postawie pełnej pokory, ale i w typowej pozie adorantów, wyprzedzając zarazem zdarzenia z końca dziejów. Ci, którzy modlą się tutaj namalowani u kolan Marii, wołają „Módl się za nami Święta Boża Rodzicielko”, klęczą nie tylko przed uroczystym siedziskiem Panny Marii z Dzieciątkiem. Ten tron jest też zawsze tronem eschatologicznym, na którym, kiedy czas się dopełni, Syn Boży sprawować będzie sąd nad człowiekiem. I wtedy rolę zarówno obu dziewiczych współpomoczek, jak i przede wszystkim tej wielkiej cesarzowej będzie łagodzenie gniewu Syna „w tym ostatnim dniu sądu strasznego”, jak o końcu świata nauczał w połowie XII stulecia benedyktyn Rupertus z Deutz.

Bogna Jakubowska



TRONUJĄCA MARIA Z DZIECIĄTKIEM (FRAGMENT MALOWIDŁA)

STANISŁAW KLUPINSKI



WSZECHŚWIAT CIESZY